



JANUSZ KORCZAK

---

# Kajtuś Czarodziej

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

JANUSZ KORCZAK

# *Kajtuś Czarodziej*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kajtuś lubi się zakładać — Kajtuś wchodzi do sklepów i udaje, że chce coś kupić, a nie ma ani grosza

- A bo co?
- Bo nic.
- Nie wierzysz?
- Nie.
- To się załóż.

Kajtuś lubi się zakładać z kolegami.

- Załóż się, że zafundujesz do kina.
- Dobrze, zgoda.
- Daj rękę. Pamiętaj: w niedzielę kino.
- Ale poczekaj — zaraz.
- No widzisz, już się boisz.
- Nie boję się, tylko chcę wiedzieć, jak to będzie.

Kajtuś powtarza:

— Wejść do dziesięciu sklepów. Będę udawał, że chcę coś kupić. Nie mam ani grosza w kieszeni.

- Mówiłeś, że do dwunastu sklepów...
- Niech będzie dwanaście.

Założyli się.

Tak. Wstąpi. Niby, że kupuje.

Ano, ostatnia lekcja.

Ano, ostatni dzwonek.

Zapakowali teczki.

Czapki na głowy.

— Więc idziemy?

— Idziemy.

Ano, schody, podwórko.

Potem brama.

I już ulica.

— Ja będę stał przed sklepem.

— Jak sobie chcesz. Tylko nie śmiej się w szybę, bo się domyślą.

Pierwszy sklep — apteka.

Wchodzi Kajtuś do apteki.

Pan wydaje lekarstwa powoli, żeby się nie pomylić — Kajtuś cierpliwie czeka swej kolejki.

— A tobie, mały, czego?

— Proszę o dwa zeszyty: jeden w kratkę, a drugi do rysunków.

— Nie mamy do rysunków, tylko wszystkie w kratkę — zażartował pan aptekarz.

— To przepraszam.

Kajtuś uklonił się grzecznie.

Żal się panom zrobiło.

— Idź na prawo, obok. Tam dostaniesz.  
— Dziękuję.  
Znów się uklonił i wyszedł.  
Powiedział koledze, jak było.

Obok apteki jest sklep pomocy szkolnych.

Wchodzi Kajtuś.

Rozgląda się.

— Proszę o ciastko z kremem.

— Czego?

— Ciastko czekoladowe z kremem.

— A ty ślepy jesteś? Nie widzisz?

— Owszem, widzę.

Stoi i dziwi się, czego od niego chcą.

— Chodzisz do szkoły?

— Chodzę.

— Nie wiesz, gdzie się ciastka kupuje?

— Jeszcze nas nie uczyli.

Wzrusza ramionami.

Niby nie wie, co robić.

Rozgniewał się pan.

— Na co czekasz?

— Już nic.

I wychodzi.

— No co? — pyta się kolega.

— Obraził się. Złośnik jakiś.

— On taki zawsze — mówi kolega. — Znam ten sklep. Nigdy tu nie kupuję.

— To trzeba było powiedzieć.

— Myślałem, że ci się uda.

— No i udało się. Przecież mnie nie zabił.

Idą dalej.

Odważnie wchodzi do trzeciego sklepu.

Sklep spożywczy. Są tu sery, masło, cukier, śledzie, sielawy<sup>1</sup>.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Czy można dostać wieloryba?

— Wieloryba?

— Tak. Dziesięć deka. Marynowanego.

— A kto cię przysłał?

— Kolega. O, stoi tu przed sklepem.

— Powiedz koledze, że łobuz, a ty gapa.

— Więc nie ma?

— Nie, nie ma. Będzie dopiero.

— Kiedy będzie?

— Jak się ociepli. No, dosyć. Ruszaj! Drzwi zamknij.

Ostrożnie zamknął drzwi i opowiada, jak było.

— Nie bałeś się, że pozna?

— A co? Sprzedają morskie łososie. Śledzie też są morskie. Nie wolno się zapytać?

— Czekaj. Dopiero trzy sklepy. Możesz jeszcze przegrać.

— Zobaczymy.

---

<sup>1</sup>sielawa — bardzo smaczna, wysoko ceniona ryba z rodziny łososiowatych, żyjąca w czystych, głębokich jeziorach. [przypis edytorski]

Czwarty — mały sklepik.

Szewc.

Akurat nie ma roboty.

Już pora obiadowa, a sprzedał dopiero parę sznurowadeł i pudełko pasty do butów.

Czeka, żeby kto kupił.

Wchodzi Kajtuś.

— Proszę sera śmietankowego.

A szewc, czy się domyślił, że żarty, czy zły, że głowę zawracają.

Łap za pasek.

— Dam ja ci sera, błźnie jeden!

Zamachnął się.

Nie bardzo się udało, trzeba było prędko umykać.

Żart

Ominął Kajtuś kilka małych sklepów.

Zatrzymał się przed fryzjerem i myśli.

— Ale ty ciągle to samo. To nie sztuka.

— Nie podoba ci się, to nie. Sam sobie chodź i wymyślaj co innego.

— No już dobrze. A tu co powiesz?

— Nie spiesz się. Poczekaj. Zobaczę.

Wchodzi.

Ładnie tu. Czysto. Pachnie.

Perfумы w różnych butelkach. Mydła kolorowe. Grzebienie. Pomady<sup>2</sup>. Puder.

Kasjerka czyta książkę.

— Czego sobie życzysz, kawalerze? — pyta się pan.

Pan młody i wesoły.

— Proszę o pomadę na porost królewskich wąsów.

— Dla kogo?

— Dla mnie.

Pani przerywa czytanie i patrzy.

Pan oczy szeroko otworzył.

— A na co ci wąsy?

Kajtuś patrzy naiwnie i mówi:

— Na przedstawienie w szkole.

— A co będziesz przedstawiał?

— Króla Sobieskiego<sup>3</sup>.

— Mogę namalować ci wąsy.

— Ja wolę prawdziwe.

— A potem co zrobisz po przedstawieniu?

— A ogolę.

Śmieją się.

Uwierzyli.

— Niech mu pan da wody kolońskiej.

— Nie chcę — otrząsa się Kajtuś.

— Dlaczego nie? Będziesz pachniał.

— Nie chcę. Chłopaki śmiać się będą. Powiedzą, że się chcę żenić.

— A ty się nie chcesz żenić?

— Pewnie, że nie. Na co?

Nudzi się młodym w sklepie, więc radzi pożartować.

Ale weszła kupująca. Rozmowę przerwała.

— Przyjdź, to cię pomaluję. Będą jak prawdziwe.

— Ale zaprosisz nas na przedstawienie? Pamiętaj.

<sup>2</sup>*pomada* — środek kosmetyczny do smarowania włosów dla nadania im połysku i miękkości. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Jan III Sobieski* (1629–1696) — król Polski w latach 1674–1696, pokonał armię turecką w bitwie pod Wiedniem (1683). [przypis edytorski]

Kolega się niecierpliwi.  
— Coś tak długo siedział?  
— Perfumować mnie chcieli.  
— Za darmo?  
— No chyba.  
— Dlaczego nie dałeś?  
— Co mają towar marnować? Pożartować można. Ale nie jestem pętakiem. Nie lubię oszukańców<sup>4</sup>.  
— No pewnie.

Wszedł Kajtuś do mydlarni<sup>5</sup>. Prosi o truciznę na pchły.  
Dała mu.  
— Masz na pchły, na pluskwy i na karaluchy.  
— U nas nie ma pluskiew ani karaluchów. Mama kazała tylko na pchły.  
— Nie szkodzi. Ten proszek dobry, wszyscy go kupują. Pokaż, ile masz pieniędzy.  
Kajtuś mocno zaciska pustą pięść.  
— Nie... Muszę się zapytać... Muszę się słuchać mamy.  
— No to idź się zapytaj. I powiedz, że złotówkę kosztuje. A wy daleko mieszkacie?  
— Tu zaraz.  
— Jak będziesz często kupował, dostaniesz cukierków... O, widzisz.  
— Widzę.  
Pokazała słój z cukierkami.  
— Mądra baba: dawaj jej zaraz złotówkę! Myśli, że się połakomię na cukierek. Pewnie farbowane. Ile już było sklepów?  
— Sześć.  
— Akurat połowa.  
— No, idziemy dalej.  
— Czego się spieszysz? Niech trochę odpoczne. Już mi się w głowie kręci.  
Ale nic. Wchodzi.

Siódmy sklep — ogrodnicy.  
— Czy można dostać palmę kokosową?  
— Nie ma.  
— Niech pani poszuka. Pan od przyrody kazał.  
— Więc powiedz panu od przyrody, że ma fiołki w głowie.  
— Wcale nie. Nasz pan wie, co mówi. Nieładnie tak uczyć dzieci. Nie wolno nauczyciela obrażać.  
— Wynoś się, smarkaczu! Morały mi będzie prawić.  
— Pewnie, że morały, bo się tak nie mówi.  
We drzwiach pokazał jej język.  
— Szkoda, że nie dodałem, żeby się kazała wypchać trocinami i wytapetować.  
— Czegoś taki zły?  
— Bo mi się już znudziło tak łązić.  
— Trudno, założyłeś się.  
— Wiem bez ciebie. Zacząłem i skończyłem.  
Przed sklepikiem stoi balon z wodą sodową<sup>6</sup>.  
— Proszę o szklankę gazu.

Żart

<sup>4</sup>oszukaniec (pot.) — człowiek, który oszukuje; oszust. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>mydlarnia (daw.) — sklep z kosmetykami i artykułami użytkowymi w gospodarstwie domowym, jak mydła, pasty, szczołki; drogeria. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>balon z wodą sodową — dawniej większe ilości wody sodowej, czyli wody gazowanej, przechowywano w dużych cylindrycznych syfonach (balonach) z miedzi; taki syfon umieszczano w pojemniku z lodem i sprzedawano klientom na ulicy wodę na szklanki. [przypis edytorski]

Kupcowa<sup>7</sup> naląła — podaje.

A Kajtuś:

— Nie chcę wody, tylko sodowy gaz.

Znów zrobił niewinną minę. Ale ona nawet nie patrzy.

Zamachnęła się i chlusnęła wodą.

Kajtuś się w porę nachylił.

Nie trafiła.

— Żebyś ręce i nogi połamał, złodzieju!

Nie jest Kajtuś pętkiem ani złodziejem. Przecież mógł wodę wypić i uciec. A pić mu się chciało.

— Sama oszukająca.

I na nią zły, i na siebie.

I na kolegę.

— Te, słuchaj — pyta się kolega — co znaczy: fiołki w głowie?

— Pewnie, że nie wie, co gada. Sam się możesz domyślić.

Zatrzymali się przed fotografem.

— Wejść z tobą.

— Jak sobie chcesz.

Wchodzą.

— Ile kosztuje pół tuzina gołębi?

— Jakich wam znowu gołębi?

— Pocztowych, gabinetowych. Będziemy trzymali gołębie na kolanach.

— A pieniądze macie?

— Jeszcze nie. Ale się postaramy.

— Naprzód się postarajcie, a potem przyjdziecie.

— Co pani z nimi gada? — wtrącił się pan w okularach. — Tu się tylko ludzi fotografuje. I osły.

Wychodzą.

Kajtuś milczy.

Przypomina sobie:

„Ten nazwał mnie osłem, tamten smarkaczem. Ta wodą oblewa, tamten zerwał się do bicia. A dlaczego? Bo nie mam pieniędzy. Gdyby tak mieć złotówkę, wszyscy byliby grzeczni. I do kina wpuszczą. I wodę dadzą — nie tylko czystą, ale z sokiem”.

— Ile już było sklepów?

— Osiem.

— Nieprawda, bo dziewięć.

— Może się pomyliłem.

Zaczęli liczyć: razem z przekupką — dziewięć.

— No jazda!

Do następnego sklepu znów weszli razem.

— Proszę pokazać pasek.

Patrzy, przekłada, przymierza. Ogląda kłamrę. Liczy dziurki. Chucha, wyciera. Grymasi.

Ten pasek za cienki, ten za ciemny, tamten za szeroki.

A panienska co jeden położy, to drugi zaraz chowa do pudła.

„Boi się, że ukradnę” — pomyślał Kajtuś.

Nic dziwnego. Różni się w sklepach kręcą. Przychodzą — nudzą — nie kupują. I naprawdę ukradnąć próbują.

Kajtuś wie, ale się gniewa, że podejrzewają.

A o koledze myśli:

---

<sup>7</sup>kupcowa (daw.) — tu: sprzedawczyni. [przypis edytorski]

„Jaki on teraz odważny. Wchodzi ze mną razem, a gęby nie umie otworzyć”.

Ano, wybrał pasek: ładny skautowski<sup>8</sup>.

— Ile kosztuje?

— Dwa złote pięćdziesiąt groszy.

— Za drogo.

— Ile kawaler myślał?

— Kolega kupił taki za czterdzieści groszy.

— To idź tam, gdzie kupił kolega.

— Dobrze, pójdziemy.

— Znaleźli się mądrale. Jeden wybiera, a drugi się rozgląda. Znamy was.

— I ja panią znam.

Nawymyślała i przegoniła.

— A co byś zrobił, gdyby oddała?

— Głupi jesteś.

Kajtuś wie, co by zrobił. Szukałby po kieszeniach, niby że zgubił pieniądze.

Ale mówić nie chce, niech się sam domyśli.

— Więc jutro fundujesz kino.

Zatrzymał się i czeka na odpowiedź.

Kolega się zawahał.

— Poproszę ojca, pewnie da.

— A jak nie da?

— To już na pewno w przyszłą niedzielę.

Kajtuś skrzywił się i machnął niechętnie ręką. Pomyślał:

„Ot, zakładaj się z takim szczeniakiem...”

W sklepie z papierosami pożałowali Kajtusia.

Stał nieśmiało w kącie i czapkę gryzie.

— Czego chcesz, mały?

— Kiedy się wstydzę.

— Mów, nic ci nie zrobię.

— Bo majster kazał kupić trzy papierosy.

— Jakie?

— Brzydko się nazywają.

— Gadaj śmiało.

— Powiedział, że nabije<sup>9</sup>, jak nie przyniosę.

— Więc powiedz.

— „Psia mordą” się nazywają.

I zakrył czapką oczy.

— Upił się twój majster. Niech się wyśpi.

— Właśnie się już obudził.

— Ty ze wsi? — zapytała się pani.

— A ze wsi, proszę pani.

— Zaraz znać: nieśmiały. Ot, wysyłają dzieciaka do miasta na poniewierkę.

— Już chyba pójde — mówi Kajtuś.

— Ty pewnie głodny?

— Nie, nie głodny.

— Masz bułkę. Weź, sierotko.

A Kajtusiowi, czy z żalu, czy z tego zmęczenia, łzy napłynęły do oczu.

— Nie wstydź się, weź.

— Nie wezmę.

Prędko się wyniósł.

— Czego płaczesz?

— No... Mucha czy coś — wpadło mi do oka.

<sup>8</sup>skautowski — przym. od *skaut*: członek organizacji stanowiącej odpowiednik harcerstwa. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>nabić (pot.) — zbić, wielokrotnie uderzając. [przypis edytorski]

Nareszcie. Ostatni sklep, dwunasty. Pralnia.  
Nie chciał wejść, bo woli delikatniejsze sklepy. Ale kolega namówił.  
— Wejdz. Nie bój się. Już koniec.  
Nie boi się. Nieostrożny.  
— Przepraszam. Czy można wyprasować kota?  
— Kota? — zdziwiły się panny.  
— Tak. Zdechłego. Z ogonem.  
A nie zauważył, że koło drzwi siedzi narzeczony panien. A ten cap go za kark.  
— Poczekaj. Ciebie wyprasujemy. Dawaj, Franka, gorące żelazko.  
Silny. Mocno trzyma. Położył Kajtusia na deskę do prasowania.  
— Czego pan chce?  
— To jest wypchany kot.  
Nie wrywa się, tylko prosi:  
— Niech pan puści.  
Zlitowała się panna Frania.  
— Puść go, głuptasa.  
— Nie głupi on. Cwaniak, struga tylko wariata.  
— A ja mówię, że nie. Dobrze mu z oczu patrzy.  
— Ja wszystko wytłumaczę — jęczy Kajtuś.  
— Dobrze, więc co to za zdechły kot?  
Patrzy Kajtuś, że drzwi otwarte.  
Dobrze, że teczkę oddał koledze: lżej było uciekać.  
— Poczekaj! Spotkamy się. Poznam cię. Dostaniesz za swoje.  
Dogonił go kolega.  
— Cóżes tak uciekał?  
— Widać, że trzeba było<sup>10</sup>.  
— Nie powiesz?  
— Nie wymówiłeś<sup>11</sup>, że mam opowiadać. Dawaj teczkę. I sam sobie idź do kina. Ciesz się, żeś ze mną nie wszedł: dostałbyś, łamago.  
Rozeszli się pogniewani. Nie pierwsza kłótnia Kajtusia.  
I nie pierwszy zakład. Bo lubi się Kajtuś zakładać.

Rozmawiali raz w szkole o meczu.  
Co ciekawsze: mecz czy kino? Czy kąpiel, czy łódka? Rower czy ślizgawka?  
Mówi Kajtuś, że filmy dorosłych zawsze kończą się całowaniem.  
— Chodź, pokażę ci, jak się całują.  
— Chłopaka nie sztuka, ty pannę pocałuj.  
— Oo, mądry. Sam spróbuj.  
— Myślisz, że nie? Więc dobrze: załóż się o porcję lodów.  
— Dobrze: daj rękę.  
Ano, ostatnia lekcja.  
Dzwonek. Spakowali książki.  
Podwórko. Brama. Ulica.  
— Wy idźcie za mną.  
A sam naprzód.  
Żałuje, że się założył.  
Małej nie chce zaczepiać. Przykro. Bo się nastraszy. Zresztą powiedział, że „panna”.  
Więc duża.  
Jak to zrobić? Idzie. Rozgląda się.  
Idzie. Patrzy. Myśli. Patrzy. Czeka.  
— Ta nie. I ta nie.  
Mniejsza o te lody, ale wstyd przegrać. Musi postawić na swoim.  
Aż nareszcie są.

Pocałunek, Podstęp

<sup>10</sup>Widać, że trzeba było — dziś: Widocznie trzeba było. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>wymówić (daw.) — zastrzec sobie w umowie. [przypis edytorski]



Dwie. Uczennice. I starsze. Śmieją się. Rozmawiają. Nie spieszą się.  
 Jedną drugą nazwała Zośką.  
 Powiada:  
 — Słuchaj, Zośka, jak znów przyjdiesz...  
 Więcej Kajtuś nie słyszał. Ale ma plan.  
 Dał ręką znak, że zaczyna. Przeszedł na drugą stronę, wyprzedził je i wrócił — i prosto na spotkanie.  
 Idzie. Głowę zwiesił, niby zamyślony.  
 Już je mija. Nagle staje. Spojrzał.  
 — Ooo, Zośka! Kiedy przyjechałaś?  
 Ona patrzy. Stoi zdziwiona.  
 A on — hop! Objął za szyję — i pac! Pocałował.  
 Głupia — jeszcze się nachyliła. Tak się pysznie udało.  
 Dopiero oprzytomniała.  
 — Ty co za jeden?  
 — Ja? Ano Kajtuś.  
 — Co znów za Kajtuś?  
 — Nic — taki chłopak.  
 Oblizuje się, że niby pocałunek smaczny.  
 I w nogi.  
 One patrzą, dziwią się — aż się domyśliły.  
 — Poczekaj, andrusie<sup>12</sup>!  
 — A to zuchwały chłopak!  
 — Skąd wiedział, jak się nazywam?  
 Kolega był wtedy honorowy.  
 Był honorowy i miał dwadzieścia groszy.  
 Podzielili się lodami po równo.  
 Trzeci też dostał, choć mu się nie należało.

Już taki jest Kajtuś.  
 Niecierpliwy. Odważny. W głowie różne pomysły.  
 Był taki, zanim jeszcze zaczął chodzić do szkoły.  
 Był taki, zanim jeszcze stał się czarodziejem.

#### ROZDZIAŁ DRUGI

Skargi na Kajtusia — Blizny — Antoś czy Kajtuś? — Papierosy pali — Mysz koło pieca  
 Skargi i skargi na Kajtusia.  
 — Utrapienie z chłopakiem — wdycha mama.  
 — Nie biłem, ale jak stracę cierpliwość — grozi ojciec.  
 — Dobrze mu z oczu patrzy — uśmiecha się babcia.  
 — Głowę ma dobrą — mówi ojciec.  
 — Do wszystkiego ciekawy — dodaje mama.  
 — W dziadka się wrodził — uśmiecha się babcia.  
 Skargi i skargi.

Mówi stróż, że z okna rzucił śledzia na głowę gospodarza domu.  
 — Rzuciłeś?  
 — Nieprawda.  
 Po pierwsze: wcale nie śledź, a tylko ogon śledzia.  
 Po drugie: nie na głowę, a na kapelusz.  
 Po trzecie: nie z okna, a przez poręcz schodów.  
 Po czwarte: nie Kajtuś, a inny chłopak.

<sup>12</sup>andrus (daw.) — łobuziak, psotnik. [przypis edytorski]

W dodatku nie trafił — niezdarą.

Powiada stróż, że pogasił światła na wszystkich schodach.

— Nieprawda. Wcale nie na wszystkich, a tylko w jednej sieni. Skąd stróż wie, że akurat ja? Może kto inny? Może kto jeszcze? Może dziewczynka zgasiła, a nie chłopiec? Może strażak zgasił? Są przecież w Warszawie strażacy.

Mówi stróż, że Kajtuś dzwoni i ucieka.

— Dzwonię, tak, ale w innych bramach. Nie w naszej. Raz dzwoniłem, dawno.

— Dlaczego dzwonisz?

— Tak jakoś.

Bo chce wiedzieć, czy dzwonek nie zepsuty. Czasem z nudów. Czasem ze złości, że idzie do szkoły, a głupi dzwonek wisi sobie jak hrabia i nic nie robi.

Mówi stróż:

— Wyrwał kamień, powyginał rynnę.

To już zupełnie kłamstwo.

Wie nawet, kto to zrobił.

— Ja sanki zbijałem, ale młotkiem, wcale nie kamieniem. A deskę oparłem o scho-  
wek, a nie o rynnę.

Ma świadka. Może przyprowadzić chłopca, który mu młotek pożyczył i deskę trzymał.

Znów przychodzi na skargę.

— Szybę stłukł. Kamień rzucił.

— Widziałem, jak uciekał. W psa rzucił.

— Nie w psa, a w kota. Nie kamień, a kawałek cegły. Zupełnie inny chłopak wybił  
szybę kamieniem. — Tylko uciekli razem.

Wie kto, ale nie powie.

— Dlaczego ta pani dobrze nie widzi?

A jeszcze przychodzi na skargę i każe płacić za szybę?

Bo wygląda tak, że już nikt nic złego, tylko wszystko Kajtuś.

Są przecież gorsi od niego.

Mówią:

„Jeżeli sam nie zrobił, to jeden z jego koleżków”.

Więc co? Za wszystkich ma odpowiadać czy tylko za siebie?

Był mały.

Do szkoły jeszcze nie chodził.

Poszedł kąpać się w rzece.

Ubranie zostawił na piasku.

Ano, pływa — potem wychodzi z wody. I widzi z daleka, jak uciekają łobuzy.

Wszystko zabrali: spodnie, buty, czapkę, nawet koszulę.

Pan się zlitował, owinął w swoją marynarkę i zaniósł Kajtusia do domu.

I była awantura, że no.

Złodzieje też są między chłopakami.

A Kajtuś nie ruszy cudzego. Brzydzi się złodzieja.

Miał tylko różne przygody.

Kiedy żyła Helenka, skakali ze schodów; z jednego, z dwóch, z trzech, z czterech  
i z pięciu.

Chciał pokazać, że skoczy bez trzymania za poręcz.

I pokazał: skoczył z pięciu schodków. Byłoby się udało, ale miał nowe buty... śliskie  
podeszwy...

Potem długo leżał w łóżku.

Teraz na głowie włosy mu w tym miejscu nie rosną.

To się nazywa blizna.  
Drugą bliznę ma Kajtuś na nodze, bo go pies rzeźnika pokąsał.  
Bo mówili chłopcy, że pies się nie da pogłaskać.  
— Zły pies.  
— Spróbuję ostrożnie. Może się uda.  
Spróbował ostrożnie. I nie udało się.  
Założył się, że przeleci przed tramwajem.  
— Możesz się przewrócić. Daj lepiej spokój.  
— Czego się mam przewrócić?  
— Nie zdążysz.  
— To się załóż.  
Ale zakład nie został rozegrany. Motorniczy w porę zatrzymał, zahamował tramwaj;  
ale policjant przyprowadził Kajtusia do domu.  
Zabronili mu cały tydzień na podwórko wychodzić.  
Raz sam został w mieszkaniu.  
Chciał zrobić niespodziankę: że porąbie drzewo siekierą.  
I też się nie udało.  
To już trzecia blizna Kajtusia, na palcu lewej ręki.  
A mogło być jeszcze gorzej. Bo znów w domu został. I chciał lampkę zapalić przed obrazem.  
Zapaliła się firanka. Ale akurat babcia weszła i ogień zgasła.  
Już taką ma Kajtuś naturę, że musi widzieć, wiedzieć, a potem sam spróbować.

Opowiedziała mu mama bajkę o Ali Babie.  
Ali Baba był to wódz rozbójników.  
Arabski zbójca. Czterdziestu ich było. Ali Baba dowódca — herszt.  
Mieli zbójcy w lesie piwnicę. Nazywała się ta piwnica — Sezam. Tam chowali skarby  
zrabowane. Tam worki z dukatami<sup>13</sup> i złoto, i drogie kamienie, i brylanty.  
Do piwnicy prowadzą tajemnicze drzwi.  
Jeżeli powiedzieć: „Sezamie, otwórz się!”, drzwi same się otwierają.  
Bajka bardzo ciekawa.  
Ano.  
Leży Kajtuś w łóżku i myśli o skarbach ukrytych.  
Aż potem pyta się ojca:  
— Czy są skarby prawdziwe?  
Nie w bajce, a naprawdę.  
Bo gdy mu mama i babcia dobrze nie wytłumaczą, chce sprawdzić u ojca.  
— Są skarby — mówi ojciec. — Były wojny na ziemiach naszych. Nieprzyjacieli palili  
i rabowali, a ludzie zakopywali, co cenne. Nawet niedawno pisali w gazetach, że w polu  
znaleźli garnek z monetami.  
Mówi ojciec, że minister drukuje papierowe pieniądze, bo złoto za ciężkie do noszenia:  
więc sztaby złota leżą schowane w piwnicach.  
Tego Kajtuś nie zrozumiał dobrze, bo było za trudne. A może był wtedy śpiący.  
— No, trzeba spróbować.  
Dobrze. Idzie z babcią do piwnicy po węgiel.  
Schodzi się pod ziemię. A tam drzwi i długi korytarz. A tam różne małe drzwi, do  
każdej piwnicy osobno.  
Babcia zapaliła świecę. Idą. A w kącie korytarza stoi beczka.  
Schował się Kajtuś za beczkę.  
Babcia wzięła węgiel do kubelka i wychodzi. A Kajtusia nie ma.  
Woła babcia:  
— Antoś, Antoś!  
Gdzie się chłopak podział?  
A on przykucnął za beczką i czeka cicho.

Piwnica, Strach

<sup>13</sup>dukat — złota moneta używana w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

Myśli babcia: „Pewnie już na podwórku”. I zamknęła piwnicę na kłódkę.  
Został Kajtuś w ciemnym korytarzu. Ale się nie boi. Myśli, czy aby uradzi<sup>14</sup> ciężką sztabę złota.

Szuka w beczce: pusta.

Namacał pierwsze drzwi i mówi:

— Otwórz się, Sezamie.

Nic. Namacał drugie drzwi:

— Otwórz się, Sezamie.

Znów nic.

Idzie, wraca. Ciemno.

Kręci się, szuka. Już nawet nie wie, gdzie jest. Sam jeden tak błądzi. Ciemno, cicho.

— Sezamie, otwórz się.

Ale zaczął płakać. Przestraszył się dopiero.

Bo może duchy albo szczury?

Mały był. Do szkoły jeszcze nie chodził.

Krzyczy, wali ręką w ścianę.

Myśli, że już się nie wydostanie.

— Mamo, babciu!...

I naprawdę mógł długo siedzieć, bo babcia go nie szukała. Bo czy to pierwszy raz Kajtuś na ulicę albo gdzie do sąsiadów?

Już mu głosu zabrakło.

— Babciu, tatku, mamo!

A na schodach ludzie nie słyszą, bo stukają butami. I Kajtuś stoi nie przy drzwiach, a na końcu, gdzieś koło beczki.

Ale listonosz przyszedł i w torbie listy układa. Stoi w sieni. Usłyszał. Słucha. Co to? Ktoś tam w piwnicy zamknięty.

Dzieciak chyba.

Zawołał.

Pytają się:

— Dlaczego nie odezwałeś się, kiedy cię babcia wołała? Dlaczego za beczkę wlałeś?

Nie odpowiada.

Nie, żeby się kary bał.

Nie chce.

Nacierpiał się. A jeszcze go wyśmieją.

Oj, Antoś, Antoś. Zawsze jakieś figle.

Prawdziwe imię Kajtusia jest Antoś. Tak nazywają go w domu.

Kajtusiem został na podwórku między chłopakami.

Bo stoi raz przed bramą i pali papierosa.

Pociągnie i dmucha, pociągnie i dmucha.

A stara się, żeby dużo dymu było. Bo zapłacił pięć groszy, więc chce, żeby było ładnie.

Mógł kupić czekoladkę, ale papieros ciekawszy.

A ulicą przechodzi żołnierz.

Zatrzymał się, patrzy, śmieje się.

Mówi:

— No! Mały taki Kajtuś, a kurzy jak stary.

— Więc co?

Zawstydził się Antoś i obraził.

A chłopcy zaraz:

— Kajtuś, mały Kajtuś!

Żli byli, że nie dał pociągnąć. Sami bali się palić, ale zazdrościli.

I tak już zostało: nie Antoś, a Kajtuś.

---

<sup>14</sup>uradzić coś (pot.) — dać radę udźwignąć coś. [przypis edytorski]

Z przezwiskami jest tak. Jeżeli się nie gniewać, to często zapomną i przestaną. Jeżeli się złościć, to właśnie jeszcze bardziej. Bo lubią dokuczyć.

Kajtuś bił, nie dał się przezywać. Ale co jeden poradzi ze wszystkimi?

A dwóch Antosiów było na podwórku, więc nawet wygodniej, że jeden z nich Kajtuś. Wiadomo, kogo wołają. Wreszcie się przyzwyczaił, ale niezupełnie. I w ogóle — nie lubi kolegów.

Trzeci rok chodzi Kajtuś do szkoły, a nie znalazł na długo dobrego kolegi. Mało naprawdę porządnych. Bo tylko udają. Lizuchy<sup>15</sup>.

Boją się. Ze strachu spokojni, bo w domu na nich krzyczą albo biją. Tacy najwięcej kłamią.

Kajtuś też nauczył się kręcić i udawać.

Nie można się zanadto przyznawać. Gdyby dorośli lepiej rozumieli, wtedy co innego.

Mówi Kajtuś:

— Nie wiem, czego ode mnie chcą.

Choć wie dobrze.

Mówi:

— Kłamstwo od początku do końca.

Choć we środku<sup>16</sup> jest trochę prawdy.

Powiadają:

— Pobił tak, że się chłopiec ruszyć potem nie mógł.

— Co się ma nie ruszać? Przecież nie zabiłem.

— Mało mu ręki nie złamał.

Już odpowiadaj nie za to, co naprawdę zrobiłeś, ale i za to, co się mogło stać.

Owszem. Są chłopcy poważni, ale zarozumiali.

Albo cicha woda, albo niedotykałski.

Zaraz:

— Odsuń się.

— Przestań.

— Odejdź.

Trzeci rok chodzi Kajtuś do szkoły.

Ale i tu ciągle skargi.

Kiedy przyszedł do pierwszego oddziału<sup>17</sup>, pani go pochwaliła.

— Umiesz już czytać. Kto cię nauczył?

— Sam się nauczyłem.

— Zupełnie sam?

— Wcale nietrudno.

Usiadł na pierwszej ławce.

I zaczęło się:

— Siedź prosto. Nie kręć się. Nie rozmawiaj.

Znów:

— Nie kręć się. Siedź spokojnie. Nie baw się ołówkiem. Uważaj.

Początek godziny łatwy. Potem coraz trudniej.

Kiedy nareszcie dzwonek?

Opowiada pani coś ciekawego. Wtedy okropnie złości, że przerywają. Pani zaczyna się gniewać, aż słuchać się odechce.

W domu wolno oprzeć się o stół, gdy ojciec opowiada, wolno oprzeć się o łóżko, gdy mama mówi bajkę, oprzeć się o kuferek, gdy babcia wspomina dawne dzieje.

W domu wolno pochylić się i przeciągnąć, zapytać, gdy się nie rozumie.

<sup>15</sup>*lizuch* (rzad.) — lizus, przypochlebający się. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*we środku* — dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*oddział* — tu daw.: klasa. [przypis edytorski]

A w szkole chcesz powiedzieć słówko, zaraz podnoś dwa palce do góry i czekaj.  
No tak. Dużo w klasie dzieciaków i pani nie może osobno rozmawiać, bo inni zaczęli hałasować. Ale to strasznie przeszkadza.

— Cóż, Antoś? — pyta się ojciec. — Jak ci się w szkole powodzi?

— Hm.

— Co w szkole słychać?

— Nic.

Nie bardzo nawet lubi rozmawiać o szkole.

Przeniosła go pani na czwartą ławkę koło okna.

Ale nie wolno przez okno wyglądać.

Na pierwszej ławce sąsiad był spokojny, a ten z czwartej zaczepia. Z tyłu za ucho ciągnie. Nie boli, ale czego zaczyna?

Chcesz powiedzieć, żeby przestał, i pani zaraz:

— Nie odwracaj się.

— A co zrobię, jak muszę?

— Idź do kąta.

— Pani nie wie i mówi — mruczy Kajtuś.

— Wyjdź za drzwi.

Aż wezwali ojca do szkoły.

— Co tam zwojowałeś?

— Biłem się z chłopakiem. Zaczął rozpowiadać, że się Kajtuś nazywam.

— No bo prawda: tak cię nazywają.

— Więc co, że prawda? Co innego podwórko, co innego szkoła.

— Trzeba było mu wytłumaczyć.

— A jakże. Będzie się słuchał.

— Bić się nie wolno.

— Wiem.

— Oj, Antoś, źle zaczynasz. Oj, Antoś, bo jak stracę cierpliwość...

W kancelarii pani bardzo się skarżyła.

— Nie słucha się. Niedobry dla kolegów. Rozbija się. Obgaduje.

Zmartwił się ojciec.

— Musisz się starać.

Stara się, ale co?

Parę dni już dobrze, potem znów awantura.

Siedzi ktoś przed Kajtusiem i trąca go łokciem; nie jego, a zeszyt.

Kajtuś:

— Zabierz rękę.

A on:

— Bo co? Nie pozwolisz?

— Poczekaj: dam ci po dzwonku.

— Dużo się boję.

Kajtuś go ręką tylko, a on zawadził łokciem o kałamarz<sup>18</sup> i atrament wylany.

I kłamię jeszcze.

A pani nie wierzy Kajtusiowi.

Innemu się uda, a Kajtusiowi nie.

Stara się Kajtuś.

Na próżno.

Jeśli na lekcji cichy, na przerwie coś zmajstruje.

Aż złość bierze.

I już nie warto się starać.

I nie zawsze można wytrzymać, jak go coś skusi albo żart przyjdzie do głowy.

Ot, nudzi się Kajtusiowi na rachunkach.

I pan patrzy na zegarek i czeka na dzwonek.

Szkoła

Szkoła

Szkoła, Żart

<sup>18</sup>kałamarz — naczynie do przechowywania atramentu. W czasach, w których powstała ta książka, dzieci w szkołach używały zwykle pióra składającego się z podłużnej drewnianej osadki z zamocowaną metalową stalówką, którą maczalo się co chwilę w kałamarzu z atramentem. [przypis edytorski]

Co robić, żeby się prędzej skończyło?  
Ano — wskakuje na ławkę.  
— Oj, proszę pana, mysz. Tam w dziurce koło pieca. Jeszcze widać ogonek.  
Pan uwierzył.  
— Wstydź się. Duży chłopak i boi się myszy.  
Klasa w śmiech. Żeby się panu przypodobać.  
— Myszy się boi. Tchórz!  
Schodzi Kajtuś z ławki i mówi:  
— Phi. Nie było żadnej myszy, tylko tak nabujałem.  
— Była — mówią.  
— No to poszukaj, gdzie przy piecu dziurka.  
Patrzą: naprawdę nie ma.  
Myślał, że panu smutno, więc chciał rozweselić.  
A pan się obraził.  
Już pisze kartkę do ojca.  
Tylko dzwonek go uratował.  
Mówią, że błazen.  
Nieprawda.  
I czyta dużo, i myśli poważnie, i na lekcji zadaje mądre pytania.  
Tylko że koledzy wcale nie za to go szanują, a właśnie za głupstwa.

#### ROZDZIAŁ TRZECI

Dziwny jest świat i tajemniczy — Zegar czarodziejski — Kajtuś sam się nauczył czytać  
Lubi Kajtuś to, co wesołe.  
Lubi, jeżeli trudne.  
Ale najwięcej lubi — tajemnicze.  
Pierwsza bajka tajemnicza, którą mama opowiadała — o „Czerwonym Kapturku”.  
Dowiedział się z tej bajki, że są wilki. Dzikie zwierzęta.  
Widział wilka na obrazku. Podobny do psa.  
Już potem wilka zobaczył w klatce żelaznej.  
Chciał włożyć rękę między kraty; chciał spróbować. Ale mama nie pozwoliła.  
Druga bajka — o „Śpiącej Królewnie”.  
Dowiedział się, że są wróżki.  
Trzecia — o „Kopciuszku”.  
Wróżka dotknęła Kopciuszka laseczką i biedna sierota stała się księżniczką.  
Później Kajtuś widział prawdziwą laskę czarnoksiężką.  
To było na przedstawieniu w parku.  
Pan uderzył laską w wodę i woda zamieniła się w wino.  
Potem pan pokrajał chustkę do nosa, włożył kawałki chustki do kapelusza. Stuknął  
laską w kapelusz. Powiedział:  
— Fokus — pokus.  
I chustka do nosa znowu cała.  
Ojciec mówi, że to są — sztuki magiczne.  
— Ale jak się to robi?  
Bardzo był Kajtuś ciekawy.  
— Mamo, bajkę — prosi.  
Bajka o „Kocie w butach”.  
Tam wilk rozmawia z Kopciuszkiem, tu kot rozmawia z synem młynarza.  
— Czy można z kotem rozmawiać?  
Mama mówi, że przecież bajka.  
Babcia mówi, że pustelnik rozmawia ze zwierzętami.  
Tata mówi, że są ptaki gadające. Nazywają się papugi. A dziadek miał srokę gadającą.  
Potem Kajtuś słyszał, jak papuga mówi ludzkie wyrazy.  
Myślał Kajtuś, że tylko w bajce jest złota rybka, a tu nagle widzi rybki złote w sklepie  
na wystawie.  
Pomieszana jest w bajkach prawda i nieprawda.  
Więc może jest pierścień czarodziejski, który wywołuje ducha?

Kajtuś chce mieć taki pierścień, jaki miał Aladyn.  
Tyle różnych dziwów na świecie.  
Dorośli wiedzą, ale nie chcą wytłumaczyć.  
Babcia mówi, że jej się Helenka pokazała po śmierci. A ojciec nie wierzy w duchy.  
Babcia mówi, że można wyczytać z ręki przyszłość człowieka.  
— Kiedy byłam młodą dziewczyną, Cyganka wszystko powiedziała, co będzie.  
— Kłamią Cyganki — mówi ojciec — ludzi tumanią.  
Chce Kajtuś wiedzieć, co będzie. A ojciec nie lubi, żeby opowiadać Kajtusiowi o rzeczach tajemniczych; bo potem nie może zasnąć i śpi niespokojnie, i rozmawia we śnie.  
To dziwne.  
Jak można spać i mówić?  
A są ludzie, którzy chodzą nawet we śnie.  
Nawet chodzą.  
Wyjdzie taki z łóżka w noc księżycową, potem przez okno na dach. Oczy ma zamknięte, a widzi i nie spada z dachu.  
Zapomniał Kajtuś, jak dziwnie się jakoś nazywają.  
Dziwny jest świat i tajemniczy.  
Bo co? Ojciec był małym chłopakiem, babcia bawiła się lalką, a mama też miała babcie.  
Czy nie dziwne, że Kajtuś urośnie i także będzie tatusiem?  
Trudno jakoś zrozumieć.  
Jedno było, ale dawno. Drugie dopiero będzie. Trzecie jest, ale daleko.  
Są dalekie kraje. Tam ludzie są czarni. I dzieci czarne, i nauczyciel w szkole czarny.  
Widział Kajtuś na ulicy takiego Murzyna, ale nie ludożercę.  
Mówi babcia, że są oczy uroczone<sup>19</sup>; jak spojrzysz złym okiem, to człowiek zachoruje.  
Ojciec mówi, że nie. A Kajtuś widział pana, który miał szklane oko, prawdziwe oko ze szkła.  
Mówi ojciec, że nie ma czarodziejów, ale jest fakir<sup>20</sup> indyjski. Można go zakopać w ziemi, a on będzie żył. Czytał ojciec o fakirach w gazecie.  
Czasem i gazeta kłamie.  
Żeby tak wiedzieć wszystko zupełnie na pewno.  
Wydaje się Kajtusiowi, że przedtem ciekawiej było na świecie.  
Gdzie teraz domy i Warszawa, były wtedy lasy i bagna, i niedźwiedzie.  
W lasach ukrywali się zbójcy.  
Byli rycerze.  
Byli królowie w koronach.  
Sześć białych koni ciągnie złotą karetę królewską.  
Było na co popatrzeć.  
Napadali Tatarzy. Brali w jasyr<sup>21</sup>. Porywali dzieci i sprzedawali Turkom w niewolę.  
Były tajemnicze zegary.  
W domu babci był zegar tajemniczy. Duży był i wisiał nad komodą. Rodzice babci mieli ten zegar. Mieszkali nie w Warszawie.  
— Niech babcia opowie o zegarze — prosi Kajtuś.  
— Kiedy się ojciec gniewa, że cię straszę, a potem śpisz niespokojnie.  
— Tylko ten jeden raz, moja kochana. Przecież już wiem i tak. Przecież<sup>22</sup> się nie boję.  
— Ano, zegar był stary, bardzo stary.  
— Złoty był — podpowiada Kajtuś.  
— Nie złoty, a złocony. Z drzewa. Pozłacany. Rzeźbiony.  
— Na tym zegarze była ręka, a pod ręką klucz — mówi Kajtuś.  
— Tak, właśnie. Tu na dole tarcza zegara z numerami godzin, a wyżej ręka i klucz.  
— I zegar nie chodził — mówi Kajtuś.  
— Ani chodził, ani bił. Żaden majster nie umiał go naprawić. Wisiał na ścianie i czekał czasu.

Zabobony

<sup>19</sup>uroczne oczy — oczy rzucające urok; wierzono, że niektórzy złym spojrzeniem mogą sprowadzać nieszczęście. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>fakir — asceta hinduski. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>jasyr (z tur.) — niewola tatarska lub turecka. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>przecież (daw.) — przecież. [przypis edytorski]



Kajtuś przysuwa się bliżej.  
 — Czy duży był?  
 — Jak obraz. Wisiał nad komodą.  
 — A ręka była duża?  
 — Jak twoja.  
 — No, dalej — niecierpliwi się Kajtuś.  
 — Ano, zegar wisi, ani chodzi, ani bije. Ale kiedy miało być jakie nieszczęście w rodzinie, ręka brała ten klucz i zegar bił, dzwonił.  
 — Którą godzinę? Dwunastą?  
 — Nie. Nie pamiętam. Byłam wtedy młoda, a twoja mama była małeńka. Jeszcze ząbków nie miała.  
 — No i co?  
 — Raz ręka wzięła klucz i zegar bił na śmierć dziadka. Raz przed pożarem. A ostatni raz sama widziałam i słyszałam.  
 — Czy głośno dzwonił?  
 — Zwyczajnie, jak zegar.  
 — A długo ręka ten klucz trzymała?  
 — Cóż ci będę mówiła, kiedy nie pamiętam.  
 — A palce ręki się ruszały?  
 — Nie wiem, Antosiu.  
 Kajtuś też wiele zapomniał — nie pamięta, jak sam był mały.  
 — Babciu, niech babcia opowie, jak złodzieje truli Azora.  
 — Już tyle razy mówiłam. Mieliśmy dwa psy. Azor wtedy był młody, a Kado stary i mądry.  
 — Czujny był — dodaje Kajtuś.  
 — Wierny, mądry pies.  
 — A złodzieje podrzucili zatrutą kielbasę — podpowiada Kajtuś.  
 — Ano tak. Ale Kado poznał od razu. Wącha kielbasę, szczeka i nie rusza.  
 — Oj, babciu. Z tym felczerem<sup>23</sup>. Taka śmieszna historia.  
 — I śmieszna, i nie. Twoja mama zachorowała. I dziadek wezwał felczera.  
 — Kado na łańcuchu.  
 — No tak. Silny pies. Mógł poszarpać obcego człowieka.  
 — Ale się zerwał z łańcucha.  
 — Zerwał się i skoczył do tego felczera.  
 — A on parasol otworzył.  
 — Tak. Wskoczył na śmietnik i parasol otworzył.  
 — A Kado w nogi.  
 — Poczekaj. Nie spiesz się. Więc Kado ogon podwinął, odskoczył. Stoi jak głupi i woła na pomoc.  
 — Pewnie myślał, że parasol strzela?  
 — Kto tam wie, co pies myśli.  
 Kajtuś ziewa. Nie śpiący, ale się zmęczył.  
 — Śmieszne było — mówi babcia — jak to wielkie psisko jadło z szaflika<sup>24</sup> z małą kotką.  
 — Z Kicią?  
 — Nie. Kicia wcześniej była.  
 — Więc niech babcia opowie.  
 — A to tak. Należymy do szaflika jedzenie dla psa, a kotka zaraz już jest. Niegłodna, tylko przychodzi się drażnić. A Kado czeka, żeby wybrała sobie, co chce. Niecierpliwi się, złości, chce łapą odsunąć. A ona jeszcze parska. Sto pociech było.  
 Śmieje się babcia, choć to dawne dzieje.  
 Śmieje się Kajtuś, choć tego nie widział.  
 — Jeszcze, babciu, o szczurach.  
 — Ale już koniec.

Pies

<sup>23</sup>felczer — osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>szaflik — drewniana misa a. wiadro. [przypis edytorski]

— Dobrze — zgadza się Kajtuś.  
 — Ano, stary był nasz domek, ale czysty. Ani robactwa, ani myszy. A niedobrego mieliśmy sąsiada. Tu stoi nasz domek, tu płotek — i zaraz jego rudera.  
 — Pijak był — mówi Kajtuś.  
 — Pijak i awanturnik.  
 — Żonę bił.  
 — Bił. Więc siedzimy raz z twoim dziadkiem. Dziadek czyta książkę, a ja szyję. Siedzimy sobie na ganeczku przed domem. Taka była altanka.  
 — Obrośnięta dzikim winem.  
 — No tak. Twoja mama i wujo już spali. Dawniej dzieci wcześniej spać chodziły. Ano, siedzimy, każdy swoim zajęty. Cicho. Nagle krzyk: „Ratujcie, ludzie! ratunku!” Dziadek jeszcze nic, słucha. Ale ona, ta jego żona, tego sąsiada, krzyczy: „Ratunku, bo mi dziecko zabije!”  
 — I dziadek skoczył.  
 — W mig skoczył, Antosiu. Twój dziadek był w gorącej wodzie kąpany. Dobry bo dobry, ale sprawiedliwy.  
 — Złapał laskę.  
 — Grubą laskę i skoczył przez płotek.  
 — I w łeb pijaka.  
 — A co? Nie miał bronić dziecka?  
 — Pijak się zemścił — przypomina Kajtuś.  
 — Zemścił się. Znał jakiś sekret, że szczury nam naprowadził. Dużej szkody nie zrobiły, bo i dziadek miał swoje sposoby. Tylko jeden został — wielkie takie szczurzysko.  
 — Był taki duży jak kot?  
 — Tyle nie. Ale nie można go było złapać, tego szczura.  
 „Pewnie zaczarowany” — pomyślał Kajtuś, ale nic nie mówi.  
 — Dziadek zwabił tego szczura do kuchni. Jest. Dobrze. Zamknął wszystkie drzwi i szuka. Nie ma. I tu, i tam, i tu, i tam. Nie ma i nie ma.  
 — Schował się pod schodek.  
 — Nie pod schodek wcale. Nieuważnie słuchałeś. Owszem, był schodek z kuchni do sieni. Dziadek odwalił ten schodek siekierą, ale szczura nie ma. No, przypomnij sobie, Antosiu.  
 — Wiem. W kieszeni fartucha się schował.  
 — I to nie. Wisiał w kącie fartuch. Ale szczur powiesił się zębami, tak skoczył i wisiał na zębach, w płótno się wgryzł. No już.  
 — Babciu, jeszcze o beczce do wody deszczowej.  
 — I co ciekawego? Że w beczce znalazłam ropuchę?  
 — A pożar, babciu?  
 — Nie, nie. Już późno. Ojciec będzie się gniewał.  
 — No to o kurach, które się niosły w drewnitni.  
 — Nie. Śpiący jesteś. Ziewasz.  
 — Wcale mi się spać nie chce.  
 Ale widzi Kajtuś, że babcia nie ma ochoty, więc się do snu rozbiera.  
 Najwięcej babcia opowiadała, kiedy mama była w szpitalu.

Leży Kajtuś w łóżku.

Oczy ma zamknięte.

Myśli:

„Co to znaczy, że dziadek był w gorącej wodzie kąpany? Dlaczego babcia mówi, że nie można wiedzieć, co pies myśli? Dlaczego dzikie wino? Mówiła babcia, że dzikie wino to zwyczajne liście trujące, nawet nie pokrzywa, więc dlaczego dzikie?”

Nieprzyjemnie zawsze prosić, żeby wytłumaczyli. Czasem chcą, czasem nie chcą powiedzieć. A jak nie chcą, to tak pokręcą, poplączą, że nie można zrozumieć.

Aż złość bierze.

— Trzeba nauczyć się czytać. Sam dowiem się z książki. Po co czekać, aż zacznę chodzić do szkoły?

W książkach wszystko napisane. Kto czyta, ten wie. I sam wszystko może. Z książek wie doktor<sup>25</sup>, jak leczyć choroby. Tak mówi ojciec.

Gdyby Kajtuś umiał czytać, mama byłaby zdrowa.

Trzeba tylko wyszukać w książce dobre lekarstwo.

Zna już Kajtuś cztery litery. Umie pisać jedynekę i czwórkę.

Spróbuję!

Książka

Kiedy Kajtuś był mały, ojciec mu dawał gazetę.

— Masz, czytaj.

Kajtuś patrzy na gazetę i plecie, co mu ślina do ust przyniesie:

— Etle, fetle, metle.

Nie rozumie, co znaczy „czytać”.

A wszyscy się śmieją.

Albo smaruje ołówkiem na papierze i zdaje mu się, że pisze.

Teraz wie, że to były żarty.

— Babciu!

— Jeszcze nie śpisz?

Wyskoczył z łóżka i niesie swoją książkę.

*Kot w butach.*

Patrzy:

Kot. Trzy znaczki. Przeliczył: trzy. W środku: „O”. Kółko — litera.

Gdzie tu kot? Skąd znowu kot?

— Babciu, prawda, że we środku w kocie jest litera O?

— Prawda, prawda. Już śpij. Ojciec będzie się gniewał.

Wcześniej obudził się Kajtuś.

Zaraz na podwórko.

Prosi chłopca, który chodzi do szkoły:

— Pokaż litery.

— A tobie na co? I tak nie zrozumiesz.

Obiecał Kajtuś fundę<sup>26</sup>: ananasowy cukierek.

— No to uważaj. Patrz.

Przygląda się, patrzy. Uważa.

Ale nie rozumie.

A ten się śmieje.

— Za mały jesteś. Za głupi.

Zawstydył się Kajtuś.

Potem nie pytał się chłopców. Bo dziewczynki cierpliwsze.

Troszkę wytlumaczyły.

A ojciec resztę.

— Widzisz. Tak jest „kot”, tak jest „kos”, tak będzie „koń”.

Nareszcie wie.

Sam się domyślił, dlaczego: „rak” i „rok”, dlaczego „bat” i „but”.

Przeczytał na ulicy: „Kino”.

Przeczytał:

„Piwo — Ser — Masło”. „Apteka”.

Czyta szyldy sklepowe, nazwy ulic, bilety tramwajowe, pudełka od papierosów.

Raz łatwo, więc sobie śpiewa i pogwizduje; to znów zły, bo nie może dać rady.

— Kupię książkę szkolną. Co się mam ciągle prosić.

Książka, Nauka

<sup>25</sup>doktor — dziś popr.: doktor. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>fundę (pot.) — to, co się komuś funduje, kupuje komuś w prezencie. [przypis edytorski]

Zaczął zbierać pieniądze. Zebrał trzydzieści groszy i zgubił, bo dziurę ma w kieszeni.  
Aż ojciec się ulitował i kupił.  
— Masz. Czytaj. Może nie będziesz tak latał po podwórku.  
Ojciec zgadł. Kajtuś siedzi i czyta.  
— Prędko mu się znudzi.  
Ojciec nie zgadł. Nie znudziło się Kajtusiowi.  
Budzi się rano, zaraz książka. Kładzie się spać, książka pod poduszkę.  
Ale najlepiej czytać nad Wisłą.  
Czyta — czyta, zmęczony się — oczy bolą — patrzy na wodę, na chmurę, na łódki.  
Odpocznie — i znów łatwo.  
Już niby wie i umie, a tu dwie litery czyta się razem, jak jedną.  
Są znaki, których się wcale nie czyta.  
Są litery małe i duże, pisane i drukowane.  
Nagle przy łatwych wyrazach stoi wyraz trudny.  
Albo wyraz drukowany niepodobny do tego, co się mówi.  
Bo mówi się „japko”, a pisze się „jabłko”. Dlaczego?  
Niby znajomy wyraz, a trzeba się dopiero domyślać, co znaczy.  
Są w książkach i takie wyrazy nowe, których Kajtuś jeszcze nie słyszał.  
Bo dorośli trudniej mówią między sobą.  
Chce już Kajtuś czytać napisy w kinie.  
Aleee... Za dużo od razu.

Mama wróciła ze szpitala i bardzo się zdziwiła.  
— Antos czyta. No, no. To niespodzianka dopiero.  
— Ma chłopak charakter — pochwalili go ojciec.  
— Będą z niego ludzie — mówi babcia.  
— Ucz się. Ucz się, synu, żeby tobą nie poniewierali.  
Ojciec nie mówił: „Ucz się, Antosiu”.  
Nie powiedział: „Antosiu” ani „Kajtusi”.  
A powiedział: „synu”.  
Tak ładnie, tak uroczyście.  
Synu. Cztery litery.  
Ssss — y — nnn — u.  
Teraz w szkole Kajtuś nie tylko bajki czyta, ale i grube książki bez obrazków.  
Dużo czyta.  
Zapomniał już nawet, że mu kiedyś trudno było czytać.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY

Smok, rusałka, syrena — Wiedza tajemna — Kajtuś chce być czarodziejem — Trzyznaście czarów w szkole

Kajtuś czyta.  
Czyta o wojnach.  
O podróżach.  
Czyta o krajach i ludach. O zwierzętach i gwiazdach. I jak innym ludziom dzieje się na świecie.  
No i...  
Zdaje się, że wszystko dobrze.  
Niby wie coraz więcej. Niby wie coraz lepiej. Już prawie rozumie. Ale nie tak, jak chce. Nie wszystko dokładnie. Zawsze jakaś tam tajemnica.

Aż doczekał się.  
Pani akurat zastępowała chorego nauczyciela. Była wesoła. Chętnie odpowiadała.  
Można się było dokładnie rozpytać.  
Dawno już czekał Kajtuś na taką godzinę.

Nauczycielka

A zaczęło się jakoś od smoka na Wawelu — od Krakusa.

— Były smoki czy nie? Ile głów miały? Czy ziały ogniem? Czy były rusalki i syreny?

Pani tłumaczy:

— Były zwierzęta skrzydlate. Ptaki przedpotopowe. Były słonie-mamuty. Są wykopaliska.

— A król? A paź, a giermek królewski? Książęta i rycerze? Czy trefniś<sup>27</sup> musiał być garbaty? Dlaczego astrolog i alchemik, i sennik egipski?

Pani opowiada o wróżbach i przepowiadaczach.

— Astrolog z gwiazd odczytywał przyszłość. Alchemik robił złoto i lekarstwa: na starość i wszystkie choroby.

Usłyszał Kajtuś:

— Kamień filozoficzny<sup>28</sup>. *Perpetuum mobile*<sup>29</sup>. Wiedza tajemna.

Od dawna już czeka na taką godzinę.

— A magik, proszę pani? A hipnotyzer? A duchy? Czy Cyganki kradną dzieci i sprzedają do cyrku?

— Poczekaj. Nie wszystko od razu.

Roześmiał się któryś, niby że to dziecinne pytania. Ale go pani ostro skarciła i dalej mówi:

— Tak było, tak jest, tak może będzie. To wiemy, tego nie wiemy. A śmiać się nie należy.

I już jakby z jednym tylko Kajtusiem rozmawia. Tak zrozumiale tłumaczy.

Czy żyli siłacze: Samson<sup>30</sup> i Herkules<sup>31</sup>? I Madej<sup>32</sup>? I mistrz Twardowski<sup>33</sup>? I Boruta? Jaka jest różnica między czarodziejem i czarnoksiężnikiem?

Nagle...

Niežnośny dzwonek. Już się zrywają szczeniaki. Dzwonek ostry, natrętny. Hałas..

— Nie chcemy przerwy! — woła Kajtuś. — Niech pani dalej mówi.

Pani się uśmiechnęła.

— Dlaczego to cię tak zajmuje?

— Bo on jest, proszę pani, Kajtuś i kurzy jak stary.

— Bo on chce być czarodziejem.

Zerwał się Kajtuś.

Przyskoczył. Zamierzył się. Będzie awantura.

Nie!

Pani zmarszczyła brwi. Tak jakoś dziwnie spojrzała.

I tylko:

— Antoś, proszę cię! Zostań! Wyjdźcie wszyscy z klasy.

Kajtuś czerwony zacisnął zęby. Stoi — czeka.

Zostali we dwoje.

— Dziękuję ci, Antosiu — mówi pani.

— Dlaczego mnie drażnią? Dlaczego przeszkodzili?

— Zastanów się. Jesteś rozumny człowiek.

Zdziwił się: „Człowiek?”

<sup>27</sup>trefniś — zawodowy błazen na daw. dworach. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>kamień filozoficzny — legendarna substancja, zdolna do zmieniania metali nieszlachetnych w złoto. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>perpetuum mobile (łac.) — dosł. wiecznie się poruszające; hipotetyczne urządzenie, które raz wprowadzone w ruch funkcjonowałoby nieustannie bez pobierania energii z zewnątrz; w przeszłości wielokrotnie podejmowano próby skonstruowania tego rodzaju mechanizmu, jednak jego zbudowanie jest niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Samson — biblijny wojownik obdarzony nadludzką siłą; podstępem schwytany do niewoli przewrócił kolumny budynku, grzebiąc pod ruinami siebie i wrogów. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Herkules (mit. gr.) — bohater słynny z ogromnej siły i wykonania 12 trudnych i niebezpiecznych zadań. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Madej — legendarny zbój z Gór Świętokrzyskich. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Twardowski — legendarny szlachcic, mieszkający w Krakowie w XVI w., który zaprzedał duszę diabłu w zamian za wielką wiedzę i znajomość magii. [przypis edytorski]

A pani mówi:

— Ty chciałeś słuchać po dzwonku, a oni nie. Mieli prawo nie chcieć. A ty nie przeszkadzasz nigdy? Nie trzeba być takim porywczym.

Powiedziała pani: „porywczy”, nie: „złośnik”. Dziadek też był porywczy.

Pani wyszła.

Kajtuś został sam w klasie.

Stało się.

Już wie.

Już wie teraz.

Ten chłopak prawdę powiedział!

Już wie zupełnie na pewno.

Chce być czarodziejem!

Nie paziem królewskim, nie rycerzem, nie cyrkowcem i nie kowbojem. Nie magikiem, co sztuki pokazuje. Ani Ali Babą, ani detektywem.

A właśnie czarnoksiężnikiem.

Teraz już wie stanowczo. A przeczuwał dawno.

Już nawet wtedy, gdy był mały, gdy mama czytała bajki, gdy ojciec o dawnych dziejach prawił, a babcia opowiadała o dzikim winie, o szczurach i o starym zegarze.

Nawet nie siłaczem jak Herkules, i nie gwiazdą filmową. Ani bokserem, ani lotnikiem.

Chce i musi poznać wszystkie zaklęcia.

Chce być potężny...

Ten chłopak prawdę powiedział...

Mówi pani, że nie ma zaklęć ani czarów.

Nieprawda. Muszą być. Są. Pani ich nie zna. Bo co innego książki szkolne, a co innego wiedza tajemna.

Sam Mickiewicz pisał o Twardowskim. I królowie wierzyli. Więc musi być prawda.

Pewnie astrolog tak czytał gwiazdy jak Kajtuś w książce litery. Jest. Musi być eliksir na wszystkie choroby, tylko go zwyczajni doktorzy nie znają.

Mylił się Kajtuś, gdy myślał, że się dowie w szkole, że z książek wyczyta.

Nie. Musi sam.

Będzie trudno. Nic nie szkodzi.

Zacząć trzeba. A gdy zacznie, to skończy.

Tak.

Chce mieć czapkę niewidkę i buty siedmiomilowe. I dywan, i torbę, i pierścień, i kure, co znosi złote jaja. Nie zwyczajne, a złote. Będzie mógł zaczarować, kogo zechce, każdego nieposłusznego. Będzie władcą najpotężniejszym. Muszą go się słuchać.

Musi ćwiczyć wzrok. Znajdzie jakoś pierwsze zaklęcie — jeden wyraz magiczny, indyjski albo grecki.

Postanowił. Ślubował.

Zaczął i kończy.

Od tej pory ma Kajtuś dwa różne życia.

Jedno zwyczajne: w domu, w szkole, na ulicy.

Drugie życie inne, własne, tajemnicze, wewnętrzne.

Niby nic.

Bawi się, goni, zakłada się, wygrywa i przegrywa zakłady; drażni się, przezywa i błaznuje.

Ale naprawdę — rozmyśla o czarach i próbuje. Różnie próbuje — i czeka.

Ćwiczy wzrok i myśli. Myślą i spojrzeniem rozkazy wydaje.

Patrzy z całej siły na chłopca, który przed nim siedzi na ławce. Patrzy i rozkazuje:

„Każę ci się odwrócić. Odwróć się”.

Czary, Dziecko

Oczami i myślą woła, nie głosem.  
Albo patrzy na nauczyciela.  
„Chcę do tablicy. Żądam: niech mnie pan wywoła. Chcę odpowiadać!”.  
Albo na ojca.  
„Chcę pięćdziesiąt groszy. Na kino. Żądam. Proszę. Chcę być w kinie!”.  
Ano, raz się uda, wiele razy się nie udaje.  
Nic dziwnego. Czary są trudne. Zaczyna dopiero.  
Kajtuś czeka cierpliwie.  
Aż się doczekał.

Pierwszy czar był taki. Czary  
Pan chciał postawić zły stopień. Nie Kajtusiowi, nawet nie dobremu koledze, a zwy-  
czajnemu chłopcu.  
Kajtuś mocno pomyślał:  
„Niech pióro zginie”.  
I zaraz pan się pyta:  
— Gdzie pióro? Przed chwilą leżało.  
Chłopcy i pan szukają.  
— Nie ma. Kto zabrał?  
— Nie ja... I nie ja.  
Tymczasem dzwonek. Pan wychodzi, a pióro leży na stole jakby nigdy nic.

Drugi czar. Czary  
Pan pisze na tablicy. A Kajtuś: „Niech się kreda zamieni w mydło”.  
Chce pan pisać dalej — nie może. Ogląda kredę. Zły, mruczy coś pod nosem.  
— Co się stało? — dziwi się klasa. — Co takiego? Czego pan chce?  
Ale zaraz pan kredę mocno zacisnął i pisze. Tylko się skrzywił.  
I tak samo na geografii.  
Pan stoi przed mapą i tłumaczy. Nudna była lekcja.  
A Kajtuś krótko tylko i prędko pomyślał:  
„Niech się mapa przekręci do góry nogami”.  
Pan zamrugał. Zmarszczył czoło. Potarł oczy. Chłopcy nawet nie zauważyli, bo po  
chwili mapa znów równo wisi.

Kiedy potem liczył Kajtuś, ile mu się czarów udało, nie wiedział nawet, czy liczyć, czy  
to były czary prawdziwe.  
Bo co?  
Mogło się zdawać.  
Może zasnął na chwilę znudzony i tak się przyśniło. Czasem trudno odróżnić, co sen,  
a co prawda.  
A pióro, które znikło? Często tak się zdarza.  
Zginie coś. Szukasz, szukasz — nie ma i nie ma. Potem patrzysz: leży. Aż dziw. Aż  
złość bierze.  
Kajtuś chciał mieć pewność, że to nie przypadek, nie sen, nie omyłka, że naprawdę  
czar, a nie coś innego.  
To tylko liczył, co bez czaru w żaden sposób nie mogło się zdarzyć.

Więc był w klasie chłopiec niezdara. Aż dokuczali, aż żartowali z niego.  
Najgorzej na gimnastyce. A już najgorzej szło mu ze skokami przez linkę.  
Mówią.  
— Czego się boisz? Jak linka spadnie, przecież nie zabije.

Żał się Kajtusiowi zrobiło. Bo czego od niego chcą? Dobry, cichy chłopak.  
Rozkazał czarodziejskim sposobem.  
Udało się. Oferma skoczył ponad linką. Cały ogromny kawał. Tak lekko — chyba metr dwadzieścia.

— Zuch!

Chłopcy gęby pootwierali. Sam on skulił się przestraszony.

Krzyczą:

— Jeszcze raz. Jeszcze raz!

A ten w bek. Nie chce, nie będzie drugi raz skakał. Nie wie, co go podrzuciło.

Kajtuś uśmiecha się. Pomyślał:

„Ot, głupi naród”.

Bo przyjemnie wiedzieć, czego nikt nie wie, rozumieć, czego nikt nie rozumie, i móc, czego inni nie mogą.

Tak. To był czar.

Ale co tam: niech będzie, że się udało nie na rozkaz Kajtusia.

Miał ważniejsze dowody.

Zadała pani ćwiczenie. Nie chciało mu się, nie napisał. Ściągnie na pauzie od kolegi. Czary  
Ale nie lubi się prosić.  
Może pani nie będzie sprawdzała?  
Pani wywołała tego i owego. Wreszcie kazała Kajtusiowi pokazać zeszyt.  
Przykro. Przecież postanowił zawsze dla pani lekcje odrabiać. Bo lubi panią i wie, że pani go lubi.

„Co będzie, to będzie. Chcę — żądam — rozkazuję. Niech będzie napisane”.

Idzie śmiało. Nawet nie otworzył zeszytu. Ale czuje, że musi się udać.

Zeszyt gorący taki, potem zimny, potem już zwyczajny. Oddaje.

Pani zeszyt otwiera, czyta.

— Na miejsce. Bardzo dobrze.

Wraca Kajtuś — siada.

Patrzy: jest ćwiczenie w zeszycie.

Pismo czarne, zwyczajne, potem blade — już ledwo znać — i znikło.

Westchnął. Zmęczony się czuje. W głowie mu się kręci.

Czar z rowerami. Czary  
Na pauzie.  
Chłopaki gonią się, krzyczą, tłoczą i popychają. Nudzi się. Płatanina.  
Kajtuś zły pomyślał: „Niech będą wszyscy na rowerach”.  
Przestraszył się, kiedy zobaczył.  
— Już dosyć!  
Gdyby trwało dłużej, byliby się pokaleczyli, ręce i nogi połamali. Nie umieją przecież, a zresztą, jak się zmieszczą, w dodatku rozpędzeni?  
Cisza zapanowała.  
Groźna.  
Kajtuś blade, spocony.  
„Niech zapomną” — rozkazał.  
Skończyło się szczęśliwie.  
Jeden tylko leży na podłodze, za głowę się trzyma. Nie wie, czy go kto popchnął, czy się sam przewrócił.  
Tylko jeden spadł z roweru i nabił guza.  
Zapomnieli wszyscy, tylko woźny rozgląda się niespokojnie. Może dlatego, że stary.  
Widać, że coś podejrzewa.  
Potem siedzi Kajtuś w ławce i myśli, co by się stało, gdyby nie powiedział od razu, że dosyć. Jak by to się skończyło.



Wygląda tak, że trudniejsze są czary, które długo trwają.  
Dlaczego jedno uda się od razu, a drugie wcale?  
Może i prawdziwi czarodzieje chcą czasem, a nie mogą? Może czasem inaczej wychodzi, niż chcieli? W bajkach mówi się o czarach, które się udały.  
Kajtuś jest jakby uczniem dopiero. Bada, uczy się, próbuje.

Było tak:  
Była klasówka z rachunków.  
Pan podyktował zadanie.  
— Za trudne — wołają chłopcy. — Nie wiemy! Nie możemy!  
A Kajtuś: „Niech się atrament zamieni w wodę”.  
I zaraz.  
— Proszę pana. Atrament nie pisze. To woda.  
Zawołał pan woźnego.  
— Wczoraj nałalem — mówi woźny. — Taki sam atrament, jak w całej szkole. Musieli chłopcy coś wsypać.  
Dyżurny nie wie, nie widział. Był atrament. Nikt kałamarzy nie ruszał. Jakżeby nie zauważył?  
Pan polizał raz i drugi, wypluł, wzruszył ramionami. Udaje, że rozumie.  
— Poczekajcie. Powiem panu kierownikowi<sup>34</sup>. Cała klasa będzie odpowiadała. Dosyć tej łobuzerki. Nie uda wam się. Ołówkami pisać.  
Ale nie mają ołówków. I klasówki nie było.

Czary

Jeszcze więcej zamieszania wywołał dziewiąty czar Kajtusia.  
Były roboty<sup>35</sup>.  
Owszem, roboty mogą być przyjemne, jeżeli nauczyciel się stara, a chłopcy się słuchają. Bo jak nie, to roboty jeszcze się więcej przykrzą niż zwyczajna lekcja.  
Widzi Kajtuś, że do końca godziny daleko.  
Już tydzień cały żaden czar się nie udał. Więc myśli: spróbuję.  
„Chcę. Rozkazuję. Niech już będzie dzwonek”.  
Jest. Ale inny niż zwykle. Rozległ się jakby z góry, jakby fruwał w powietrzu i dzwonił.  
Wysypali się chłopcy z klas, ciekawi, dlaczego tak prędko — uradowani są niespodzianką.  
Pan kierownik zły wyszedł z kancelarii.  
— Co tu się dzieje? Dlaczego? Kto?  
— Ja nie dzwoniłem — mówi woźny.  
— Więc kto?  
— Nie wiem.  
Stoi stary i lży ma w oczach.  
— Panie kierowniku, niech mi pan wierzy albo nie. Nie jestem pijany. Nie pierwszy rok w szkole pracuję. Znam figle chłopców. I mówię: tu w szkole duchy jakieś gospodarują.  
— Dobrze, dobrze. Duchy. Proszę do kancelarii. A chłopcy do klasy!  
Przeciągnął się Kajtuś, ziewnął zniechęcony.  
Że też nie można zrobić czegoś, co by naprawdę było ciekawe. Zawsze się skończy jakoś głupio.  
Niby czarodziej — no i co z tego?  
Żał mu woźnego. Bo co stary winien? A wziął go kierownik do siebie i pewnie ruga.  
Nie chciał Kajtuś naprawdę martwić nikogo.

Czary

<sup>34</sup>kierownik — tu daw.: dyrektor szkoły. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>roboty — tu: zajęcia szkolne z prac ręcznych. [przypis edytorski]

Znów dwa ważne czary udały się Kajtusiowi — jeden zaraz po drugim.  
Był w klasie bogaty kolega.  
Przynosi na śniadanie różne przysmaki. Łakomy i chytry — nigdy nie poczęstował nikogo. Przyniesie ciastko z kremem, potem papier wylizuje językiem.  
Zaraz rano widzi Kajtuś, że żarłok wyjmuje swoją paczkę. Kajtuś spojrzął ostro, chwycił głęboko powietrze — i:  
„Niech ma żabę zamiast śniadania”.  
Krzyk zaraz.  
— Żaby w klasie!  
Żarłok oczy wybałuszył, stoi jak nieprzytomny. Żaba skacze, a oni się śmieją.  
— Patrzajcie! Żabę przyniósł na śniadanie.  
— Pewnie zagraniczna!  
— Z kremem!  
— Kiedy przyniósł, niech zjada!  
Wchodzi pani do klasy.  
Miała długą przemowę.  
— Żart niemądry. Ale gorzej, że ktoś zabrał dwie bułki z wędliną, ciastko i pomarańczę.  
Widzi Kajtuś, że panią zmartwił, więc chce pocieszyć.  
— Niech na stoliku przed panią leży róża.  
Pożałował, że to powiedział, bo go coś w sercu kolnęło, coś szarpnęło w środku boleśnie. Jak iskra elektryczna albo jak ząb się wyrzywa. Jakby się u niego ta róża wyrwała z piersi.  
I leży na stoliku.  
Wtedy pan się pytał:  
— Kto zabrał pióro? Przed chwilą było.  
Teraz pani:  
— Kto tu różę położył? Nie chcę. Za wiele sobie pozwalacie.  
Chłopcy proszą:  
— Niech paniusia powącha. Niech pani weźmie. Już my odkupimy śniadanie. Jedni proszą naprawdę, drudzy błaznują. Bo lubią, jak się coś takiego wydarzy. Po lekcji składkę zrobili.  
— Daj grosik do czapki na głodnego żarłoka.  
Dwanaście bułek, tuzin, kupili — całą torbę.  
— Masz. Jedz. Na zakąskę. Po żabie.

Dumny stał się Kajtuś. Nieprzystępny i niecierpliwy.  
Byle co, zaraz mówi:  
— Chcesz w zęby? Głupi! Patrzcie go: osioł, udaje mądrego.  
Już nikt go nie lubi. Bo rozbija się. Już nawet starszych zaczepia.  
A pokłócił się z chłopcem z szóstego oddziału. Wyrażnie się narywa.  
Otoczyli ich kołem. Dziwią się. Czekają na bójkę.  
— Może i mnie przewiesz osłem?  
— Owszem. I osłe uszy ci przyprawię.  
Miał Kajtuś w kieszeni lusterko, którym puszczał zajączki słoneczne po ścianie; nawet w klasie na lekcji.  
Podaje mu lusterko i mówi:  
— Masz. Patrz.  
Natężył myśl — napiął jak łuk czarodziejską wolę. Zażądał. Rozkazał.  
Ten patrzy: wydłużyły się uszy, urosły w górę. I znikło.  
Co takiego? Czy naprawdę, czy się tylko zdawało?  
— Skąd masz to lusterko? Sprzedaj. Naucz, jak się to robi.  
Zapomnieli o kłótni. Myślą, że jakaś sztuka.  
— Oddaj — mówi Kajtuś leniwie, z wysiłkiem.  
Złękli się. Widzą, że stoi blady, wargi mu posiniały. Oparł się o ścianę..

Rozbiegli się. Kajtuś sam został.  
„Trudny być musi czar zmieniać ludzi w zwierzęta, jeżeli same uszy tak mnie zmor-  
dowały”.

Samotny się czuje i słaby.

Inaczej sobie to wszystko wyobrażał, gdy pragnął zostać czarodziejem.

Aż trzynasty czar i ostatni w miesiącu: muchy.

Pan objaśnia. Kajtuś nie słucha. Myśli o tym i owym. Nie wie nawet, gdzie jest i co się dzieje wokół.

„Czy róża, którą dałem pani, też zaraz znikła? Może przeciwnie: nie zwiędnie, nie uschnie, bo czarodziejska, bo wyczarowana”.

Patrzy na piec, na sufit, na ściany.

Widzi na piecu muchę.

Mucha idzie w górę, prędko, jakby się spieszyła i bała się spóźnić. Potem przystanąła, jakby sobie coś przypomniała, i wraca. I tak trzy razy: w górę, na dół, w górę, na dół — po piecu. Potem frunęła i znikła.

Czego szukała na piecu, dlaczego się obraziła?

Rozgląda się Kajtuś, a mucha siedzi na ścianie. I tak samo: trzy razy w górę, trzy razy w dół. Więc chyba ta sama?

A na suficie cztery muchy: dwie duże, dwie małe. Tak śmiesznie maszerują parami. Przyleciała piąta.

Pan odwrócił się i patrzy na klasę.

— Zrozumieliście?

Przestraszył się Kajtuś, bo pan każe powtórzyć.

Nagle myśl: „Żeby mucha siadła panu na nosie”.

I mucha już siedzi i czeka na dalsze rozkazy.

„Niech trzy muchy...”

„Niech pięć!”

Siedzą. Wszystkie na nosie.

Pan zamachnął się. Wróciły.

Bo muchy są natrętne.

Byłoby się na tym skończyło.

Ale Kajtuś nawet nie sam, a jakby ktoś inny za niego rozkazuje: „Niech tysiąc much”.

„Dziesięć tysięcy... Na nosie”.

Od razu wali przez otwarte okna cała gromada, cała wataha tych much.

Kajtuś schował się pod ławkę, niby że spadło mu pióro, więc podnosi.

Pan powiedział coś czy krzyknął. Cisza, tylko — bzzz — brzęczenie.

Potem pan wyleciał i trzasnął drzwiami.

Śmiech. Tupanie. Biją z uciechy w pulpity.

Kajtuś wylazi spod ławki, a muchy partiami wylatują przez okno.

— Co to za wrzaski?

Zaraz kierownik — i śledztwo.

— Nie my. Pan widział: przez okno wpadły.

— Może nowy rój zakładają?

— Przecież muchy nie pszczoły.

— Myślałem, że szarańcza.

— Może zwariowały?

Pani była w klasie do końca godziny. Potem poszli do domu; bo była narada.

Zamknęli szkołę na dwa dni i urządzili sprzątanie. Chcieli nawet ściany malować.

Na bramie wisiała kartka:

„Z powodu remontu — zajęć nie będzie do czwartku”.

Czary

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Czary Kajtusia w domu i na ulicy — Sonolo, kasolo, symbolo — Pierwszy czar stały — Niebezpieczeństwo

Mówią, że pieniądze nie dają szczęścia.

— Zdrowie ważniejsze — mówi mama. — Co z tego, że ktoś bogaty, jeżeli choruje?

Pewnie mama tak myśli, bo robili jej operację. Dwa razy w szpitalu leżała, raz nawet długo.

— Nauka jest ważniejsza — mówi ojciec. — Pieniądze można stracić, a wiedza na zawsze zostanie. Uczony da sobie radę w życiu.

I prosi ojciec, żeby się Kajtuś przykładał do książki, żeby był pilny i posłuszny w szkole.

— Największy skarb człowieka to dobre serce i czyste sumienie — mówi babcia. — Dobry nie martwi się. I zgodny z ludźmi, nie obrazi nikogo, i przebaczy, i zawsze znajdzie życzliwych, co w potrzebie pomogą. I życie spokojnie mu płynie bez krzywdy ludzkiej.

Ale Kajtusiowi się zdaje, że i bogactwo ważne.

Gdyby miał ojciec pieniądze, mama mogłaby na wieś pojechać i pewnie byłaby zdrowa.

Gdyby ojciec miał pieniądze, założylby własny warsztat, nie potrzebowałby znosić kaprysów i cudzych kątów wycierać...

I dobry człowiek, jeżeli ma majątek, może się z biednym podzielić.

Więc Kajtuś chce być bogaty.

Chce mieć kurę, która znosi złote jaja.

Poszedł wieczorem na strych i próbuje czarować.

— Proszę, żądam, chcę mieć kurę, co znosi złote jaja.

— Sonolo — kasolo — symbolo...

— Pramara — rumkara. — Chcę, rozkazuję.

— Mutus, nomen, dedit...

— Tygrys, sezam, karakorum. Niech mam taką kurę!

Ani wie, po jakiemu mówi zaklęcia, ani co znaczą. Wyrazy, których nigdy nie słyszał, albo przekręcił — i znane...

Patrzy przez okienko na gwiazdy, patrzy ostro na czapkę, gdzie kura się ma ukazać, to znów oczy przymyka.

Oddech zatrzyma, to powoli i głęboko, to znów prędko oddycha.

Ręce ma splecione, palce rozstawił szeroko, albo w pięść ścisnął.

Głowę podnosi, pochyla.

Mówi głośno, próbuje szeptem.

Nic i nic.

Ani kury, ani jednego, choćby małego jajeczka. Jak na złość.

Złote mu się nie udały, próbuje srebrne. Też nie.

„Może lepiej się stało?” — chce się pocieszyć. Bo gdzie kurę schowa, jak jajko sprzeda?

Co powie, gdy się zapytają, skąd wziął?

Trzy razy był na strychu.

Zmęczony bardzo wracał.

Nie. Lepiej nauczyć się — zwyczajnie znajdować pieniądze na ulicy.

Zacznie od małego, tak będzie łatwiej. Na początek złotówkę. Byle się nauczyć, byle wreszcie wiedzieć.

Bo przykro.

Bo jest czarodziejem, a nie wie. Ani zaklęć żadnych nie posiada — ani co, ani jak, ani kiedy. Jakby nie on, a ktoś inny za niego.

Dlaczego w szkole czary się udają, a na ulicy nie?

Zacznie od małego: „Chcę znaleźć złotówkę!”.

Wraca ze szkoły i szuka.

Nie szuka, tylko się rozgląda. Bo kto ma siłę magiczną, ten bez szukania znajdzie.

Nauka, Wiedza

Idzie zwyczajnym krokiem, ani prędko, ani powoli. Idzie prosto, a potem już zygziem. Z początku spokojnie, ale potem już wątpić zaczyna.

Nie udało się.

Może wieczorem?

Są czary, które się udają tylko o północy. Zanim kur trzykroć zapieje.

Lekcje odrobił. Bierze za czapkę.

— Antoś, ty dokąd? Późno. Ojciec wróci z roboty.

— Przyjdę zaraz. Za chwilę...

Na ulicy latarnie się już palą.

Błoto.

Tramwaj się przesunie. Samochód zaświeci — przeleci.

— Chcę znaleźć.

— Niech znajdę.

— Żądam. Rozkazuję.

— Złotówko, znajdź się.

Znalazł. Tak dziwnie.

Już wracał, żeby się w domu bardzo nie gniewali.

Tak dziwnie, kiedy zupełnie stracił już nadzieję.

Już wracał.

Trudno. Nie dziś, to jutro, nie jutro, to za tydzień.

Nagle samochód jedzie. W błocie coś błysnęło. Nachyla się: moneta. Obok latarni, na samym brzeżuszku chodnika. Wisi prawie.

Pięćdziesiąt groszy.

— Dobra nasza!

Chuchnął na szczęście.

— Dostyc.

I pędem, co tchu — do domu.

Drugi raz.

Chciał znaleźć na ulicy, a znalazł na schodach, ale tylko pięć groszy.

Tylko piątka; ale nowa, z blaskiem, jak złoto.

I dawniej zdarzało się, że Kajtuś znajdzie to i owo. Zgubił gumkę, znalazł ołówek, zgubił pióro, znalazł temperówkę.

I Kajtuś gubi, i inni. Bo wypadnie coś w biegu z kieszeni albo wyśliznie się z teczki.

Albo dorosły rzuci; bo wyrzucają takie rzeczy, które mogą się przydać: jakiś sznurek, pudełko, buteleczkę, program do kina.

Ale to zupełnie co innego.

Trzeci raz było inaczej.

Już zniechęcony, wcale nie szukał. Spieszy się do szkoły.

Nie to nie.

Gdy nagle.

— Chcę znaleźć sto złotych!

Bo co ryzykuje?

I zaraz koło narażonego sklepu przy samym schodku — podnosi całą złotówkę, a obok: dwa razy po pięćdziesiąt groszy. Więc razem dwa złote.

Więc może więcej żądać? Może się z nim targuje nieznany naczelnik?

Wtedy pierwszy raz przyszło mu do, głowy, że i czarnoksiężnik ma swój rząd i władzę. Nie jest niezależny. Są jakieś tajne rozkazy.

No więc co? Ma dwa złote. Wesół<sup>36</sup> idzie do szkoły.

<sup>36</sup>wesół (daw.) — wesoły. [przypis edytorski]

Spotkał kolegów. Pochwalił się. Pokazał.  
Nie przeczuwa, że będzie miał przykrość.  
Bo było tak, że ostatnio zaczęły ginąć różne rzeczy w szkole: giną śniadania, książki, rękawiczki, szalik.

Próbował nawet Kajtuś wykryć szkodnika czarodziejskim sposobem, bo nieprzyjemnie. Ale nic z tego nie wyszło.

I właśnie na Kajtusia padło podejrzenie, że chłopcu zabrał.

Bo pani zbierała składkę od tych, co jeszcze nie dali. A tamten w bek: miał dwa złote — zginęły; ukradli.

— Gdzie miałeś?

— W teczce. Nie w teczce, a w kieszeni.

— Możeś zgubił na ulicy?

Nie. Były. Miał w szatni. Położył na oknie.

— Kto z was ma jakie pieniądze?

Chłopcy wyjmują, pokazują. Ten ma dziesięć groszy, ten trzydzieści, ten ma dwie zagraniczne monety.

Kajtuś od razu się przyznał.

— Skąd masz dwa złote? — pyta się pani.

— Znalazłem na ulicy.

Pani nieprzyjemnie spojrzała na Kajtusia.

Wzięła pani dwa złote i pyta się tamtego:

— Twoje?

A tamten:

— Moje.

Dopiero wtrącili się chłopcy:

— On kłamie, proszę pani. Wcale nie jego. Nie miał. On udawał, że płacze.

Kajtuś spokojnie patrzy pani w oczy. Tamten stoi czerwony, zmieszany. Aż wyjąkał:

— Moje były całe: jedno, razem dwa złote. Nie osobno.

— Mogę mu dać — mówi Kajtuś. — Niech bierze.

Pani nie wie, co robić, a chłopcy buntują Kajtusia:

— Nie dawaj, głupi. Patrzcie go, oszukaniec. Mówi, że miał na oknie, w kieszeni i w teczce. Miał inne, a mówi, że jego. O, znalazł i się, mądry! On kłamie. Nie miał wcale. Zawsze oszukuje. Kajtuś pokazał nam na ulicy, że znalazł.

Kajtuś wzruszył ramionami.

Pani chwilę pomyślała.

— Opowiedz, gdzie znalazłeś?

Powiada, jak było. Zamilczał, rozumie się, o czarach.

— Więc dajesz?

— Niech weźmie, kiedy mówi, że zgubił. To przecież nie moje.

A tamten bierze. Ręce mu się trzęsą. I już teraz naprawdę płacze.

Znów dziwnie jakoś poplątane.

— Może czarodziejska siła jednemu daje, drugiemu zabiera?

Bo przedtem także.

Chciał spróbować, inaczej.

Chciał wypróbować, czy można na innego przelać swój czar.

Wydał rozkaz, żeby mama znalazła złotówkę.

A mama wraca z miasta i dziwną historię opowiada:

— Znalazłam pięć złotych. Rozglądam się, kto zgubił. Widzę, staruszek szuka. Pytam go się. Ucieszył się, biedaczysko. Właśnie było jego.

Dziko jakoś wyszło.

Takie to wszystko pokielbaszone, że ani rusz zrozumieć.

Znalazł Kajtuś scyzoryk i kredki.

Scyzoryk leżał na środku ulicy. Leżał tak wyraźnie, a nikt go nie widział i nie podniósł.

Zupełnie jakby czekał na Kajtusia.

Kłamstwo

Tak samo z kredkami.

Całe nowe pudełko — i akurat wtedy, kiedy pan zapowiedział, że postawi na okres dwójkę, jeśli kredki nie będą mieli.

Niby nawet nie czar, a przecież nikt całego nowego pudełka nie zgubi.

Potem scyzoryk zginął Kajtusiowi. Zostawił go na ławce, a po pauzie nie było. Może kto zabrał, chociaż się pytał dyżurnego i chłopców.

A może znikł sam?

Znów nie wiadomo.

I jeszcze dwa czary udały się Kajtusiowi na ulicy. Bo raz dziewczynki w błoto wywalił. To tak było:

Idzie sobie, wraca ze szkoły zamyślony.

„Może dlatego nie udaje się na ulicy, że hałas: może za dużo ludzi — wyraźnie coś przeszkadza”.

Nie darmo czarodzieje mieszkali w basztach samotnych albo w ostatniej na skraju wsi chacie. Może ukrywają się w lasach albo na dnie morza?

Sam czuje, że myśli najłatwiej mu się układają nad Wisłą, z dala od miasta, w spokoju; albo w ciszy wieczorem, kiedy leży w łóżku.

Tak sobie, wracając ze szkoły, rozmyśla i rozważa. A przed nim trzy dziewczynki.

Zająły całą szerokość ulicy i śmieją się, popychają, dokazują i przejść nie dają. Gdyby to byli chłopcy, może by nawet nie zwrócił uwagi; a tak to bardziej zły jeszcze.

Deszcz pada.

„Chłapijcie w błoto!”

Już leżą. Wszystkie. Umazały się jak nieboskie stworzenia.

Niech mają. Niech się nie rozbijają.

Drugi raz przekupce jabłka rozsypał.

Znał ją. Od dawna, zawsze tu handlowała. Czasem u niej kupował.

Nie lubił jej, bo opryskliwa dla młodych. Ani obejrzeć nie pozwoli, ani wybrać, ani się potargować.

Zaraz:

— Bierzesz czy nie bierzesz? Idź do Żyda. Nie kupuj.

Prawda, że i chłopcy nieraz dokuczą.

Przechodzi Kajtuś z kolegą. Patrzy, a baba drzemie.

„Niech fajtnie”.

W ten mig — ona fajt!

Za kosz chwyciła, żeby się zatrzymać, i razem z koszem leży na ziemi.

Łobuzeria w śmiech.

— Babcia się urznęła.

Nie potłukła się nawet, ale zawstydyła.

— Pierwszy raz w życiu. Jak jaka pijaczka. Ludzie się śmieją. Taki wstyd! Dwadzieścia lat handluję. Lato nie lato, zima nie zima. Pierwszy raz — taka hańba.

Mało się nie rozplącze.

Żal się Kajtusiowi zrobiło. Pożałował starą.

Kazał koledze pilnować, żeby kto jabłek nie ruszał, a sam zbiera rozsypane.

— Dziękuję ci, chłopczyno, dziękuję, kochanie. Masz, weź za dobroć jabłuszko.

I wtyka mu w rękę jabłko, ale robaczywe.

Kolega żartuje, a Kajtuś zły.

„Bardzo mi było potrzeba ze starą zaczynać?”

Aż doczekał się czaru, ale już stałego. Co wieczór się powtarzało. Pożytku nie tak znów wiele; ale ważny dowód, że siłę czarodziejską naprawdę Kajtuś posiada.

Zaczął się późnym wieczorem.  
W domu.  
Wśród ciszy.  
Leży Kajtuś w łóżku i zasnąć nie może.  
Słyszy oddechy śpiących rodziców i babci.  
Nie boi się, ale przykro jednemu nie spać. Samotny czuje się człowiek w ciemności.  
Nagle zaskrzypi podłoga, jakby ktoś chodził. Coś stuknie w szafie czy za szafą, jakby ktoś się skradał.  
Aż nareszcie jeść mu się zachciało.  
„Gdyby tak pod poduszką tabliczka czekolady albo coś innego”.  
Nic więcej nie pomyślał. Jeżeli dodał jakiś wyraz, to chyba zapomniał.  
I zaraz usłyszał szelest; jakby pod poduszką mysz zachrobotowała.  
Sięga ręką: jest!  
Torebka. Nie od razu otworzył. Bo po co się śpieszyć? Tylko palcami namacał: zgaduje.  
Aż śmiało klamerkę odgina.  
Wysypał na rękę: dziewięć czekoladek nadziewanych, dziewięć rodzynek dużych i dziewięć migdałów.  
Przeliczył. Jeść czy nie?  
Spróbował.  
Słodkie, smaczne. Nie różnią się od zwyczajnych, które sprzedają w sklepach.  
— Dlaczego dziewięć?  
Zjadł wszystkiego po osiem, a resztę obejrzy rano. Papier torebki wydał mu się sztywny.  
Chce schować do kieszeni, bo pod poduszką się czekolada roztopi. Więc siada i sięga po spodnie. A krzesło stuknęło.  
— To ty, Antoś? — obudziła się babcia.  
— Ja.  
— Dlaczego nie śpisz jeszcze?  
— Spałem.  
A rano nic w kieszeni nie było.  
I tak co wieczór: czekoladki, rodzynki, migdały.  
Wypróbował, że nietrujące. Chce poczęstować. Zostawił trzy. Mówi:  
— Niech będą. Niech nie zginą.  
I są. Nie zginęły. Częstuje.  
— Skąd masz? — pyta się mama.  
— Kolega dał.  
— Jedz sam.  
— Jadłem. Zęby mnie bolą.  
Nieprzyjemnie kłamać; ale co robić.

Czary

Inny czar udał się i nie udał.  
Bardzo chciał mieć zegarek.  
Już wiele razy myślał, żeby zamiast torebki coś pożytecznego. Ale bał się popsuć pośpiechem.  
Aż doczekał się. Znow wszyscy spali.  
Powiedział jakieś wyrazy egipskie czy arabskie. Powiedział zaklęcie i...  
— Zamiast przysmaków niech będzie...  
Zaraz znajomy szmer pod poduszką i ciche tykanie zegarka.  
Słyszy. Ręką sięga. Roześmiał się.  
— O, jaki hojny.  
I zegarek, i torebka też pod poduszką.  
— Antoś, ty się śmiejesz?  
— Ja. Takie śmieszne mi się przyśniło.  
Babcia zadowolona, że nie jęczy ze snu, nie zgrzyta zębami. Więcej nie pytała.  
A rano zegarka nie było.



Próbuje i tak, i owak przez kilka wieczorów, ale już tylko słodczy.  
A może lepiej się stało.  
Bo widzi, że nic, więc uspokoił się i prędkiej zasypia.  
A bardzo, bardzo już był zmęczony.

W domu zauważyli, że Kajtuś posmutniał, zmizerniał.  
Stracił apetyt. Mało się bawi na podwórku. I śpi niespokojnie.  
Dawniej pałaszował, że no. Chleb nie chleb, ser nie ser — kluski, kartofle, pierogi.  
— Gdzie się to jedzenie podziewa w chłopaku? Je dobrze, a suchy jak szczapa.  
Czytał babci gazetę, grał z ojcem w warcaby. Teraz nie je, wymawia się od wszystkiego:  
że go głowa boli.  
— Pewnie chory. Trzeba doktora.  
Zaniepokoił się Kajtuś.  
Co będzie, gdy doktor pozna, że jest czarodziejem? Doktor zna łacinę, może dlatego  
uczą ich łaciny, żeby zamawiali choroby i odczyniali uroki martwym językiem<sup>37</sup>?  
Ano: do doktora.  
Opukał. Osluchał. Obejrzał gardło. Kazał zęby leczyć u dentysty. Obejrzał oczy. Zwa-  
żył. Powiedział, że błady, i krople zapisał. Powiedział, że Kajtuś rośnie.  
Omylił się, nie poznał.  
To trudne myśli nie dają Kajtusiowi spokoju, i jeść, i spać przeszkadzają.  
No bo jest czarodziejem.  
Długo nie wierzył. Teraz jest już pewien. Stało się, o czym marzył.  
Ale trudny to zawód. Ciężki fach.  
Niebezpieczne zajęcie.  
Bo jeśli pomylić się w czym zwyczajnym, toć<sup>38</sup> niewielka bieda: poprawić można. Ale  
pomylisz się w czarach, możesz życie stracić.  
Przekonał o tym Kajtusia fatalny czar z tramwajem.

Idzie Kajtuś przez ulicę. Ano nic — idzie sobie.  
Patrzy na numery tramwajowe. Ten numer parzysty, ten nie; ten dzieli się bez reszty  
przez pięć, ten nie.  
Patrzy na ludzi, na sklepy. Pies przed bramą siedzi. Przystanął Kajtuś, cmoknął, po-  
głaskał psa.  
Znów tramwaj w pełnym biegu.  
Odwrócił się, żeby zobaczyć numer.  
I nagle myśl:  
„Chcę fiknąć kozła w powietrzu i stanąć na dachu tramwaju”.  
Jakiś wiatr — moc — siła, coś go podrzuciło w górę. Już w powietrzu, głową na dół.  
Wyprostował się i stoi na dachu tramwaju.  
Jakaś kobieta krzyknęła. Ktoś na balkonie podniósł ręce do góry. Pies zawył. Zawołał  
szofer:  
— Trzymaj się, bo zlecisz!  
Kajtuś zachwiał się i już ma chwycić za drut. I już w ostatniej chwili przypomina  
sobie, że w drucie jest prąd elektryczny o wysokim napięciu.  
Jak piorun. Tak właśnie w Ameryce zabijają w więzieniach skazańców.  
Pada Kajtuś. Potoczył się. W uszach zaszumiało. Ma spaść. Zdążył.  
— Chcę fiknąć na ziemię!  
Znów wywinął w powietrzu. Stoi na chodniku.  
Gapie się cisną. Zbliża się policjant.  
Uciekł.  
Zasapany zatrzymał się dopiero na trzeciej ulicy.

Czary

<sup>37</sup>martwy język — mowa, która nie jest już używana na co dzień jako środek komunikacji. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>toć (daw., gw.) — przecież. [przypis edytorski]

Poprawił ubranie. Otarł krew chusteczką z podrapanej ręki.

Wyprostował się. Odetchnął głęboko — i zły, zbuntowany, cicho, ale wyraźnie powiedział:

— Rozkazuję, żeby mi się przez miesiąc żaden czar nie udał.

Wyjął z kieszeni lusterko, skrzywił się do siebie.

I rzekł, głosem syczącym, do siebie:

— Głupiec!

#### ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przyjemniej bez czarów — Miesiąc upłynął — Do lasu — Zabłądził — Burza — Gorączka i maligna — W szpitalu

Idzie Kajtuś. Pogwizduje wesoło.

Tak mu lekko, jak dawno nie było.

— Pozbyłem się na miesiąc kłopotu, a tymczasem pomyślę i ułożę, żeby głupstw więcej nie robić.

Bo trzeba jakoś inaczej.

Wbiegł do mieszkania i mamę całuje. Nie raz, a bez końca.

— Dosyć, Antoś. Co to za czułości?

Do babci przyskoczył.

— Niech babcia ze mną zatańcuje.

— A tobie co znów do głowy strzeliło?

— Nic. Jeść mi się chce.

— Chcesz jeść, to nie tańcuj, a gadaj. Masz, jedz na zdrowie. A wzięłeś lekarstwo, co doktor zapisał?

— Nie chcę. Po co? Zawracanie głowy.

— Nie grymas, Antoś. Widzisz przecie: poweselałeś i apetyt ci wrócił.

Zjadł.

Lekcji mało, więc wybiegł na podwórko.

— Myśleliśmy — mówią chłopcy — żeś już taki dumny.

— Wcale nie.

— A dlaczego nie przychodziłeś?

— Buty miałem dziurawe.

I pomyślał zaraz:

„Teraz będę więcej prawdę mówił”.

Zabawa pysznie się udała. Nikt ani razu nie przeszkodził.

A wieczorem rozmawiał przy herbacie. Grał z ojcem w warcaby.

Późnym wieczorem spać się położyli.

Z przyzwyczajenia sięgał pod poduszkę. Torebki nie było, a jeszcze go w palec ukuło.

„Może wrzecziono?” — pomyślał, wysysając krew z palca; bo przypomniał sobie bajkę o śpiącej królewnie.

Ale nie na sto lat usnął, a na zwyczajne godziny. Obudził się rześki. Żadnego śladu na palcu nie znalazł.

W drodze do szkoły postanowił zbadać, czy choć trochę siły magicznej posiada.

„Niech temu elegantowi urwą się guziki i portki opadną”.

Zaraz jeden guzik się urwał i po kamieniach potoczył.

„Niech policjantowi czapka sfrunie”.

Podskoczyła na głowie, ale nie spadła.

„Władza moja trwa i wróci za miesiąc”.

Wieczorem obliczył na kartce, ile mu się czarów udało — osobno w domu, w szkole, na ulicy. Osobno zapisał ważne i mniej ważne. Odrzucił czary wątpliwe.

— Nie warto nawet liczyć. Może mi się tylko zdawało?

Bo zapomniał, co wcześniej, co później. Nie pamiętał dokładnie, jak było.

— Może czarodziej ma prawo wykonać dziewięć czarów albo siedem, albo trzystaście na miesiąc? Może czary udają się tylko w poniedziałki i piątki?

Szkoda, że nie zapisywał tajnymi znakami, żeby nikt nie zrozumiał, nawet jak znajdzie kartkę.

Mówią w bajkach, że czarodzieje mają uczniów. Pewnie, że tak łatwiej.

Czary

Ale Kajtuś sam już sobie poradzi.  
Kiep<sup>39</sup> ten, co chce łatwo.  
Właśnie ciekawe, co trudne!  
— Nie od razu Kraków zbudowany, głosi przysłowie.  
Nawet na stolarza i na inżyniera trzeba długo się uczyć, a sztuka czarnoksięska trudniejsza od wszystkiego.  
Toć wiele mu się udało, choć młody i niedoświadczony: choć sam, bez przewodnika.  
Tak. Sam!  
Bo kogo się poradzi?  
Powie w tajemnicy koledze?  
Na pewno kolega wypaple. Każę zrobić coś, a gdy się nie uda — wyśmieje i powie, że kłamstwo. Albo męczyć zacnie:  
— Pokaż. Naucz...  
Może powiedzieć pani?  
Ale pani nie wierzy; mówi, że nie ma czarów. Nie wie, że różę czarodziejską wachała. W domu powiedzieć?  
Też nie. Albo nie uwierzą, albo zabronią, albo zaczną dyktować, co wolno. Zresztą, co poradzą, gdy sami nie wiedzą?  
Nie.  
Nie wolno zdradzić tajemnicy.  
Ma czas. Cały miesiąc. Każdy czar sprawdzi osobno i wyciągnie z niego naukę na przyszłość.

Śniło się Kajtusiovi.

Śniło się, że siedzi w głębokim fotelu, krytym ceratą. Śniło się, że ma na głowie szpiczasty kapelusz alchemika i na szyi — krawat czerwony w zielone grochy. Że siedzi przy biurku. Na biurku czarny kot, sowa, trupia czaszka i to coś, co trzyma Kopernik na pomniku<sup>40</sup>.

I książki. Grube, ciężkie książki.

Bo widział Kajtuś na wystawie starą księgę w żółtej skórzanej oprawie z kłamrą zamkniętą.

Wstąpił do sklepu, żeby obejrzeć i o cenę zapytać. Ale nie chcieli wyjąć z wystawy i pokazać.

— To drogie. To nie dla ciebie.

(Pewnie pradiadek i dziadek mieli takie książki).

Widział Kajtuś w księgarni książki tajemnicze:

*Sennik egipski. Kabala*<sup>41</sup>.

*Potęga woli*<sup>42</sup>. *Bosko czarnoksiężnik*<sup>43</sup>.

Nieciekawe. Tylko żeby pieniądze wyłudzić. Żeby ludzi tumanić.

Co by były za sztuka, gdyby każdy mógł kupić, przeczytać i wiedzieć?

Trzeba się nauczyć czynić mądre czary. Rozumne, pożyteczne — celowe.

Bo co?

Kłopot duży, a pożytku mało.

<sup>39</sup>kiep (daw.) — człowiek głupi, nierozgarnięty. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>to coś, co trzyma Kopernik na pomniku — sfera armilarna, sferyczne astrolabium: dawny przyrząd astronomiczny złożony z wielu pierścieni, służący do wyznaczania współrzędnych obiektów na niebie; postać Mikołaja Kopernika na pomniku w Warszawie, znajdującym się u zbiegu ulic Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, trzyma w lewej dłoni sferę armilarną, zaś w prawej cyrkiel. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>kabala — tu: wróżenie z kart, z ręki, itp. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Potęga woli — zapewne *Rozwój potęgi woli* autorstwa Wincentego Lutosławskiego, pierwszy polski podręcznik jogi. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Bosko czarnoksiężnik — książka opisująca sztuczki magiczne, inspirowana postacią sławnego włoskiego magika Bartolomeo Bosco (1793–1863), którego występy dostarczały rozrywki monarchom europejskim w I połowie XIX w. [przypis edytorski]

Scyzoryk mu zabrali. Zegarek znikł i więcej się nie pokazał.

Przez te dwa złote wtedy mało złodziejem go nie zrobili: tak przykro pani na niego spojrziała, tak nieufnie, tak podejrzliwie.

Za wyczarowane pieniądze raz jeden był w kinie; ale obraz akurat był nudny. Wyjść przed końcem szkoda, więc siedzi w ciemnej i śmierdzącej sali jak głupi.

Tylko kredki zostały z całego kramu.

Teraz będzie inaczej.

Może Kajtuś nie miesiąc, ale cały rok czekać. Może nawet za młody, dlatego nie wie, jakie ma prawa, nie wie, co się uda, co będzie.

W zeszłym roku pan kazał zasiać groch i fasolę, kazał notować, jakie zmiany zajdą w roślinach. Niecierpliwiał się Kajtuś, że na każdą zmianę trzeba długo czekać. Bo chciał od razu kielek, pączek, listek, korzonek, łodygę.

Potem inaczej: już zasiał sam dla siebie. I przyjemnie było wiedzieć z góry, co się jutro stanie.

Tak samo trzeba czary badać i zapisywać. I nie tylko czary.

Kupił dzienniczek.

Podpisał:

*Pamiętnik.*

Zapisał:

Wtorek. Była klasówka z rachunków. Udało się dobrze. Zrobiłem.

Jeden z pierwszych rozwiązał zadanie. I bez pomocy czarów.

Tak nawet przyjemniej.

Zapisał:

Sobota. Zarobiłem czterdzieści groszy.

To tak było:

Idzie Kajtuś przez targ, a pani idzie z koszem.

Prosi:

— Pomóż. Zanieś ze mną do domu, jeżeli uradzisz.

— Fi, nie takie kosze nosiłem — pochwalił się Kajtuś.

A kosz ciężki.

Bierze. Niesie. Ręce mdleją.

— Czy jeszcze daleko?

— Nie. Tu zaraz.

Zaraz nie zaraz. Bez kosza byłoby może blisko, ale z ciężarem daleko.

Przystaje. Przekłada z ręki do ręki.

— Daj, pomogę — mówi pani.

— Nie trzeba — mruknął niechętnie.

Nosił nieraz za babcią, da radę i teraz.

Nareszcie. Chce odejść, myśli, że zwyczajna przysługa. A ona:

— Masz za fatygę na cukierki.

— Nie trzeba.

— Weź, bo mnie obrazisz. Należy ci się. Dziękuję za pomoc.

— Ha! — bierze czterdzieści groszy.

— Nie wydam. Zarobione. Schowam na pamiątkę.

I zadowolony, że własne, że wie, za co dostał, i wie, od kogo.

Zapisał w pamiętniku:

R. do mojej kr. — Kość. T. s. i. d. b.

Nikt nie zrozumie, nawet jeśli przeczyta. Sam tylko wie...

Bo Kajtuś chce mieć kryjówkę. Musi znaleźć miejsce samotne, tam będzie czarował z dala od ludzi.

Będzie miał słoiki z maścią gojącą i butelki z eliksirem życia.

Zamiast czaszki położy tymczasem kość — szczękę końską z białymi zębami.

Znalazł tę kość w piachu nad Wisłą i przyniósł do domu.

— Po co ci te butelki i kość — mówi babcia. — I tak dosyć masz śmieci.

— Przyda się — mówi Kajtuś niechętnie.

Dorośli myślą, że wszystko głupstwo, co ich nie obchodzi, i wszystko śmieci, czego nie można kupić i sprzedać.

Upłynęły dwa tygodnie. Potem Kajtuś zaczął się niecierpliwić. Bo jeśli każdy czeka na święta albo na imieniny, to cóż dopiero czarodziej na urlopie?

W dodatku zaczęło się źle powodzić i w domu, i w szkole.

Aż rozgniewał się Kajtuś: na siebie i swój niemądry żart z tramwajem. A najbardziej na szkołę. Bo tak:

Był dyżurnym. Nie chciał wpuścić chłopców do klasy. Oni ciągną w dół klamkę, a on pcha do góry.

Cała kupa się za drzwiami zebrała.

Klamka żelazna przecie. Kto mógł przewidzieć? A tymczasem — trrach — złamała się.

Zaraz pan na niego:

— Znów zaczynasz swoje dawne sztuki? Psujesz, niszczysz. Patrz: ściany pochłapane, ławki pokrajane. W chlewie chcesz się uczyć?

Już tak jest, że gdy łobuz się uspokoi, a potem raz mu się nie powiedzie, zaraz wszystko razem się wali.

I za klamkę ojciec musi zapłacić, i na trzeciej przerwie pobił się z chłopakiem, i na lekcji dostał niesprawiedliwy stopień.

To do reszty go zirytowało. Bo co ma sprawowanie wspólnego z nauką? Jeżeli umie, powinien mieć dobry stopień. Łobuz może się dobrze uczyć, a spokojny może być leniuch albo niezdolny. Po co się uczyć, jeżeli nie uszanują?

Akurat pani zachorowała, a pan posłał do ojca.

Ojciec miał wtedy swoje zgrzyoty, bo babcia chora i ojciec pracuje tylko trzy dni w tygodniu, więc zarobek lichy i z wyplatą zwlekają.

„Poczekajcie — odgraża się Kajtuś. — Niedługo kończy się miesiąc. Niech się dorwę do czarów, zaraz szkoła pofrunie do ludożerców, a pana zamienię w szczura i karmić będę dwójkami. Nasypię mu dwójek do miseczki i niech je — smacznego!”

Myślał, że ojciec bardzo się rozgniewa.

Ale nie: przygarnął Kajtusia, pocałował w głowę i tylko smutnie powiedział:

— Staraj się, Antoś. Wiem, że ci trudno.

Kajtuś zaraz zapisał w dzienniczku:

Moje postanowienia:

1. Nie żartować. Nie błaznować.
2. Nie bić się.
3. Nie latać z chłopakami.
4. Lekcje odrabiać.
5. Dużo czytać.

Czyta Kajtuś. W domu bieda. To babcia, to mama na zmianę słabują<sup>44</sup>.

Aż nadszedł ostatni dzień miesiąca.

Tak niespodzianie.

Jutro wróci mu władza. Od czego zacznie? Prócz butelek i słoików, wcale się nie przygotował.

<sup>44</sup>słabować (daw.) — chorować. [przypis edytorski]

Po pięciu lekcjach wrócił do domu. Nie jadł obiadu: dla ojca więcej zostanie.  
Wyszedł nad Wisłę. Przeszedł most.  
Dzień był parny.  
Pojedzie za miasto.  
Uczepił się z tyłu tramwaju. Pięć przystanków przejechał. Konduktor go zgonił.  
Idzie. Potem tak samo, już innym tramwajem. Potem pieszo szosą — potem drogą  
polną i w lasek brzozowy.  
Brzozy, brzozy — potem dęby, sosny i dęby.  
Ani myśli, kiedy do domu. Idzie w las coraz głębiej. Jakby go kusiło.  
Aż zmęczony się. Głodny. Usiadł. Położył się na trawie. Patrzy w niebo poprzez gałęzie.  
Rozpiął marynarkę.  
Cisza.  
Zasnął.  
Zły miał sen: gonią go — ucieka, gazy trujące za nim puścili. Aż w gardle dusi. Głowa  
boli.  
Zimno!

Otworzył oczy.  
Rozgląda się, zdziwiony. Aha — w lesie. Patrzy w górę: wierzchołki drzew mocno się  
kołyszą. Złowrogi szum. Wiatr.  
Ciemno.  
Strzał. Nie strzał, a grzmot. I zaraz deszcz. Duże, ciężkie krople.  
Znów: błyskawica i grzmot.  
Burza. Burza w lesie.  
Oprzytomniał.  
Zerwał się i biegnie.  
Do szosy. Do tramwaju.  
Ale w którą stronę?  
Nie wie.  
Zabłądził.  
Źle.  
Biegnie. Ale dokąd? Wszystko jedno. Znów grzmot.  
Czapka przemokła, z daszka ciurkiem leci. Ubranie cięży. W butach woda chlupie.  
A może to zasadzka? Tak właśnie Madej zbłąkany podpisał cyrograf<sup>45</sup> i duszę zaprzedał.  
Zdaje mu się, że ktoś się czai za drzewem.  
Przystanął. Nie — to krzak. Pędzi dalej.  
Las niby się skończył, ale ani szosy, ani rowu przy szosie. Tylko ponure pnie ściętych  
drzew.  
Pośliznął się i upadł. Z trudem wstaje. Skręcił w lewo.  
Z dala zamajaczyło światełko.  
Może chata, może ślepią wilcze, może kryjówka czarodzieja, który go wciągnął w las,  
uśpił, burzę sprowadził, a teraz kusi tym światłem?  
Iskierka zapala się i gaśnie — to jedna, to dwie — zbliżają się, oddalają.  
Znalazł nareszcie drogę. Ślady kół.  
Teraz błoto lepi się i nogi grzęzną.  
Usłyszał wołanie. Głos babci:  
— Antoś, Antoś!  
Przystanął. Wsłuchuje się. Nie, zdawało się tylko.  
Mija mostek drewniany. Może się załame? Kajtuś wpadnie do wody, a topielica<sup>46</sup>  
pociągnie go w głębie.  
Księżyc wypłynął na niebo — Kajtuś zobaczył topielca. Zamknął oczy. Ucieka.

Las, Burza

Strach

<sup>45</sup>*cyrograf* — daw.: własnoręcznie podpisany dokument zawierający zobowiązanie; w baśniach i legendach: pisemna umowa z diabłem; dziś używane żartobliwie. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*topielica* (mit.) — w wierzeniach słowiańskich demon mieszkający w zbiornikach wodnych, wabiący i topiący ludzi. [przypis edytorski]

Ale już nie ma sił.  
Oparł się o słup. Kolana się ugięły. Leży. Czeką. Usłyszał turkot kół. Przyjaciół czy wróg, pomoże czy zabije?  
Wszystko jedno. Było zimno, a teraz gorąco. Zakasłał.  
Boli.  
— Mamo!  
Jęczy.  
— Hola, kto tam? Ty skąd? Co za jeden?  
— Nie zabijaj — prosi Kajtuś. — Dam baranka ze złotą wełną.  
Jeszcze jakieś pytanie, ale Kajtuś nie odpowiada. Czuje, że mocne ręce unoszą go w górę. Już leży na czymś miękkim. Nie otwiera oczu. Kołysze się.  
— Wiśta, wio!  
Budzi się i drzemie na przemian.  
Krzyknął. Zerwał się.  
— Nie wstawaj, bo spadniesz z wozu.

Obudził się w obcej izbie. Leży na ławce.  
— Na<sup>47</sup>, masz. Pij.  
Chciwie łyka ciepły, dobry płyn.  
Mówią coś, pytają się. Kajtuś słyszy, ale nie odpowiada. Nazbyt zmęczony.  
Słyszyc głos kobiety:  
— Co z nim zrobimy, z chłopakiem?  
— Odwiozę do szpitala. Może rano co powie.  
— Czy aby nie zemrze w nocy?  
— Nie gadaj.  
— Ot, kłopot.  
— A co, miałem go w polu zostawić, ty durna?  
— Tego nie mówię.  
Gdy się znów obudził, czuje, że go ubierają. Ubranie nieprzyjemne, twarde. Kajtuś broni się, odpycha. Chce leżeć spokojnie.  
— No prędeż. Pojedziesz do taty.  
— Oj, głowa. Już. Dostyc.  
Wynieśli go. Znów jedzie.  
Otworzył wreszcie oczy. Poznał wysokie domy. Poznał policjanta.  
— Gdzie mieszkasz? Jak się nazywasz?  
Chce się uśmiechnąć, ale nie może.  
Znów go wiozą. Zdejmują. Niosą. Kładą. Znów rozbierają i ubierają. Tak męczą go ci czarodzieje.  
Znów oczy otworzył. Widzi: już nie policjant i domy, a biały pokój i pani biało ubrana.  
— Wróżka? — pyta się Kajtuś.  
— Tak, wróżka.  
— Biała. Czysta.  
— Tak. Biała. Czysta. Śpij.  
— A krasnoludki?  
— Są też. Jak się nazywasz?  
— Nie wiem.  
Wcale się nie nazywa. Jest mu wszystko jedno. Leży w białym łóżku. Ciepło, gorąco — dobrze.  
Kasze.  
— Boli!  
— Już przytomniejszy — mówi pielęgniarka szpitalna.  
— Więc gadaj, dlaczego uciekłeś z domu? — pyta się doktor.

Choroba

<sup>47</sup>na (gw.) — weź; masz. [przypis edytorski]

Kajtuś odwrócił się plecami i przykrywa kołdrą na głowę. Nie lubi tego pana, który go puka i słucha przez rurki.

— Powiedz, co w nocy w rowie robiłeś? Jaki czarodziej cię tam zaniósł?

Doktor siłą sadza Kajtusia.

A tu nagle — ojciec wchodzi na salę.

— Antoś, co się z tobą stało?

Nie wie Kajtuś, czy widzi ojca naprawdę, czy znów mu się zdaje.

Nie słucha, o czym rozmawiają. Dobrze, że dali mu spokój.

— Wolę go wziąć do domu — mówi ojciec. — Mam go jednego. Czy ciężko chory?

Potem znów.

— Wezmę taksówkę i ostrożnie powiozę. Bardzo państwa proszę.

Mówi doktor:

— Pan dba o niego, a on uciekł z domu. Pewnie zbroił i miał dostać baty.

— Nie, ja dziecka nie biję. Chyba go chłopcy namówili. Tyś uciekał, synku?

Kajtuś drżącą ręką gładzi ojca po twarzy.

— Wody!

Napił się.

— Chcesz zostać?

Nie wie, co odpowiedzieć. Myśli tylko, dlaczego ojciec nieogolony.

— Trzy dni — dziwi się Kajtuś i powtarza szeptem — trzy dni, trzy dni.

Co to wszystko znaczy?

Kogo w rowie znaleźli? Kto znalazł?

#### ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kajtuś zdrowy — Nieudany czar — Cud — Wielkie czary — Awantury — Goście zagraniczni — Nadzwyczajny dodatek

Kajtuś już w domu. Zdrowy. Już chodzi po pokoju. Już nawet raz wyszedł na ulicę.

Ojciec pracuje, mama zajmuje się gospodarstwem, a babcia wyjechała do wuja.

— Dlaczego wyjechała? Kiedy wróci?

— Nie wróci, Antosiu — mówi mama.

Nie powiedziała mu prawdy, bo nie chcieli martwić, bo słaby był po chorobie.

Babcia umarła.

— Jak, dlaczego umarła? Co teraz będzie? Dlaczego doktor pozwolił?

Od słowa do słowa, domyślił się Kajtuś, że kiedy go całą noc szukali, a deszcz padał — wtedy babcia więcej się jeszcze zaziębiła.

— Więc przeze mnie...

— Nie. Już dawno się źle czuła. Przecież leżała cały tydzień. Nie pamiętasz, Antosiu?

Mama próbuje go pocieszyć. Pamięta, wszystko pamięta już. Wie.

— Przeze mnie.

Wie. Przypomnił sobie, że jest czarodziejem. Miesiąc już dawno minął.

Stał przy oknie: po co mama ma widzieć łzy?

— Żądam... Liliput... Żądam: niech mi się babcia pokaże.

Zaraz na szybie zobaczył twarz babci.

Uśmiechnęła się do Kajtusia. Tak zawsze się uśmiechała, gdy ojciec na niego się gniewał, gdy coś zbroił dużego. Uśmiechnęła się na tej szybie, spojrzała łagodnie siwymi oczami i zniknęła.

— Wróć babci życie. Tak. Musi się ten czar udać.

Pójdzie na grób, obudzi i wróci z babcią do domu. Zdziwią się. Ot, niespodzianka.

Bywa przecież, że ktoś zaśnie, i myślą, że nie żyje. Zapomniał tylko, jak się taki sen nocny nazywa.

Bywa, że górnicy, zasypani w kopalni węgla, żyją, gdy ich w porę odkopać. Czytał o tym w gazecie.

— Mamooo...

— Co?

— Pójdę na cmentarz.

— Dobrze. Nie płacz, Antosiu.

— Ale ja już, zaraz idę.



- Nie można. Za daleko. Ja teraz nie mam czasu.
- No właśnie: sam pójdę!
- Nie wiesz gdzie. Za chłodno.
- Wiem gdzie. Ciepło!
- Nie można. Nie pozwalam. Jutro.
- Pójdę bez pozwolenia! Dziś!

I mama się zgodziła. Bo dobrze zna Kajtusia. Nie jest uparty, można go przekonać, uprosić. Ale czasem, rzadko, trzeba ustąpić. Bo taki już jest: w dziadka się wrodził. Nie można inaczej.

Ano: dała mu na dwa tramwaje, szalik na szyję, zapięła palto na wszystkie guziki.

Powiedziała, gdzie grób babci. Spróbowała:

- Nie znajdziesz. Zaczekaj do jutra.
- No, idę już.
- Tylko wracaj prędko.

Na cmentarzu. Groby, krzyże.

Kajtuś idzie pewnym krokiem. Nieomylnie wie, że tędy droga. Minął stare aleje i od razu między świeżymi grobami zatrzymał się, gdzie trzeba.

Odczytał napis.

Stoi. Patrzy długo, przenikliwie, sięga wzrokiem głęboko pod ziemię, do samej trumny.

Westchnął głęboko: poczuł ból w piersi. Drugi raz i trzeci — zaszumiało w głowie. Czwarty, piąty raz chwycił powietrze: ból w sercu.

„Chcę i żądam! Żądam i rozkazuję: niech się babcia obudzi i wyjdzie z grobu”.

Cisza.

Motyl usiadł na kwiatku, skrzydełkami się wachluje. Zakołysała się trawa.

„Żądam władzą czarnoksiężką. Ja, Antoś, Antoni. Ja, Kajtuś-czarodziej”. Cisza.

Chmura zasłoniła słońce, cień na grób rzuciła.

Krzyknął myślą zawziętą:

„Niech się babcia obudzi!”

Nagle...

Nagle niewidzialna ręka uderzyła go dwa razy w twarz, w prawy i w lewy policzek.

Zachwiał się.

Motyl frunął.

Przed oczami — czerwone plamy i koła.

Nigdy jeszcze nikt Kajtusia w twarz nie uderzył. Pierwszy raz.

Stoi zbuntowany. Zacisnął pięści. Tak właśnie bywało, gdy się bić z jakim chłopcem zaczynał.

„Poczekaj, już ja ci zapłacę”.

Podszedł do Kajtusia dziad stary.

— Widzę, chłopcze, że masz zmartwienie. Masz zmartwienie. Masz, napij się: to cię wzmocni.

Kajtuś sięga ręką, wziął podany kubek srebrny i wypił.

Miły zapach. Płyn chłodny i słodki.

Znów nalał dziad.

— Pij jeszcze.

Wypił.

— Dziękuję. Macie, dziadku.

Dał dziadowi złotą monetę; nie dziwi się nawet, że się w rękę znalazła.

Nie spojrzal nawet w twarz nieznaną.

Pochylił głowę do ziemi, idzie prędko, jakby mu się spieszyło.

Idzie prędko, a gniew i bunt ustępują.

Czuje w sobie ciepło wesołe i lekkość dziwną.

Jakby się w powietrzu unosił. A serce bije.

Mija bramę cmentarną.

Cmentarz

Idzie pieszo, nie siadł do tramwaju.

Pierwsza, druga i trzecia ulica.

Wąska ulica.

Idą przed nim dwie panie. Jedna z teką pod pachą, druga uperfumowana. Ząb ją boli czy co? Trzyma chustkę od nosa przy twarzy.

Kajtuś chce je wyminąć, a coraz ktoś potrąca i przeszkadza.

Zniecierpliwiał się. Pomyślał:

„Niech idą tyłem”.

Ledwo zdążył się usunąć, bo one zamiast naprzód, cofają się w tył. Jak raki. Nie odwróciły się, tylko nogami w tył przebiegają.

Ludzie patrzą się zdziwieni, a one rozmawiają, jakby nigdy nic.

Zwariowały baby czy co?

— Teraz taka moda. W Paryżu wszystkie bogate damy tak chodzą — zażartował cyklista<sup>48</sup>.

Ale kiedy potrąciły piekarza, który niósł na głowie tacę z ciastkami, ten dawaj wymyślać:

— A pokraki, a flądry, a marmuzele<sup>49</sup>!

Przestraszone — dawaj tyłem uciekać na drugą stronę ulicy.

A środkiem ulicy samochód pędzi.

Szofer chce zahamować, ale za późno.

— Przejedzie!

Kajtuś pomyślał spokojnie:

„Niech w aeroplan<sup>50</sup>...”

Do samochodu powiedział.

A ten zaraz frunął w powietrze, bo wyrosły mu skrzydła.

Dwie panie, ta z teką i ta z chustką przy twarzy — stuknęły się o mur kamienicy i stanęły. Nikt teraz na nie nie patrzy: niech stoją.

Pozadzierali wszyscy głowy do góry. Tamci w samochodzie krzyczą ze strachu jak opętani.

A fruujący samochód znikł za dachami domów.

Zaraz policjant. I zaraz pan z gazety.

— Co się tu stało? Kogo przejechali?

— Nikogo nie przejechali, tylko jakaś nowa sztuczka amerykańska.

Każdy opowiada inaczej. Pan z gazety wyjął pióro i pisze.

— Jak się to zaczęło?

— A ooo, te dwie. Tam stoją. Tyłem chodzą. Tam pod ścianą.

Pchają się. Gapiów coraz więcej. Policjant rozgania, nie może dać rady.

„Ot, głupi naród” — pomyślał Kajtuś.

I poszedł dalej.

Stanął przed słupem z ogłoszeniami, chciał zobaczyć, co w kinach grają. A na słupie wisi duży, żółty afisz: że profesor powie odczyt<sup>51</sup>.

„Odczyt polityczny... ekonomiczny”.

— Co to jest?

Kajtuś nie wie, że do Warszawy przyjechała zagraniczna wycieczka... Przyjechali bogacze, mają bank założyć, mają Polsce pożyczyć pieniądze.

Właśnie dla zagranicznych gości ma profesor mówić po francusku, żeby się nie bali pożyczyć; bo jest kryzys, ale Polska bogata i odda, zapłaci.

— Odczyt. Zawracanie głowy. Polityczny... ekonomiczny.

Czasem podobają się Kajtusiowi wyrazy, których nie rozumie, a czasem gniewają go.

— Odczyt. Zawracanie głowy. Niech będzie tak napisane:

Profesor Gwizdał  
będzie świstał.

<sup>48</sup>cyklista (daw.) — rowerzysta. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>marmuzela (daw. iron.) — dama, panna z miasta (od fr. *mademoiselle*). [przypis edytorski]

<sup>50</sup>aeroplan (daw.) — samolot. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>powiedzieć odczyt — dziś popr.: wygłosić odczyt. [przypis edytorski]

Będzie fikał koziołki.  
Łykał ogień.  
Piał jak kogut.  
Tańczył obertasa<sup>52</sup>.

I jest tak właśnie, jak kazał Kajtuś — i na wszystkich słupach ogłoszeniowych w całym mieście, w całej Warszawie.

Jeść się Kajtusiowi zachciało.  
Pojechał taksówką na bogatą ulicę. Wsiadł przed restauracją.  
Restauracja bogata, pierwszorzędna. Przez wielkie szyby lustrzane widać stoły przykryte białymi obrusami: na stołach kwiaty.  
„Wejść czy nie? Ile też tu obiad kosztuje?”  
Sięgnął do kieszeni: ma sto złotych.  
Dobrze. Wchodzi.  
Przy drzwiach szwajcar<sup>53</sup> w czerwonym płaszczu ze złotymi guzikami. I nie wpuszcza do środka.

— Ty czego? Ty po co?  
— Jestem głodny.  
— Tu żebrać nie wolno.  
— Ja zapłacę.  
— Wychodź, powiadam.  
— Dlaczego?  
— Bo ci mówię. Bo wezmę za kark i wyrzucę.  
— Spróbuj pan ruszyć.

Szwajcar chce rękę wyciągnąć — nie może. Chce zawołać — nie może. Oczami tylko przewraca, jakby się dusił. A Kajtuś po dywanie wchodzi na salę i siada przy stole.

Przy jednym stole siedzą dwaj panowie i pani. Przy drugim siedzi oficer. Przy trzecim — pani i chłopiec w marynarskim ubraniu. Wreszcie grupa wesola: aktorzy i aktorki, co grają w teatrach.

Kajtuś usiadł sam i patrzy na aktorów, a oni na niego.

— Czego ten mały obdartus tu chce?  
— Poczekaj, zaraz zobaczymy.  
— Patrzcie, buty ma zablocone.  
— I brudny kołnierzyk.  
— Pazury nie obcięte.

No tak. Ubrany Kajtuś ubogo, jak syn stolarza. Zabłocił się na cmentarzu. Nie lubi obcinania paznokci.

Nogi głębiej podwinął pod krzesło, z rękami nie wie co robić.

— Panie ober<sup>54</sup> — woła aktor — czeka nowy gość.  
— A to co za jeden? Kto go wpuścił? Ruszaj stąd zaraz.

Wszyscy przestali jeść i patrzą zaciekawieni.

Wpada szwajcar.

— Mówiłem, że nie wolno.  
— A on wszedł. Dzieciakowi nie mógł dać rady, niedołęga?  
Idzie gospodarz, sam właściciel restauracji. Gruby jak beczka.

Kłania się oficerowi:

— Cześć.

Kłania się panom:

— Szacunek dla pana hrabiego.

Nagle... groźnie do Kajtusia:

<sup>52</sup>obertas (pot.) — oberek, żwawy taniec ludowy. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>szwajcar (daw.) — odźwierny, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>ober (przestarz., z niem.) — starszy kelner nadzorujący pracę innych kelnerów; pot. używane w wołaczu w stosunku do każdego kelnera. [przypis edytorski]

— Ty co?  
— Ja pstro. Proszę dać obiad. Mam sto złotych i zapłacę.  
— Brawo! Zuch mały! Sto złotych ma. Nie daj się — buntują go aktorzy.  
— No, pewnie, że się nie dam.  
Będzie awantura.  
— Mamo, chodźmy. Ja się boję — zaczął płakać chłopiec w marynarskim ubraniu.  
Kajtuś swoje:  
— Chcę jeść. Zapłacę. Ile się należy?  
— Ukradłeś pieniądze. Wynos się.  
— Ukradłem? Poczekajcie.  
— Zawołać policjanta.  
Kajtuś wstał. Mruknął. Spojrzał.  
Naraz otwierają się okna, a talerze, noże, butelki, pieczone kurczaki, półmiski i obrusy  
— wszystko fruwać zaczyna.  
Kelnerzy wyciągają ręce do Kajtusia.  
Aleee...  
Lecą w górę pod sufit. Przylepili się do sufitu włosami i fajtają nogami, jakby tańczyli.  
I tak samo gruby gospodarz.  
Aktorzy zaczęli klaskać z uciechy.  
Kajtuś rozkazał:  
— Niech siedzą, dopóki nie wyjdę.

Myśli Kajtuś z goryczą:  
„Kłamię przysłowie, gdy mówi, że nie suknia zdobi człowieka”.  
Dotknął palcem swego ubrania i już elegancki panicz idzie przez ulicę.  
Wstąpił do kawiarni. Wypił czekolady filiżankę i zjadł cztery ciastka.  
Zapłacił. Dał napiwek.  
Znów wsiadł do taksówki:  
— Do Łazienek<sup>55</sup>.  
I w mig — już w Łazienkach.  
Siadł na ławce nad stawem.  
Ludzie przechadzają się. Dzieci się bawią.  
Byłoby wszystko dobrze. Byłby odpoczął i poszedł do domu.  
Ale zagraniczna wycieczka bogaczy akurat zwiędzała pałac królewski w Łazienkach.  
Akurat wyszli bankierzy z pałacu i zatrzymali się przed figurą. Figura przedstawiała  
boginię grecką z wieńcem na głowie i z mandoliną.  
Jakiś pan oprowadza gości i kłania się, i nieprawdziwie uśmiecha. Zupełnie jak re-  
staurator.  
Trzeba mu zrobić grandę.  
„Niech róże wieńca zamienią się w serdelki, a mandolina w kielbasę”.  
I tak się właśnie stało: stoi posąg z wieńcem serdelków na głowie i gra na kielbasie.  
Siwy pan, jeden z wycieczki, rozgniewał się: mówi coś głośno i laską wymachuje.  
A drugi tłumaczy, że gniewać się nie należy, bo każdy kraj ma inne zwyczaje.  
A Kajtuś dalej:  
„Niech środkiem głównej alei przejdzie siedem słoni, pięć wielbłądów i trzy żyrafy”.  
Są. Idą. Maszerują garbate wielbłądy, wywijają trąbami poważne słonie, a żyrafy kłaniają się małymi głowami na długich szyjach.  
Jedne dzieci się cieszą, drugie boją: a dorośli myślą, że to tak na przyjęcie cudzoziem-  
ców.  
Ale i tego było Kajtusiowi za mało.  
„Niech wszyscy panowie będą w sukniach, a panie w spodniach”.  
Teraz dopiero zaczęła się heca.  
Bo stoi student z panną i patrzają na słonie.

Czary

<sup>55</sup>Łazienki — znany park warszawski w południowej części miasta, ulubione miejsce przechadzek. Nazwa pochodzi od pałacu z końca XVII wieku, przeznaczonego początkowo na łaźienki. [przypis edytorski]

Nagle:

— Co pan zrobił?

— Ja nic, ale pani co wyrabia?

On gapi się na nią, a ona na niego. On w sukni i damskiej bluzce, a ona w spodniach.

— Co to?

Jakaś babina, gdy zobaczyła, że ma spodnie i męski kapelusz, krzyknęła i zemdląła.

A tu znów pensja<sup>56</sup> żeńska. Dwadzieścia par uczennic, a za nimi wychowawczynie. Pilnuje, żeby był porządek i dobre wychowanie. No i masz — jak piorun z nieba. Co ludzie sobie pomyślą, co powie przełożona? W spodniach one i ona.

— Do domu. W tej chwili do domu.

Oczy zasłoniła rękawiczką. Co tchu uciekają.

Opowiadali potem ludzie, że uciekali z Łazienek w jedwabnych sukniach damskich: prokurator sądu, wiceminister poczty, senator, krytyk literacki i profesor higieny.

Ale Kajtusia ubawiło najwięcej, jak, przewracając się, biegli policjanci w pantoflach na wysokich obcasach, w jedwabnych pończochach i w sukienkach tiulowych.

A musieli się nie lada uwijać, żeby bronić przed nieszczęśliwym wypadkiem milionerów.

Bo Kajtuś na zakończenie — jeszcze jeden czar wykonał.

„Niech drzewa staną do góry nogami”.

Drgnęły drzewa odwieczne — duma i ozdoba parku — podskoczyły, wywineły młyn-ka i stanęły, ale gałęzmi w dół, korzeniami w górę.

Już tak się uwziął, żeby był ostateczny bałagan.

I był.

Tak już jest na świecie.

Wystarczy, by czarodziej wydał parę rozkazów, zaraz ludzie nie wiedzą, na którym są świecie.

Wystarczy, by czarodziej żartem coś przekręcił, zaraz ludzie się martwią i myślą, że koniec świata.

Ot, głupi naród.

Kajtuś wstał z ławki. Już dość ma tego dobrego.

„Niech będzie porządek”.

A sam idzie do domu.

Dosyć tej zabawy.

Czary

Gazeciarze sprzedają nadzwyczajny dodatek gazet<sup>57</sup>.

Dra się jak opętani.

— Zamach na bankierów! Nadzwyczajny dodatek!

— Dodatek nadzwyczajny! Bomba w restauracji!

— Aresztowanie bandy szpiegów! Tajemniczy samochód!

Ludzie kupują. Zbierają się w grupy.

Stoją na ulicy. Czytają.

Kupują wszyscy, więc i Kajtuś kupił.

Czyta.

Niby opisane są czary Kajtusia, ale przekręcone, że ledwo można zrozumieć.

Pisze gazeta:

Policji udało się zlikwidować bandę szpiegów, która planowała zamach na naszych gości. Wrogie siły nie chcą, by Polska otrzymała pożyczkę na inwestycje.

<sup>56</sup> pensja — prywatna szkoła żeńska, zwykle z internatem. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> Gazeciarze sprzedają nadzwyczajny dodatek gazet — w I połowie XX w. wiadomości przekazywane były przez gazety, które sprzedawali na ulicach chłopcy, zwani gazeciarzami. Gazeciarze zachęcali kupujących, wykrzykując głośno tytuły najciekawszych artykułów. Jeżeli po wyjściu gazety z drukarni wydarzyło się coś ważnego, redakcja gazety w pośpiechu przygotowywała dodatkowe wydanie, nazywane dodatkiem nadzwyczajnym, z opisami tych wydarzeń. [przypis edytorski]

Kie<sup>58</sup> lichu: zlikwidować i inwestycje? Co to za goście?

Czyta dalej:

Plan porwania bankierów został udaremniony.

— To znaczy, że się nie udał.

Zamachowcy postanowili wysadzić w powietrze restaurację, gdzie miał się odbyć bankiet.

— To pewnie znaczy: obiad.

Maszyna piekielna wybuchła przedwcześnie i wyrzuciła w powietrze...

— Co za maszyna? — dziwi się Kajtuś.

Dalej dowiedział się, że wezwano straż ogniową, która pozdejmowała z sufitu... „wyrzuczonych siłą wybuchu” kelnerów.

Rannych na szczęście nie było.

Ukazał się nieznany typ samolotu. Gdy policja chciała sprawdzić dokumenty podejrzanych pasażerów, samochód wzbil się w górę i poszybował w kierunku zachodniej granicy.

Zerwali afisze zapowiedzianej prelekcji.

— Aha. To mój profesor Gwizdał. Jak tam było? Ekonomiczny?

Jeszcze nie doczytał Kajtuś do końca wszystkiego, gdy gazeciarze zaczęli znów krzyzczyć:

— Drugi nadzwyczajny dodatek.

— Niezwykłe wypadki w Łazienkach! Dodatek drugi!

— Bogini grecka, kielbasa i serdelki!

— Lwy i tygrysy w parku królewskim!

— Huragan powywracał drzewa!

— Liczne ofiary!

Wie Kajtuś, że ofiar nie było. Napisali tak, żeby gazet sprzedać więcej.

„Niech piszą. Co mnie to wszystko obchodzi?”

Tłumy stoją przed restauracją.

Tłumy biegną do Łazienek.

Kajtuś przeciska się, idzie zmęczony krok za krokiem — do domu.

Stuknął się palcem i w swoim starym palcie, z szalikiem na szyi wszedł do bramy.

Niespokojny, co rodzice powiedzą, że wyszedł na tak długo.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Awantury, jakich świat nie widział — Poplątali się: ludzie, zegary, szyldy, psy, koty — Na placu i na moście — Sobowtór Kajtusia

Mama zapłakana, a ojciec się gniewa:

— Gdzie byłeś tyle godzin?

— Taka ładna pogoda — mówi Kajtuś.

— Pogoda ładna, więc zaraz po chorobie na pół dnia uciekasz? Myśleliśmy, że znów cię coś opętało. Obiecałeś, że wrócisz z cmentarza. Szukałem cię tam. Jak ty się nie wstydzisz?

Spuścił Kajtuś głowę, już się nie tłumaczy. Wstydzi się: nie dotrzymał słowa.

Ojciec jeszcze coś mówi, ale Kajtuś nawet nie słucha.

Tak zawsze bywa, że gdy dorośli bardzo się gniewają, dziecko w przestrachu już nie rozumie, co i dlaczego krzyczą. Już tylko hałas w uszach i w głowie. Tylko czeka, jaki będzie koniec i czy uderzą, czy nie.

— Dziś zostaniesz w domu, a jutro do szkoły. Dostyc tego hultajstwa. Jesteś zdrow, więc się ucz. Zrozumiałeś?

Nie pożegnał się ojciec i wyszedł. Kajtuś został z mamą.

<sup>58</sup>ki (daw.) — jaki, co za (kie: jakie); dziś tylko w wyrażeniach potocznych w rodzaju: ki diabeł, kie lichu. [przypis edytorski]

Mama zaczęła go pocieszać.

Taka dobra.

— No trudno, stało się. Już więcej tego nie zrobisz. Nawet nie twoja wina. Nie powinienam była pozwolić, żebyś sam chodził na cmentarz. Mamy ciebie jednego, więc się obawiamy, żeby ci się co złego nie stało. Nie bój się: nie oddamy cię do zakładu poprawczego. Ojciec tak tylko mówił.

Uspokoił się Kajtuś.

— Podobno awantury w mieście? Tam pewnie chodziłeś? — pyta się mama.

Kajtuś przeczytał głośno dodatek nadzwyczajny.

— Tak, tak. Pewnie znów będzie wojna. Nie dadzą ludziom spokoju. I pradziadek twój, i dziadek, i ojciec...

Zaraz Kajtuś prosi, żeby mama opowiedziała, jak w drewnitni<sup>59</sup> ukrywali się powstańcy, a pod drzewem leżały książki i papiery.

Co to były za książki, dlaczego nie było wolno? Dlaczego za książki wysyłali do zimnego kraju<sup>60</sup>? Może chociaż jedna książka została?

Dawno już Kajtuś myślał, że w książkach tajemniczych były przepisy, jak zwyciężać wrogów.

Opowiada mama o wojnach, które były, a Kajtuś myśli o tej, która będzie. Nawet chce, żeby wojna wybuchła. Bo dopiero wtedy będą się mogły przydać — jego pomoc i wola.

Potem ojciec wrócił; mówi, o czym piszą gazety, co słyszał od ludzi.

— Znosi się na coś niedobrego.

Długo nie może zasnąć. Bo co zaśnie, zaraz huk armatni, warkot aeroplanów, bomby i granaty.

Zaraz czary Kajtusia wygrywają bitwy.

No dobrze. Ma Polska Kajtusia. Ale i wróg może mieć także czarnoksiężników — może starszych i ostrożniejszych? Popelni Kajtuś jakiś błąd albo w ważnej chwili zawiedzie tajemnicza siła i wróg wygra wojnę?

Rozważa Kajtuś, jakie wyczarować nieznanne armaty, jakie zbudować fortece, jakie wydawać rozkazy, w jakie przybrać wojsko pancerze, hełmy i maski<sup>61</sup>.

— Może pułk wielkoludów, może ułani z żelaza na stalowych koniach?

Ojciec poruszył się w łóżku.

— Tatku!

— Co?

— Co mocniejsze: żelazo czy stal?

— Śpij!

Mruknął ojciec coś jeszcze. Gniewa się. Zasnął Kajtuś. Obudził się. Myśli:

„Jutro idę do szkoły. Będą się pytali, dlaczego uciekł z domu, co robił w szpitalu; zaczną nudzić, żeby opowiadał. Chyba trzeba wyjść późno, żeby przed samym dzwonkiem wejść do klasy?”

A może znów na miesiąc odroczyć władzę?

Nie, już by się nie mógł obejść bez siły, która co prawda nie przyniosła pożytku, ale od niego przecież wszystko zależy. Niekoniecznie trzeba głupstwa robić. Musi ułożyć jakiś plan działania.

— Plan strategiczny.

Niedobrze rozumie, co to znaczy, ale czuje, że tak być właśnie powinno: żeby był porządek, żeby czary miały jakiś plan, żeby nie martwić rodziców.

<sup>59</sup>*drewnitnia* — szopa na drewno przeznaczone na potrzeby gospodarstwa domowego. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*zimny kraj* — Syberia, dokąd władze carskiej Rosji wysyłały skazańców. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*maski* — tu: maski przeciwgazowe, chroniące przed działaniem trujących gazów bojowych. Po raz pierwszy użyto takich gazów w pierwszej wojnie światowej, co wywołało obawy przed ich masowym stosowaniem w kolejnych wojnach. [przypis edytorski]

Aż znalazł sposób, żeby mógł wychodzić z domu, kiedy chce i na jak długo, ażeby ojciec i mama byli zupełnie spokojni.

Dobrze będzie, jeśli się uda.

„Wyczaruję sobowtóra. Wywołam marę<sup>62</sup> zupełnie podobną. Będzie dwóch Kajtuśków; jeden będzie — widziadło, ten sobowtór, ta mara; a drugi — naprawdę ja. Będzie dobrze. Powoli wypróbuję i nauczę: posłę sobowtóra do szkoły albo zostawię w domu. Będę mógł nawet wyjechać w obce kraje — na długo. Będę podróżował; pojedę okrętem, będę polował na dzikie zwierzęta”.

Myśli Kajtuś i widzi, co czytał i co widział w kinie. Mieszają się i gonią myśli i obrazy. Jedne obrazy wyraźne, inne jakby za mgłą, jedne blisko, drugie daleko.

I już chce zasnąć.

Poduszka go grzeje. Koldrę to tak próbuje ułożyć, to inaczej. Rękę pod głowę założył — to tak, to inaczej. Kładzie się na wznak, na boku.

Chce zasnąć.

— Wstawaj. Czas do szkoły.

— Mhm.

— Prędeż. Bo się spóźnisz.

Wstał. Ułożył książki i zeszyty.

Pożegnał się. Wyszedł. Ojciec się gniewa.

Za parkanem składu desek wywołał sobowtóra. Przykro mu się zrobiło — dziwnie jakoś. Taki sam, jakby w lustro patrzył.

Idą obok siebie. Milczą. Zatrzymali się przed sklepem. Jakaś pani idzie z panem. Też stanęła — spojrzała.

— Patrz, jacy podobni. Czy wy, chłopcy, bliźnięta?

— A co pani do tego? — mruknął Kajtuś.

— Niegrzeczny jesteś — mówi pan.

— Niech będzie. Czego się wtrąca, po co zaczepia?

Dorosłym się zdaje, że mają prawo zaczepiać, robić głośne uwagi i zadawać byle jakie pytania, bo to mały, bo dziecko.

Mówią:

„Jakie ten mały ma ładne oczy. Ile masz lat? Nieładnie gwizdać na ulicy”.

Kajtuś udawał zawsze, że nie słyszy, albo język pokaże i ucieknie.

Ale tym razem dobrze się stało, bo zrozumiał, że nie powinien iść razem z sobowtorem. Bo co powie, jeśli spotka znajomych?

— Zgiń, maro.

Rozwiał się widziadło, jak mgła. Kajtuś odetchnął z ulgą, bo nie wiedział, o czym mówić z tym swoim bliźniakiem.

Spotkał kolegę, który zbiera marki<sup>63</sup>. Już ma trzydzieści dwa państw; zna sklep, gdzie można wymienić podwójne marki na inne; lepiej zamieniać w sklepie niż z chłopakami, bo chłopcy oszukują, i tam większy wybór.

Są marki po sto złotych i więcej.

Zagaądał się Kajtuś i zapomniał, że ma później wejść do klasy.

Ale uwagi nawet nie zwrócili: mówią o awanturze na mieście.

Na korytarzu pani do niego się uśmiechnęła, też nic nie powiedziała. Dopiero na pierwszej lekcji pan zaczął żarty stroić.

— Aaa, jesteś już, Robinsonie Kruzoe<sup>64</sup>? Kiedy znów będziesz z domu uciekał? Ojciec wyłoił ci skórę?

Kajtuś stoi w ławce; nawet mu się nie wolno odezwać, gdy koledzy się śmieją.

Dorośli często jakby umyślnie drażnią się z dziećmi. Nieprzyjemnie, jeśli się kogo nie bardzo lubi, a on zacznie żartować i wyśmiewać.

<sup>62</sup>marą — widmo, złudzenie. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>marka (daw.) — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>Robinson Kruzoe — bohater słynnej powieści Daniela Defoe; spędził wiele lat jako rozbitek na bezludnej wyspie. [przypis edytorski]



— No, Robinsonie, chodź do tablicy. Zobaczymy, czego się nauczyłeś na bezludnej wyspie.

Kajtuś niechętnie wychodzi z ławki. Postanawia nic nie mówić, choćby nawet umiał. Niech się pan rozzłości, kiedy taki wesół.

I w ogóle po co przyszedł Kajtuś do szkoły? Mógł przysłać sobowtóra, a sam iść na wagary.

— No pisz — kazał nauczyciel.

Kajtuś niechętnie bierze kredę do ręki.

Pan dyktuje zadanie, może nawet łatwe, ale Kajtuś nie chce.

— Powtórz.

Powtarza źle. Na złość.

— Źle. Podróżować umiesz, a głupiego zadania powtórzyć nie potrafisz?

No właśnie. Dlatego, że głupie i wcale go nie obchodzi.

Kajtuś jest czarodziejem i męczyć się nie pozwoli. Nie będzie siedział w szkole.

Położył kredę, polizal palce, spojrzal drwiąco na tablicę; pomyślał swym tajnym sposobem:

„Mocą swoją i wolą, i rozkazem żądam, żeby była już godzina dwunasta”.

A było dopiero piętnaście po ósmej.

Czary

Żaden czar Kajtusia nie wywołał jeszcze takiego zamieszania w całej Warszawie.

Co kto spojrzal na zegar, oczom swoim nie wierzy. Każdy naprzód robi w domu awanturę, że ktoś przesunął wskazówki zegara, potem biegnie do sąsiada, żeby sprawdzić. Telefonują na prawo i na lewo, bo chcą wiedzieć, co się stało, która naprawdę godzina.

Urzędnicy bez śniadania biegną do biur, a kupcy do sklepów.

W tramwaju tłok. Konduktorzy rady dać nie mogą. Kto się nie docisnął, biorą wspólnie taksówki. Wszyscy spóźnieni: myśleli, że wcześniej, a tu już południe.

Wysypali się ze szkół uczniowie.

— Skaranie boskie z tymi dziećmiakami, płaczą się, jak człowiek się śpieszy.

— A to niespodzianka — cieszą się młodzi. — Kto tak dobrze wymyślił?

— Zagraniczni goście — mówi Kajtuś rozweselony. — Chodźmy im podziękować.

Wstąpił do bramy, wywołał sobowtóra i posłał do domu. Sam przyłączył się do pochodu sztubaków i — hajda na miasto.

Aż musieli zatrzymać tramwaje — taka gromada ze wszystkich szkół się zebrała.

Gazety potem pisały, że młodzież szkolna urządziła przed hotelem gości burzliwą manifestację. Inne gazety, że — żywiołową i spontaniczną.

Przyznać trzeba, że krzyk był.

— Niech żyją! *Vivant*.<sup>65</sup> Dziękujemy!

Oni wyszli na balkon i kłaniają się, i też dziękują.

A potem każdy w swoją stronę: do domu albo na spacer.

Poszedł Kajtuś na plac Teatralny. Zaczepił go inwalida w niebieskich okularach.

— Przeprowadź, kawalerze, na drugą stronę ulicy, bo słabo widzę.

Wziął go Kajtuś za rękę, ostrożnie przeprowadził. A on:

— Masz, weź czekoladkę.

Czekoladka akurat taka, jakie były w torebkach pod poduszką. I smak taki sam.

Zjadł. Rozgląda się. Zegar ratuszowy bije pierwszą godzinę, a dopiero otwierają sklepy. Przypomnił sobie odczyt profesora Gwizdała. Nagle myśl:

„Pozamieniam napisy na szyldach sklepów”.

Stuka palcem w powietrze i mówi:

— Ten sklep niech będzie „Dyndalski”. Ten — „Fidrygalski i Spółka”. Dalej — „Fajtłapski i Synowie”. „Kundel i Cwajnos”. „Ferdek Śmierdek”. „Bezportek”. „Kukurykiewicz”.

Od razu na wszystkich sklepach, zamiast nazwisk znanych, poważanych, ukazują się śmieszne napisy.

<sup>65</sup>*vivant* (łac.) — niech żyją. [przypis edytorski]

Ale Kajtusiowi mało tego. Pozamieniał sklepy. Będzie większy bałagan.

Na rogu placu zamienił bank na owocarnię<sup>66</sup>. Zamiast pieniędzy leżą w oknie gruszki, jabłka i śliwki. Na biurkach bankowych orzechy, banany i winogrona.

Niedaleko banku znana apteka.

„Niech tam będą ptaki, małpy i złote rybki”.

Już zaraz w bufetach<sup>67</sup> i słojach aptecznych rozlega się śpiew kanarków. Gdzie było lekarstwo na kaszel, chodzą niezgrabne żółwie, gdzie maść na rany i odciski, tam kolibry.

A w zamkniętej na klucz szafce z truciznami siedzi małpka i miny stroi.

Naprzeciwko apteki jest stara firma, skład przedmiotów żelaznych. W oknach były noże, widelce, narzędzia stolarskie, ogrodnicze, lodownie<sup>68</sup>, kosy, wagi, maszyny do pisania, brzytwy do golenia. Ten skład zamienił Kajtuś na cukiernię. A w oknach umieścił napisy:

„Reklama! Każdy uczeń dostaje jedno ciastko za darmo”.

Już wali do sklepu łobuzeria:

— Proszę o ciastko tortowe.

— Mnie z kremem!

— Mnie z konfiturami.

Subiekc<sup>69</sup> nie wiedzą, co robić. Pytają się, a właściciel mówi:

— Tymczasem trzeba sprzedawać.

— Kiedy w oknach stoi, że darmo.

— Ano trudno: trzeba dawać, jeżeli napisane. Musi się przecież wyjaśnić, co to wszystko znaczy.

Kapelusz na oczy ze wstydu nasunął, kołnierz palta postawił — idzie zobaczyć, co się z innymi dzieje.

Przed bankiem stoi tłum ludzi.

— Oddajcie pieniądze! Nie damy się oszukać! Nie robić żartów!

Dyrektor banku prosi i tłumaczy:

— Uspokójcie się państwo. Zaraz otworzymy kasę ogniotrwałą i skarbiec. Kasjera jeszcze nie ma. Wiecie, że poplątały się zegary.

— Więc posłać po kasjera. Jak długo będziemy tu stali?

— Żeby się nie nudziło, każę tymczasem wydać owoce, czym chata bogata, tym rada. Zaraz na tacach będzie się dawało. Każę gońcowi skoczyć prędko po tace do sklepu z przeciwwka.

— Tam już nie ma tac; teraz tam cukiernia Dyndalskiego.

— No, sami państwo widzicie. Może śliweczki węgierskie?

— Chcemy pomarańcze!

— Doskonale. No ruszajcie się, panowie urzędnicy! Klientela czeka.

Urzędnicy się buntują.

— Nie jesteśmy młodymi panienkami, żeby handlować owocami.

Przyszedł kasjer. Otworzył. A w kasie same figi.

Krzyk, groźby — awantura.

Nie lepiej u jubilera.

— Przepraszam, czy jest właściciel?

— Ja jestem. Właśnie.

— Pan Bezportek?

— Co takiego? Ja pana nauczę błaznować!

— Nie jestem błaznem; jestem agentem firmy ogrodniczej. Proszę przeczytać, co głosi napis na szyldzie.

<sup>66</sup>owocarnia (daw.) — sklep z owocami. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>bufet — tu: stół sklepowy, oprócz blatu wyposażony w szuflady i półki. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>lodownia — tu: szafka do przechowywania żywności, zawierająca pojemnik na lód; obudowę tego sprzętu często wykonywano z drewna, a wewnątrz z metalu. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>subiekt (tu daw.) — sprzedawca w sklepie, ekspedient. [przypis edytorski]

Jubiler, człowiek dobrze wychowany, wyszedł przed sklep, przeczytał i zaklął tak brzydtko, że w książce dla młodzieży nie mogę napisać, by nie dawać złego przykładu.

Napis głosił:

Bezportek i Spółka.  
Skład tulipanów, marcepanów<sup>70</sup>.  
Róże małe i duże.  
Bratki w kratki.  
Bim-bum. Hop-hop.

A tu zaraz wchodzi pani baronowa.

— Co się dzieje u pana? Zostawiłam u pana moje kosztowne perły. Oddaj pan.

— Pani baronowo, już mam tylko kwiaty.

Baronowa upadła zemdlona.

Biedny jubiler biegnie do apteki.

— Panie aptekarzu, proszę o krople na nerwy.

— Nie ma.

— Pani baronowa zachorowała.

— Mnie to nic nie obchodzi.

— Ja policję sprowadzę, że pan ludzi nie chce ratować.

Kłóć się. Bo tak już jest, że ludzie zmartwieni, zamiast sobie pomagać, zaczynają ujadać.

Więc kłóć się, a na pustym słoju od rycyny<sup>71</sup> kołysze się papuga i woła:

— Głupi, głupi!

A ze słoika na porost włosów skacze na spoconą głowę aptekarza żabka zielona.

Zdawałoby się, że Kajtuś dość narobił bigosu. Ale nie. Zobaczył, że pies goni kota.

„Niech się na placu tym odbędzie walka psów i kotów z całego miasta”.

Tęgo tylko brakowało.

Pędzą koty z ulicy Wierzbowej, a psy z Senatorskiej. Dawaj gryźć się i drapać. Szczekanie, pisk, miauczenie, fukanie, skomlenie.

Ludzie uciekają, inni się znów gapią.

— Fifi, Azor, Zolka, Trezor! Do nogi!

A Kajtuś:

„Psy niech będą niebieskie, a koty czerwone”.

I tak się stało.

Urzednicy magistratu<sup>72</sup> stoją w oknach i patrzą.

— Niech straż ogniowa rozgoni je wodą.

Strażacy zakładają gumowe rury na hydranty.

„Żądam wołą moją i mocą, aby małpy zielone zrobiły porządek”.

Już małpy — jak nie skoczą w sam środek — i porozpędzały.

Koty uciekły w ulicę Bielańską, a psy w Senatorską.

Przyjechali autami goście zagraniczni, patrzą przez lornetki.

— Wesołe miasto — mówi bogacz zwany królem okrętów i kolei.

I zwraca się do swego sekretarza:

— Trzeba opisać wszystko w naszych gazetach. Na pewno przyjadą tu bogaci ludzie, którzy się nudzą — żeby zobaczyć tyle ciekawych rzeczy.

Kajtuś doprowadził do porządku sklepy i zegary i ruszył w stronę mostu. Schodzi przez plac Zamkowy i Zjazd<sup>73</sup> nad rzekę.

<sup>70</sup>marcepan — słodka masa z migdałów i cukru, symbol luksusu. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>rycyna (tu pot.) — olej rycynowy, używany jako środek przeczyszczający. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>magistrat — zarząd miasta; także: ratusz, budynek władz miejskich. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>Zjazd — ulica Nowy Zjazd w Warszawie, która od placu Zamkowego biegła po wiadukcie do mostu Kierbedzia na Wiśle. [przypis edytorski]

Dawniej chętnie patrzył, jak statki płyną, a piaskarze<sup>74</sup> na płaskich czólnach dobywają żwir kubelkami na długich kijach.

Dziś statki wydają mu się małe i brudne, a marynarze wiślani — nieciekawi.

„Żądam, rozkazuję: niech tu będzie morze prawdziwe i wielkie okręty”.

I teraz dostał Kajtuś, na co zasłużył.

Niewidzialna ręka chwyciła go za kark, niewidzialna noga dała mu potężnego kopniaka.

Gdyby Kajtuś nie był zaślepiiony swą władzą, musiałby przyznać, że zasłużył na taką karę.

Chciał, żeby było morze. Ani pomyślał, że morze zaleje miasta i wieś, że będzie większa katastrofa niż największa powódź i trzęsienie ziemi. Mógł pół Polski pograć w odmęty.

Zamiast być wdzięczny, że się nie stało, jak powiedział, i wyrok przyjąć pokornie, Kajtuś obraził się i utkwiał zły wzrok w most Poniatowskiego.

— Niech most sztorcem stanie!

Jakby nie Kajtuś, a most zawinił.

Spełnił się czar. Most zaczął się unosić, a całe szczęście, że powoli, boby się wszyscy potopili i pozabijali. Ani jeden koń, ani jeden człowiek nie zostałby żywy.

Bo zaraz ludzie przewracają się i toczą, a samochody zjeżdżają w dół. Nie było zabitych, ale wielu pokaleczonych i pokrwawionych.

— Dosyć!

No tak, ale za późno.

Jadą karetki pogotowia na pomoc. A Kajtuś stoi jak nieprzytomny.

— Dosyć! Do domu czym prędzej, żeby nowych głupstw nie narobić.

Biegnie.

Otworzył drzwi mieszkania i cofnął się przestraszony: spotkał się oko w oko z swoim sobowtorem. Dobrze, że mama siedzi akurat tyłem do ściany, więc go nie widziała.

Zatrzasnął drzwi.

— Kto to? — pyta się mama.

— Zaraz przyjdę, mamó — słyszy swój głos w pokoju.

Sobowtór wychodzi do sieni i czeka posłusznie.

— Szeźnij, maro.

Znika. Kajtuś wchodzi, a mama się pyta:

— Do kogo wychodziłeś?

— Nic. Chłopiec mnie wołał.

— Czego jesteś taki czerwony?

— Nic. Głowa mnie boli.

— Połóż się. Napij się herbaty z cytryną.

Położy się. Tak będzie najlepiej.

Zmęczony się czuje. Niezadowolony. Smutny.

I strasznie samotny.

I niepotrzebny jakiś na świecie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W oczekiwaniu dalszych wydarzeń — Policja chce wykryć szkodnika — Śledztwo w szkole — Kajtuś podejrzany o udział w rozruchach

Późna noc.

Śpi Kajtuś i śpią mieszkańcy miasta. Ale w niewielkim domu palą się światła we wszystkich pokojach. Nikt nie śpi; odbywają się narady. Dzwonią telefony.

Co to za dom?

Główny Urząd Policyjny.

<sup>74</sup>piaskarz — człowiek zajmujący się zawodowo wydobywaniem i sprzedażą piasku i żwiru rzeczno-edytorski]

Zbyt wiele wydarzyło się niepokojących wypadków, o których telegraf<sup>75</sup> rozniósł wieść po całym świecie. Policja czuwa i czeka, co będzie jutro.

— W każdym komisariacie ma stać jeden samochód, pięć motocykletek<sup>76</sup> i dziesięć rowerów.

— Wydać hełmy i maski gazowe.

— Pilnować mostów i zegarów. Aresztować wszystkich podejrzanych; nakładać kajdanki i przewozić od razu do naczelnej komendy.

— W hotelu, gdzie mieszkają zagraniczni goście, ma wartować policja tajna i mundurowa.

— Może pozamykać ogrody i żeby dzieci nie wychodziły na ulicę?

— Nie. Wszystko powinno odbywać się w tajemnicy. Nikogo nie straszyć. Trzeba wywieścić ogłoszenia, że prosimy o spokój i rozwagę. Gazety jutro napiszą, że jesteśmy na tropie i główny winowajca jest już pochwycony.

— Ale kto to jest? Gdzie on się ukrywa?

— Choćby się ukrywał pod ziemią, musimy go pochwyć. Wszystko jedno kto: choćby sam diabeł. Cały świat czeka na to, co zrobi policja warszawska. Gazety zagraniczne pełne są opisów tego, co się stało.

Na salę obrad wchodzi dyżurny przodownik<sup>77</sup>.

— Proszę pana naczelnika do telefonu.

— Dobrze, zaraz idę. Panie sekretarzu, proszę zapisać jeszcze: ostre pogotowie straży ogniowej, bo mogą być pożary. Dyżury lekarskie w aptekach. Od rana czyściciel miasta ma wylapać wszystkie bezdomne psy i koty. I nie wolno sprzedawać wódki aż do odwołania.

— Panie naczelniku, pan pułkownik niecierpliwi się przy telefonie.

— Już idę. Proszę mnie zastąpić.

Szef policji opuścił zebranie.

Jest w swoim gabinecie.

— Halo! Słucham.

— Zawiadamiam pana, że garnizon<sup>78</sup> zebrany w komplecie. Na Saskiej Kępie są sape-  
rzy, niedaleko mostu. Na Pradze, na Woli i na Ochocie pancerni<sup>79</sup> i czołgi. Nad miastem  
stale dwa aeroplany. Bomby lżawiące wysłane.

— Dziękuję, otrzymałem już.

— Gdyby byli ranni, można ich kierować do szpitala wojskowego.

— Rozkaz.

— A teraz kładę się spać. Jutro trzeba być czujnym i trzeźwym. Radzę panu zrobić to samo.

— Niestety, panie pułkowniku, nie mogę.

— Ano, rób pan, jak chcesz. Dobranoc.

— Cześć.

Telefon.

— Kto mówi?

— Urząd śledczy. Sędzia prosi, żeby przysłać te dwie panie, które chodziły tyłem przez ulicę. One muszą coś wiedzieć; od nich się wszystko zaczęło.

— Dobrze. Przesłucham je i przyślę razem z papierami.

— Otrzymałaliśmy wiadomość o jakimś chłopcu, którego znaleziono w polu.

— Wiem: czarodziej. Mam jego adres. Plotka, głupstwo, ale go jutro zbadam. Za-  
miast uganiać się za czarodziejem, postaram się pochwyć przestępcę.

Twardo, groźnie powiedział wyraz:

— Przestępcę!

Kajtuś niespokojnie poruszył się w łóżku i krzyknął przez sen.

— Antoś, co tobie?

Kajtuś nie odpowiedział: śpi.

<sup>75</sup>telegraf — tu: przesyłanie wiadomości tekstowych na odległość (telekomunikacja). [przypis edytorski]

<sup>76</sup>motocykletka (daw.) — motocykl. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>przodownik (daw.) — sierżant policji w przedwojennej Polsce. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>garnizon (wojsk.) — oddział wojskowy stacjonujący w danym mieście lub twierdzy. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>pancerka (pot.) — opancerzony samochód a. pociąg. [przypis edytorski]

Szef policji rzucił papierosa, wypił duszkiem szklankę czarnej kawy, spojrzął na zegar: godzina druga w nocy.

Telefon.

— Mówi inspektor więzienia. Proszę wysłać samochód z eskortą na Dworzec Główny. Aresztowano trzech pasażerów: jechali za granicę. Bardzo podejrzani.

— Dobrze.

Klasnął w ręce. Wydał polecenie.

— A teraz sprowadź te dwie czarownice, co po ulicach tyłem spacerują.

Wchodzą biedaczki wystraszone, blade, zapłakane.

— Proszę, niech panie siądą.

Usiadły.

— Panie, my niewinne. My ciche, bezbronne kobiety. Za co nas więżą, czego od nas chcą?

— Ależ, szanowne panie, uspokójcie się. Trzeba wyjaśnić. Sprawa jest nader ważna.

Telefon.

— Mówi defensywa<sup>80</sup>. Proszę wysłać samochód na Dworzec Wschodni. Aresztowanych przyśle pan do nas. Co u was słychać?

— Tymczasem niewiele. Spokojnie. Czy samochód wysłać zaraz?

— Za godzinę.

— Panie, my niewinne. Możemy stracić posady. W kryminale, w nocy! Co pomyślą sąsiedzi, stróż? Na noc nie wróciły do domu! Nie piłyśmy herbaty.

Klasnął w ręce.

— Proszę przynieść dla pań herbatę. Panie pałą? Proszę papierosa.

— Panie naczelniku, panie kierowniku, panie ministrze! Niech pan nas wypuści z kryminału!

— Nie jestem ministrem. To wcale nie kryminał, a zwykły areszt prewencyjny. Proszę mi powiedzieć, o czym panie rozmawiały na ulicy?

— Ja sobie plombuję ząb. W Kasie Chorych<sup>81</sup>. Nawet mam watę w zębie. Mogę pokazać.

— Nie trzeba. Wierzę. I cóż dalej?

— Nic.

— Przepraszam. Gdyby panie szły tylko i rozmawiały o zębie, nie byłoby żadnej racji was aresztować. Ale czy poważne urzędniczki podczas rozmowy o zębie muszą koniecznie tyłem chodzić?

— My nienaumyślnie.

— Myśmy doprawdy nie chciały.

— Możemy zapłacić po złotówce kary.

— Niech pan się zlituje nad nami. My niewinne.

Telefon.

— Mówi woźny z poczty. Przysłano tu dwie klatki z gołębiami.

— Więc co?

— Napisane: „bardzo pilne”. Nie wiem, co mam zrobić.

— Ugotuj sobie rosół i zjedz.

Szef policji rozpiął mundur.

— Uf, gorąco. Proszę pić herbatę, bo wystygnie. Teraz mi panie zechcą opowiedzieć o samochodzie, który nagle frunął w powietrze.

— Nie wiemy nic. Nie widziałyśmy.

— To źle. Wszyscy zgodnie świadczą, że ten samochód pędził prosto na was. Czy samochód to igła, której można nie zauważyć?

<sup>80</sup>defensywa (tu daw.) — tak w okresie międzywojennym nazywano kontrwywiad, służby specjalne do zwalczania obcego wywiadu. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>Kasa Chorych — instytucja zapewniająca ubezpieczonym w niej osobom bezpłatną pomoc medyczną oraz zasiłki pieniężne podczas choroby; pierwsza w Polsce kasa chorych powstała w roku 1920, w 1934 kasy chorych przekształcono w centralną Ubezpieczalnię Społeczną, nadzorowaną przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych. [przypis edytorski]

— Byliśmy zawstydzone i załężnione.  
 — Czegoście się panie wstydzili i czego bały?  
 — No, tego, żeśmy tak dziwnie chodziły.  
 — A kto wam kazał dziwnie chodzić?  
 — To się tak nagle stało. Rozmawialiśmy, wtem ktoś nas jakby pchnął i zaczyna ordynarnie przezywać.  
 — Kto to był?  
 — Nie wiemy. Zaczęliśmy uciekać.  
 — Przed kim?  
 — Nie wiemy.  
 — Jakże można nie wiedzieć, przed kim się ucieka? Czy mężczyzna, czy kobieta, czy młody, czy stary? Czyby go panie poznały?  
 Szef bezpieczeństwa nacisnął tajny dzwonek. Wszedł sekretarz.  
 — Wysłać samochód na Dworzec Wschodni. Zatelefonować na pocztę: przysłano dwie klatki gołębi. Nie wiadomo, czy jutro będą telefony: gołębie mogą być potrzebne<sup>82</sup>. I zawiadomić żonę, że nie wrócę na noc, niech mi przyniosą poduszkę i koc. I zawołać tego piekarza.  
 Wchodzi chłopak piekarski.  
 — Czy go panie znają?  
 — Nie, panie policjancie, my takich znajomości nie mamy.  
 — A ty poznajesz te panie?  
 — No, jeszcze by też! To właśnie te pokraki. Mało tacy z ciastkami nie wywaliłem w błoto. Bywa, że ktoś potrąci, bo gapią się i człapią jak ślepi. Ale one wyraźnie naumyślnie...  
 — A samochód widziałeś?  
 — Wszyscy widzieli, więc i ja. Oczywiście mam. W górę nie patrzyłem, bo miałem tacę na głowie, ale — jak się poderwał w górę...  
 — Więc co panie na to?  
 — Nic.  
 — To źle. Zapiszę, że panie odmawiają zeznań i milczą uparcie.  
 — Panie sędzio, my wcale nie uparte. Rozmawialiśmy o dentyście i że w lecie razem wyjedziemy na urlop.  
 — Proszę podać adres dentysty.  
 — Nie wiem, jak się nazywa. Przystojny, ma takie marzące oczy.  
 Wchodzi sekretarz.  
 — Chłopiec może iść do domu. Te dwie do sędziego śledczego. Zabrać stąd telefon. I do piątej rano żeby tu nikt nie wchodził. Rozumie pan: nikt. Chyba, że coś groźnego. Muszę odpocząć. Moje uszanowanie paniom.  
 — Panie naczelniku, niech pan sprawdzi, że mam w zębie wateę.  
 — Sędziem pani pokaże. No, już podpisane.  
 Wyszli.  
 Naczelnik policji stołecznej rozpiął ostatni guzik munduru.  
 Rzucił się na kanapę, przykrył kocem.  
 Chrapie.

Trzy razy próbował Kajtuś, żeby zapomnieli. Udało się wtedy z rowerami na korytarzu w szkole, więc czemu teraz nie miałyby się udać.

Niestety. Nie zapomnieli. Pamiętają.

„Fatalnie ja to wszystko wymyśliłem. Nastraszyłem miasto; nakaleczyłem ludzi, konie, psy, koty.

Robiłem głupstwa i dawniej. Dokuczałem stróżowi i przekupkom. Biłem się. Zaczepiałem dziewczynki.

<sup>82</sup>Nie wiadomo, czy jutro będą telefony: gołębie mogą być potrzebne — pewną odmianę gołębi, tzw. gołębie pocztowe, wykorzystywano do przekazywania wiadomości; z tej metody łączności korzystano powszechnie podczas I wojny światowej. [przypis edytorski]

Ale wtedy byłem zwyczajnym dokuczliwym chłopakiem. A czarodziej nie może być błaznem ani łobuzem. Trzeba znaleźć jakąś radę. Tak dalej być nie może.

Trzeba znaleźć jakąś radę, bo to się może źle skończyć”.

To się może źle skończyć.

Na rogach ulic wiszą ogłoszenia.

Komenda Policji wzywa obywateli miasta do spokoju... Uprasza się, by przechodnie nie zbierali się tłumnie... bo to utrudnia pochwylenie złośliwego szkodnika... Wyznacza się 500 złotych nagrody.

„Ładnie się wykierowałem — myśli Kajtuś. — Jestem złośliwym szkodnikiem”.

W gazetach dużymi literami wydrukowane były nagłówki artykułów:

„CZY RZĄD USPOKOI SZALEŃCA?”

„ARESZTOWANIE SZAJKI SZPIEGOWSKIEJ”

„OMAL NIE KATASTROFA KOLEJOWA Z POWODU PRZESUNIĘCIA ZEGARÓW”

„DZIELNY DRÓŻNIK KOLEJOWY I ODWAŻNY MASZYNISTA POCIĄGU ZAPOBIEGLI KATASTROFIE”

Dalej:

„LISTA OFIAR PODCZAS PRÓBY WYSADZENIA MOSTU W POWIETRZE”

Wreszcie:

„TAJEMNICZY PACJENT SZPITALA DLA DZIECI”

„Ten tajemniczy pacjent szpitala to pewnie ja jestem” — domyślił się Kajtuś.

Bo piszą, że w jednej ze szkół warszawskich miało miejsce zbiorowe zatrucie nieznanym gazem. Szkoła była zamknięta. Robiono dezynfekcję<sup>83</sup>. Woźny szkoły złożył jakieś zeznania w policji. Uczeń szkoły zachorował potem na grypę o dziwnym przebiegu. Znaleziony w rowie pod miastem, leczyl się w jednym ze szpitali.

Wszystko to opisane było niewyraźnie. Ale gazeta uprzedza czytelników, że nie może więcej pisać, żeby nie utrudniać śledztwa:

„Ze względu na toczące się śledztwo”.

Nawet w ogłoszeniach znalazł Kajtuś echo wczorajszych wypadków.

Zginęła suczka biała w czarne łaty. Odprowadzić za nagrodą.

Zginął pudel Wierny. Nagroda — 50 złotych.

Kot Burek opuścił swoją panią. Za wskazanie adresu dam 20 złotych.

— Doczekałem się — mruknął Kajtuś z goryczą. — Ścigają mnie za nagrodą jak psa albo kota. Może nie iść do szkoły, posłać sobowtóra? Ale chcę wiedzieć, co będzie. Zresztą co mi zrobią? Jestem czarodziejem.

I już przed samą szkołą znalazł dobrą radę:

„Niech każdy mój czar wtedy się uda dopiero, kiedy rozkaz dwa razy powtórzę. Nie od razu tak będzie, jak mi strzeli do głowy. Naturę mam niespokojną. A tak — będę się mógł zastanowić”.

Już zupełnie spokojny, wchodzi Kajtuś do klasy.

W szkole nie rozmawiają ani o markach pocztowych, ani o kliszach<sup>84</sup>, ani o nowym programie w cyrku i meczach, tylko o wczorajszych zdarzeniach.

<sup>83</sup>dezynfekcja — odkażanie, niszczenie drobnoustrojów chorobotwórczych na przedmiotach i powierzchniach użytkowych. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>klisza — szklana płytka, na której utrwał się negatyw zdjęcia; później przez analogię nazywano kliszą również błonę fotograficzną. [przypis edytorski]



Ten widział most, ten psa wściekłego, tamten był w Łazienkach. Jedni mówią prawdę, drudzy kłamią, chwalą się.

Uczniów mniej niż zawsze, bo rodzice bali się, nie pozwolili wyjść z domu.

I Kajtusia chciała mama zatrzymać, ale ojciec mówi:

— Nasza rzecz posłać do szkoły, a tam już powiedzą, co dalej. Najgorzej, jak każdy zacznie rządzić swoim rozumem. Wiem ze służby wojskowej: wszędzie powinna być karność i komenda.

Weszła pani. Chłopcy pytają się, ile będzie lekcji: czy wcześniej puszcza do domu.

Pani mówi:

— Będzie tak jak zawsze. Jeżeli trzeba coś zmienić, przyjdzie papier od inspektora. Tam wiedzą lepiej co robić.

Ledwo pani to powiedziała, zajeżdża przed szkołę samochód. Wyszli dwaj panowie. A po chwili wchodzi woźny do klasy i szeptem coś pani do ucha.

— Antoś, do kancelarii, do pana kierownika.

— A co ja złego zrobiłem?

— Ależ nic, jakaś prywatna sprawa.

Kajtuś idzie śmiało. Woźny otwiera drzwi jak jakiejś ważnej sobie. Kajtuś kłania się. Nieznajomy pan podał mu rękę.

I pyta się o rowery, o atrament zamieniony w wodę, o dzwonek, który sam dzwonił, o muchy.

— Co wiesz o rowerach?

— Są rowery nowe i używane: można wynająć, można kupić na raty.

Atrament? Owszem, pamięta. Ale chłopcy tego nie zrobili.

Muchy na lekcji? To było pięć tygodni temu, nie, trochę dawniej.

Dzwonek? Chyba się woźny pomylił na zegarze.

To wie, tego nie zauważył. Tak mu się zdaje.

Znow auto zajechało. Do kancelarii wchodzi doktor ze szpitala i pielęgniarka.

— Czy znasz?

Zna. Przecież leżał w szpitalu. Wita się. Uśmiecha się zażenowany.

— I cóż, o czym tam mówiłeś?

— Kiedy miałem gorączkę, podobno mówiłem o czarach. Znam dużo bajek.

— Obiecałeś mi pałac zbudować na szklanej górze — mówi pani pielęgniarka.

— A mnie groziłeś, że zamienisz w osła.

— Bardzo przepraszam pana doktora.

— A czy możesz pokazać miejsce w lesie, gdzie zachorowałeś?

— Nie w lesie, a za mostkiem.

— A lubisz jeździć samochodem?

— No... pewnie, że lubię. Tylko jeżeli na długo, to mama będzie niespokojna.

— O, zaraz widać, że jesteś dobrym synem, nie chcesz martwić rodziców. Nie obawiaj się; szkoła zawiadomi rodziców.

Panowie pożegnali się z doktorem, kierownikiem i z panią. Usiedli po bokach, a Kajtuś we środku na dużym siedzeniu.

Wolałby obok szofera, ale i tak dobrze.

Prawdziwe auto, nie zwyczajna taksówka.

— Więc dokąd mamy jechać?

— Do Grochowa, a potem do Wawra.

Jadą. Mijają tramwaje.

— O, tym numerem jechałem. Tu zgonił mnie konduktor. Tu siedłem pieszo. Tu odpoczywałem. Tu fruwał aeroplan — tak niziutko.

— A czy samolot może się zamienić w taksówkę?

— Nie wiem. Ale są hydroplany<sup>85</sup>.

Kajtuś domyślił się, że go badają.

— Stop. To tu. Właśnie ten lasek brzoźowy.

Zostawili samochód na szosie. Weszli do lasu.

— Prowadź.

<sup>85</sup>hydroplan — samolot, który może lądować na powierzchni wody i z niej startować. [przypis edytorski]

— Prosto. Teraz na prawo. Tu — pamięta dobrze. — A dalej nie wiem, zablądziłem.  
— A czy poznajesz tego człowieka?  
— Kogo?  
Ogląda się, zdziwiony. Patrzy.  
— Zdaje się, że widziałem.  
— A gdzie mostek?  
— Nie wiem. Chyba daleko. Długo blądziłem.  
— Czy można tam autem dojechać?  
— Przez las nie, ale drogą można.  
— Więc jedziemy.  
— O, tu są te ścięte drzewa. O, mostek. O, tu pod tym słupem.  
— Tak — potwierdza włościanin. — Tu leżał i jęczał. Tu go znalazłem.  
— Dobrze. Macie pięć złotych za fatygę.  
A do szofera:  
— Wracamy.  
— Skąd pan wiedział, że ten pan mnie znalazł? Do czego to panu potrzebne?  
— Widzisz, chłopcze. Szukamy ludzi szkodliwych i niebezpiecznych. Obowiązkiem naszym jest wiedzieć. I obowiązkiem każdego obywatela pomagać i ułatwiać nam trudne zadanie.

Znów Warszawa. Dokąd go wiozą?

Prosto do restauracji. Uduje Kajtuś, że to pierwszy raz widzi; rozgląda się i pyta:

— Dlaczego tu szyba stłuczona? Ile kosztuje to lustro? Kto gra na tym fortepianie?

— Co będziesz jadł?

— Może kiszkę kaszaną? Tu drooogo!

— Nie obawiaj się. Ja zapłacę.

— No to proszę kielbasę z kapustą.

Kelnerzy patrzą na Kajtusia.

„Niech nie poznają. Niech nie poznają!” — dwa razy myślą powtórzył.

Chyba nie poznali: może na rozkaz Kajtusia, a może ze strachu.

Jedzą. Rozmawiają. Skończyli. Wyszli.

„Zawiozą mnie pewnie do Łazienek”.

Nie, do głównej komendy, do gabinetu pana naczelnika.

— Niech wejdą te dwie urzędniczki. Siadaj, Antosiu. Czy znasz te panie?

— Nie.

— Widziały panie tego chłopca?

Wzruszają ramionami.

— Dziękuję. Następny.

Wchodzą różni. Teraz naprawdę nie wie.

— Nie znam. Może widziałem. Dużo ludzi chodzi po ulicy.

Już mu się znudziło. Kręci się na fotelu.

Nareszcie wolny. Wchodzi ojciec Kajtusia.

— Może pan go zabrać. Może jeszcze wezwiemy.

— Ano trudno — jeżeli zawinił.

— Ależ nie, nikt tego nie mówi. Ale obowiązkiem naszym sprawdzić każdą pogłoskę.

— No, tak. Chodź, Antoś, do domu.

— I cóż pan myśli?

— Myślę, żeśmy stracili niepotrzebnie trzy ważne godziny.

— A na mieście spokojnie.

— Może się przyczaił i chce nas niespodzianie zaskoczyć.

— No nie, to mu się nie uda.

Naczelnik zapalił papierosa i sięgnął po słuchawkę telefonu, żeby złożyć raport swej władzy.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kajtuś wyczarował wyspę na Wiśle, a na wyspie pałac — Dobry książę — Muzyka, tańce, kino — Wszystko zburzone

Siedzi Kajtuś na piasku nad Wisłą.

Patrzy na wodę, że płynie. Patrzy na chmury, że wysoko. Patrzy na ludzi, że pracują — na statki i łodzie.

Długo, bardzo długo nie myśli o niczym.

Widzi na środku rzeki mieliznę. Nic — piasek biały. Niby nic ciekawego, a patrzy.

Jakby czekał na jakąś myśl nową i ważną — i jakby czekał cicho i uroczyście na jakieś postanowienie.

Dziwnie mu, spokojnie; jakby wesoło, jakby smutno. Nic — patrzy, czeka.

Nagle...

„Wiem już. Zbuduję zamek obronny na wyspie. Na środku Wisły. Nieduża wysepka, a na niej zameczek z wieżyczką i ogródek nieduży”.

Bo przykrzy się w domu. Okna wychodzą na ciemne podwórko, mury szare i odrapane. Ani drzew, ani kwiatów.

Teraz będzie inaczej.

Dawniej miał Kajtuś wiele różnych myśli: jedne ważne, drugie mniej ważne. Co go dzina, co chwila — inaczej i o czym innym.

Teraz już wie, teraz dobrze będzie.

„Ile metrów? Jak duża wyspa, jaki wysoki ten pałac czarodzieja?

Ile pokoi? Czy rodzice zechcą w nim zamieszkać? Czy ma być most zwodzony z brzegu na wyspę? Czy ma być wał wokoło? Mur z granitu, marmuru, kamienia?

Co będzie stało w pokojach? Jaka ma być służba? Jakie kielichy i talerze? Czy na wieży umieścić zegar? Co ma rosnąć w ogródku? Ile ma być psów?”

Pyta się mama:

— Co ty tak ciągle mierzysz i liczysz?

— Będę dom budował.

— A pieniądze masz? — mówi mama z uśmiechem.

— Można i bez pieniędzy.

Teraz nawet nie kłamię.

Nawet nie będzie się ukrywał. Bo co komu może szkodzić? Jeszcze lepiej: na wieży będzie się paliła latarnia; są przecież latarnie morskie.

Domyśla się, że jest czarodziejem? Więc co? Dawniej palili czarnoksiężników na stosie, ale teraz już nie. Są wróżki i znachorzy: jedni leczą, drudzy sztuki pokazują, duchy wywołują, różne zioła sprzedają. Nikt im nie przeszkadza.

Każą sobie płacić, a Kajtuś za darmo. Będzie jak rycerz, jak Napierski<sup>86</sup>, jak dobry książę. Właśnie tak:

Dobry książę.

Tak będą go nazywali.

Ale nie trzeba się śpieszyć. Dopiero później kiedyś wyzna tajemnicę.

Ot, będzie niespodzianka dla rodziców i całej Warszawy.

Ukaże im się w kurtce myśliwskiej albo w płaszczu królewskim — może skaut, strzelec — na białym koniu albo pierwszy raz autem, albo w samolocie.

Nie wie jeszcze. Nie trzeba się śpieszyć.

— Dobry książę.

Może znajdzie sposób, żeby i babcia ożyła. Że raz się nie udało, to jeszcze nie dowód. Był świeżo po chorobie; może źle się zabrał do rzeczy. Tyle trudnych czarów mu się udało.

— Trzeba zacząć teraz zupełnie nowe życie.

Powiedział wtedy ojciec:

— Chłopak ma charakter.

To znaczy: silną wolę.

<sup>86</sup>*Kostka-Napierski, Aleksander* (1617–1651) — oficer, przywódca powstania chłopskiego na Podhalu w 1651. [przypis edytorski]

Bardzo ważna jest silna wola: jeżeli postanowiłeś, to spełń, jeżeli zacząłeś, to skończ.  
Postanowił Kajtuś nie używać czarów na głupstwa, a pałac na Wiśle zbuduje, gdy już wszystko dokładnie ułoży.

Raz tylko — i na próbę tylko, żeby się przekonać, czy umie wyczarować skarb...  
Został sam w mieszkaniu.  
„Niech stanie tu w kącie pokoju skrzynia ze złotem i worek dukatów”.  
Powtórzył dwa razy.  
Zaszumiało w głowie. Poczul ból dotkliwy. Pot wystąpił na czoło. Dreszcz potrząsnął Kajtusiem.

Czary

Kajtuś nie jest tchórzem, ale przestraszył się, gdy w ciemnym prawie pokoju zobaczył między stołem i oknem — wielką skrzynię z czarnego drzewa, a obok — wór przewiązany sznurem, zalakowany czerwoną pieczęcią.

Aż zatrzeszczała podłoga pod ciężarem.

„Chcę mieć klucz od kufra. Chcę mieć klucz od kufra”.

Otworzył bez trudu. Uniósł wieko. Złoto. Jak błyskawica oświetliło pokój.

Pomacał worek: twarde, okrągłe dukaty.

Usłyszał na schodach znajome kroki.

„Niech zniknie. Niech zniknie”.

Wchodzi mama.

— Dlaczego ciemno? Dlaczego lampy nie zapaliłeś? Dlaczego taki błądy jesteś? Czy znów cię głowa boli?

Zupełnie inaczej rozgląda się teraz Kajtuś, gdy jest na ulicy.

Dawniej domy nic go nie obchodziły, teraz patrzy uważnie.

„O, chcę mieć taki ganeczek. O, takie okrągłe okienko. Taki daszek przy wejściu do pałacu, taką bramę w murze. Przed oknami — skrzynki z kwiatami, właśnie jak w tym domu”.

Ani myślał dawniej, że są domy ładne i brzydkie. Dawniej nie oglądał wystaw sklepowych, gdzie są meble, dywany, lampy, piece, lustra. Teraz długo stoi przed wystawą. Patrzy i wybiera.

„Takie sobie w oknach zawieszę firanki. Taką skórę niedźwiedzią położę na podłodze. Taki kałamarz postawię na biurku”.

Wygodny stół i fotel, ale za wysokie. Chce niskie, na swój wzrost. Bo w domach i mieszkaniach wszystko jest dla dorosłych, za duże, za ciężkie.

„Ta szafka będzie dobra. I ta półka na książki”.

Wie już Kajtuś, jakie będą okna i jakie piece na zimę. Wybrał białą umywalkę z dwoma kranami: z jednego kranu zimna woda, z drugiego gorąca.

„Dobrze mieć ciepłą wodę, gdy bardzo ręce zabrudzę, kąpiąc w ogródku”.

Poszli raz ze szkołą na wystawę obrazów. Już tam raz byli; ale nie bardzo pamiętał, bo tyle różnych obrazów. Już nawet nudziło się patrzeć.

Teraz inaczej patrzy; porównywał, wybrał, zapisał dla pamięci. Wybrał cztery ładne, ale żadnego dużego.

— Dlaczego notujesz numery obrazów?

— Bo mi się najlepiej podobają.

Tak po troszku, naprzód w myślach, budował i meblował swą przyszłą siedzibę.

Aż nadszedł czas.

Aż nadeszła godzina...

Westchnął i dwa razy powtórzył:

„Niech się na środku Wisły ukaże wyspa”.

Woda się zmaciła. Fala się uniosła. Drgnęła rzeka. Pianą się pokryła.

Czary

Na środku Wisły ukazała się nie mielizna, a wyspa.

A z wyspy ku rzece prowadzi siedem kamiennych schodków. Bo tak właśnie chciał Kajtuś. Bo na wiosnę wody w rzece przybywa, więc wyspa musi być wysoka, żeby woda nie zatopiła.

Początek zrobiony. A teraz trzy dni zaczekam: bo co ludzie powiedzą?

A ludzie jak ludzie: nie bardzo znają się na rzeczy. Może inżynierowie rzeczni tamę usypali, może filar budować będą pod nowy most, może jakaś regulacja Wisły: prąd chcą zmienić czy jak?

Ludzie jak ludzie: jeżeli im co nie przeszkadza, nie lubią się zastanawiać.

Widzi Kajtuś, że wszystko spokojnie, więc trzy dni przeczekał i wydał rozkaz.

I wyrósł na wyspie pałac. Akurat taki, jak pragnął: ani za duży, ani za bogaty.

Tak właśnie murem kamiennym otoczony. Taka właśnie brama żelazna i taras, i wieżyczka.

„Chcę zobaczyć, jak tam jest w środku”.

Ale nie powtórzył rozkazu, bo na brzegu zaczęli się gromadzić i palcami pokazują.

„Teraz rozpocznie się wrzawa” — pomyślał Kajtuś.

Ale nie. Aż dziwno.

Gazety doniosły, że jeden z zagranicznych gości postanowił zostać w Warszawie na zawsze. Podoba mu się tu i klimat zdrowy. A zagraniczny milioner choruje na astmę, więc potrzebne mu czyste powietrze; bo mu ciężko oddychać. Dlatego właśnie pałac na rzece zbudował i dziwak będzie sam mieszkał.

Gazety podały fotografię, jak pałacyk wygląda w środku. Jedna podała zmyśloną rozmowę z bogaczem. Wyrażano zdziwienie, że ktoś w nocy pozabierał z różnych sklepów rzeczy i że to wszystko znalazło się w tym pałacu. Zginęły też cztery ładne obrazy z wystawy.

Nie wątpimy — pisały gazety — że nowy przyjaciel Warszawy zapłaci.

Amerycanie mówią, że „czas to pieniądz”, więc milioner nie chciał tracić czasu na niepotrzebne rozmowy i targi. Widzi — bierze — płaci. Jedni wiele gadają, a drudzy robią. W jeden dzień przybył Warszawie budynek, który będzie ozdobą miasta. Oto przykład dla naszego niedołężnego magistratu, jak można prędko i ładnie budować.

Kajtuś włożył do dużej koperty pieniądze i wysłał do banku z prośbą, by wszystkim zapłacono dwa razy więcej, niż się należało.

A kiedy szkoła urządziła wycieczkę nad Wisłę, Kajtuś razem ze wszystkimi oglądał swe dzieło. A było naprawdę ładne.

I pomyślał nagle:

„Może frunąc na wyspę, ukłonić się całej szkole i chusteczką powiewać?”.

Ale nie powtórzył życzenia. Będzie znów trzy dni czekał.

Niech się z dziwem tymczasem oswoją: zobaczą i się uspokoją.

Towarzystwo Kolonii Letnich<sup>87</sup> urządziło zwiedzanie pałacu, po złotówce za bilet. Sto tysięcy osób łódkami i statkami odwiedziło wysepkę Kajtusia. Potem wydrukowali podziękowanie, że biedne dzieci będą mogły wyjechać na wieś.

A Kajtuś zastał swą wysepkę strasznie zaśmieconą.

Ze wstydem przyznać trzeba, że były ponarzucane papiery, pestki, niedopałki papierosów i potłuczone butelki.

Nawet gazety pisały, że publiczność wykazała brak kultury.

Ale Kajtuś nie martwił się: wszystko w mig uprzątnął służący — Murzynek.

Nareszcie w niedzielę wieczorem na wieży przed bramą i we wszystkich oknach po raz pierwszy zapłonęły światła. Wyglądało ślicznie.

— Takiemu to dobrze — mówili ludzie, którzy z rodzinami przyszli na brzeg, żeby podziwiać pałacyk na Wiśle.

A Kajtuś posłał sobowtóra i pierwszą noc spędził w swoim nowym domu.

<sup>87</sup>Towarzystwo Kolonii Letnich — założone pod koniec XIX w. przez doktora Stanisława Markiewicza, organizowało kolonie i półkolonie dla warszawskich dzieci z ubogich rodzin. [przypis edytorski]

Sam czuł się szczęśliwy. Teraz pomyślał o innych: zaprosi kolegów, kierownika (jest dobry), pielęgniarkę (była dobra), panią (bardzo dobra). Wszystkich zaprosi, przebaczy nawet tym, którzy mu dokuczali.

Murzynek przyniósł kolację: kurczaka z sałatą, kompot, tort, herbatę. Kajtuś zajada, bo na świeżym powietrzu ma doskonały apetyt. Zajada tak — i nowe plany układa.

Kiedy już będą wiedzieli, że jest czarodziejem i dobrym księciem, sprowadzi z Tatr jedną górę, żeby dzieci miały saneczki i narty. Urządzi dla wszystkich ślizgawkę. Będą zabawy i poczęstunki.

Cała Polska będzie bogata. Potem nawet Chińczycy i Eskimosi.

Jedno robić będzie sam, wyczaruje; a inne znów za pieniądze. Żeby ludzie mieli pracę i zarobek.

Zjadł Kajtuś na deser słodką i soczystą gruszkę, a potem wszedł kręconymi schodami na wieżę i patrzy na miasto.

Po prawej stronie zamek królewski, który broni pnących się w górę domów, gdzie małe gwiazdy okien zapalają się i gasną. Latarnie bulwarów<sup>88</sup> odbijają się w rzece złotymi iskrami.

Zachciało mu się spojrzeć przez lunetę: zobaczył ludzi; małe, ciemne na brzegu punkciki.

Przypomniał sobie, jak raz podczas wycieczki szkolnej grała na statku muzyka.

Więc czemu nie spróbować? Już dziś zacznie. Muzyką powita Warszawę.

Wydał dwukrotny rozkaz.

I usłyszała Warszawa koncert nad koncertami.

Zatrzymały się samochody, żeby nie przeszkadzać. Ludzie stoją na ulicach i placach. Otwierają okna. Znawczy mówili potem, że pierwszy raz w życiu słyszeli podobnie piękną grę.

A Kajtuś—czarodziej schodzi po krętych żelaznych schodkach do kąpielowego pokoju, spuszcza do pasa koszulę i myje się pachnącym mydłem.

— Sasu adan ra? — pyta się Murzynek.

— Nie rozumiem.

— Czy pomóc, książę panie?

— Nie trzeba. Możesz iść spać.

Roześmiał się Kajtuś, bo sobie przypomniał, że kiedy był mały, powiedział do mamy:

— Gdybym był czarodziejem, zrobiłbym tak, żeby nigdy nie myć mi uszu ani szyi, ani zębów nie czyścić.

Cztery dni i cztery noce spędził Kajtuś w swoim zamku na wyspie. Raz był tylko w mieście.

Klasnął w ręce — ukazała się motorówka. Wsiadł, włożył czapkę niewidkę. Ale nie-długo bawił. Wrócił do siebie. Woli w swoim ogródku. Altankę dodał, kazał ptakom śpiewać. Ma psa, króliki, jeża (jak Robinson). Zniżył mur, żeby mu nie zasłaniał widoku; po co mur obronny, gdy nikt nie zaczepia? W pokojach też zmienia, poprawia, przestawia. Myśli, jaką na wieczór zgotować nową niespodziankę, co urządzi w niedzielę.

Czyta Kajtuś, bo ładne ma książki; ale raz w raz<sup>89</sup> książkę odkłada, bo różne myśli mu przeszkadzają.

Kiedy i gdzie pierwszy raz się ukaże? Czy na wyspie, czy na zamku, czy balkonie teatru, na placu, czy w ratuszu, czy w defiladzie przez ulice miasta?

Co powie, jaką wygłosi mowę?

Mowa będzie krótka.

Przeprosi za wszystko, co zrobił, gdy był lekkomyślnym chłopcem: niech każdy powie, jakie poniósł straty i co żąda za to.

Zagrozi wrogom Polski, gdyby przez zazdrość chcieli napaść albo wyrządzić krzywdę.

Niech będą cierpliwi. Postara się Kajtuś i będzie dobrze...

Dziwi się, że gazety nie piszą o nim. Jakby zapomniały albo nie wiedziały.

„Kiedy robiłem głupstwa, drukowali nadzwyczajne dodatki; a o koncercie żeby choć jedno słówko”.

<sup>88</sup>bulwar — tu: nadbrzeżna ulica. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>raz w raz — raz za razem; co chwila. [przypis edytorski]

Zupełnie jak w szkole. Wtedy tylko krzyczą i grożą, kiedy coś zginie albo się pobiją, albo szybę stłuką, albo atrament wyleją. O dniu spokojnym wcale się nie mówi. Zawsze tylko co złe — wtedy awantury. Przecież nie tylko lenistwo i zaniedbanie, ale i staranie, i dobra wola.

Nie wie Kajtuś, że gazetom pisać zabronili.

Dowie się, biedak, niezadługo.

Drugiego wieczora prócz muzyki urządził Kajtuś tańce na murze i na tarasie. Piękny był balet w kolorach ogni bengalskich<sup>90</sup> i żywe obrazy.

Trzeciego wieczora puścił film na ogromnym ekranie, żeby widać było z daleka.

Długo stali nad brzegiem rzeki mieszkańcy Warszawy. Nawet i dzieciom pozwolili późno iść do łóżka.

„Niech mają uciechę” — myśli Kajtuś, zadowolony, że mu się tak udaje.

Ale przez cały czwarty dzień był smutny. Jakby coś złego przeczuwał.

Jakby przeczuwał, co stać się miało w nocy.

Głowa go boli. Senny, zniechęcony. Patrzy na Kajtusia Murzynek smutnymi oczami. Pies mu rękę polizal i oparł głowę o kolana. Nawet Wisła jakby wolniej płynie. Nie je Kajtuś potraw smacznych na porcelanowych i srebrnych talerzach.

Zebrał się ludzie na brzegu. Czekają. Wreszcie rozeszli się do domów. Nie w humorze dziś pan milioner. A może mu się znudziło?

Łaska pańska na pstrym koniu jedzie. Powinien był uprzedzić, nie, żeby ludzie na próżno czekali. Już jutro nie przyjdę: co mi tam muzyka. Policja powinna zabronić; dzieci ani utrzymać w domu: nie uczą się i zaziębiają.

„Pójdę jutro do szkoły — myśli Kajtuś. — Trudne jest życie czarodziejskie. Zmęczyłem się. Muszę odpocząć. A może jestem chory? Czy wiecznie żyją czarodzieje? Piszą w książkach, że starzy; nie piszą, czy umierają”.

Położył się wcześniej. Nieprędko usnął.

Nagle...

Wśród ciszy nocnej — salwa.

Salwa armatnia. Błysnęło — huknęło. Zadrżały szyby.

Zrywa się Kajtuś. Siada. Chce zapalić światło. Zepsute. Biegnie do drzwi: zamknięte.

Druga i trzecia salwa. Zadrżała wyspa.

Biegnie do okna.

Teraz strzał pojedynczy. Widzi, jak pocisk prosto w okno leci. Nagle się zatrzymuje w powietrzu. Nie ma chwili do stracenia. Chce wyskoczyć przez okno, wybija ręką szybę. Skaleczył się: krew.

Z trzaskiem otwierają się drzwi.

— Uciekaj!

Biegnie.

Huk! Sypią się cegły. Kajtuś już na schodach. Już przed domem. Zimno; Kajtuś nie ubrany.

Ktoś dotknął go końcem laski: jest w ubraniu.

— Tędy. Prędkiej! Tu, tu!

Pchnięty, myślał, że wpada do wody. Nie, siedzi w motorówce. Zakołysała się. Odpłynął.

Huk, trzask. Jakby teraz dopiero wszystkie pociski uderzyły w wyspę.

Ciemno. Tylko woda szumi.

Dopiero oprzytomniał ze snu i z tego, co przeżył.

Kto strzelał? Kto światło zepsuł? Kto zamknął drzwi, kto otworzył? Jakież dwie siły stoczyły o niego bój: jedna go chciała zgubić, druga ocaliła.

Wyszedł Kajtuś na brzeg. Zatopił łódź. Ujrzał sylwetkę dwóch konnych żołnierzy.

„Chcę, żądam: czapka niewidka”.

„Żądam, rozkazuję: czapka niewidka”.

<sup>90</sup>ognie bengalskie (daw.) — wielobarwne sztuczne ognie, fajerwerki. [przypis edytorski]

Skrył się. A był czas najwyższy, bo w tej chwili lampka elektryczna oświetliła miejsce, gdzie stoi.

— Słyszałeś — mówi pierwszy żołnierz. — Ktoś wylądował.

— Słyszałem, ale nie ma nikogo.

— No nie ma: ani łódki, ani człowieka.

Teraz już wielki reflektor wojskowy oświetla Wisłę, przeszukuje wybrzeże.

— Patrz. Na czysto sprzątnęli wyspę i zameczek. Szkoda: ładny był.

— Ładny. A zdawało mi się, że nie trafili.

— Co mieli nie trafić? Równo jak po stole. Wyspa to nie okręt i nie aeroplan. WyceLOWALI prosto w latarnię. Nasza artyleria dobra.

— Sprzątnęli czarodzieja.

— Ty wierzysz, że to był czarodziej?

— Tak podobno mówią uczeni. Albo Gwiazdor<sup>91</sup> z innej planety, albo czarodziej. Sierżant opowiadał.

— Po mojemu po co go było ruszać? Siedział spokojnie — grał, śpiewał; ludziom było weselej.

— Nie moja kompetencja. Władza wie, co robi. A jak most sztorcem postawił i powyracał drzewa? Wiadomo, co takiemu wpadnie do głowy?

— Można mu wytłumaczyć. Przydałby się Polsce czarodziej.

— Daj ty spokój. Być u takiego w niewoli?

— Nasi podobno (sierżant mówił) nie chcieli jeszcze strzelać. Niemiec się uparł.

— Ano; utopili i kwita.

— Kto wie: jeżeli czarodziej, może się wyratować; teraz dopiero mścić się zacznie.

— Nie moja kompetencja. Władza wie, co robi.

Pojechali.

„Więc to swoi do mnie strzelali? Nie, nie będę się mścił. Trzeba iść w świat”.

Zgarbił się i ciężkim krokiem ruszył naprzód.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zebranie w Genewie — Uczni radzą — Czary czy nie czary? — Nieznany Iks

Nie rozumiał Kajtuś, o jakich to uczonych mówili żołnierze. Bo nie wiedział, co się działo na świecie od czasu jego pamiętnych awantur, a o czym gazety nie pisały, bo było tajemnicą.

Bo władze postanowiły uspić czujność Kajtusia, żeby myślał, że może bezkarnie uprawiać swoje czary.

Więc każde państwo zagraniczne ma w Polsce swego konsula. Obowiązkiem konsula donosić o wszystkim, co się w Polsce dzieje. I tak samo Polska ma swoich konsulów we wszystkich obcych krajach.

Właśnie zaraz ci panowie — Francuz, Niemiec, Anglik — wysłali telegraficzne raporty.

Telegrafował konsul niemiecki do swojego rządu:

Polacy zrobili jakiś wynalazek, który podnosi mosty do góry. Jest w Polsce ukryta fabryka samochodów, które fruwać w powietrzu; proszę zawiadomić o tym ministra wojny.

Ambasador francuski depeszował:

Francja jest przyjaciółką Polski; tymczasem okazuje się, że Polska ma jakieś sekrety. Byłem dziś u polskiego ministra i powiedziałem, że to bardzo brzydtko.

Anglik zażądał krótko:

Proszę przysłać zdolnego detektywa. Są tu ważne tajemnice wojskowe. Kurier dyplomatyczny wyjechał dziś z listem, w którym wszystko dokładnie napisałem.

<sup>91</sup> *Gwiazdor* — tu: przybysz z gwiazd, z innej planety. [przypis edytorski]



W Szwajcarii jest miasto Genewa. W tej Genewie każdy naród ma delegata. Siedzą tam ci delegaci i radzą, co robić, żeby wojen na świecie nie było. I to się nazywa Liga Narodów<sup>92</sup>.

Właśnie dlatego ta Liga Narodów jest w Szwajcarii, bo to mały kraj, więc go się nie boją.

Dobrze: zebrali się delegaci w Genewie i radzą w sprawie Kajtusia.

Pierwszy mówi Niemiec:

— Jesteśmy sąsiadami Polski. Polacy są w gorącej wodzie kąpani. To, co się stało w Warszawie, jest niebezpieczne dla naszych mostów, dla naszych zegarów, dla naszych kolei. Polacy lubią robić awantury.

— Niemcy się więcej awanturują — powiedział delegat Polski.

Przewodniczący zebrania przerwał:

— Panowie, nie zebraliście się po to, żeby się kłócić i obrażać. Jeżeli delegat ma jakąś radę, niech powie, bo jeżeli nie — odbiorę panu głos.

Niemiec mówił dalej:

— Polacy robią wynalazki wojenne i próby niebezpieczne. Zdobyli potężnego sprzymierzeńca.

— To nie sprzymierzeniec, ale wróg, może nawet szpieg. Właśnie otrzymałem od mojego rządu wiadomość, że aresztowali szpiegów. Pragniemy spokoju; mieliśmy otrzymać pożyczkę od milionerów, ale oni przestraszyli się i wyjechali.

— Zgadzam się z moim polskim kolegą. Może Nieznany jest ich wrogiem. Więc chcemy okazać im pomoc.

— Bez łaski.

— Jaką pomoc? — pyta się przewodniczący.

— Poślemy naszą policję i żołnierzy i wspólnie zbadamy sprawę na miejscu. Polacy sami nie dadzą rady.

— Niech się pan nie boi.

— Wiem... Już wiem! — krzyknął nagle Francuz. — Panowie, trzeba się spieszyć, bo Nieznany naprawdę jest już niebezpieczny.

— Więc co pan wie? — pyta Anglik.

— Panowie, oddajmy tę sprawę w ręce uczonych. Dziś zaraz komisja uczonych jedzie do Warszawy. Jutro może być już za późno.

Anglik zapalił fajkę, wyjął ołówek i notes.

— Ilu ma jechać uczonych?

— Niech jedzie dziesięciu.

— Dobrze. Pojedzie dziesięciu. Kto?

— Jeden uczonego fizyk, jeden uczonego chemik, jeden inżynier, doktor...

— Panowie koledzy — woła Niemiec. — Tak nie można. Trzeba zastanowić się, trzeba pomyśleć. Dlaczego ma być uczonych dziesięciu, a nie ośmiu albo dwunastu?

— Owszem, zastanawiaj się pan; kto panu broni?

— Rozważaj pan, jeśli pan ma czas — krzyknął Włoch — bo my nie mamy czasu! Nieznany jest jak wulkan, który każdej chwili może wybuchnąć. Mówię tak, bo mam dokładne wiadomości z Warszawy.

— Spokojnie. Chwila cierpliwości — uspokaja zebranych Anglik.

Francuz wyjął z kieszeni zgnieciony kawałek papieru, pożyczył od Anglika ołówek i pisze coś.

Wszyscy czekają, a Niemiec mruczy pod nosem:

— Wszystko trzeba robić powoli i metodycznie.

Delegat francuski czyta z kartki:

— Więc z Londynu pojadą: fizyk, zoolog i spirytysta<sup>93</sup>. Z Paryża jadą: chemik, lekarz i psycholog. Z Rzymu: geolog i prawnik. Z Berlina: filozof i historyk.

Niemiec zerwał się z krzesła i uderzył pięścią w stół.

<sup>92</sup>Liga Narodów — międzynarodowa organizacja istniejąca w latach 1919–1946, powołana na mocy traktatu wersalskiego w celu zapewnienia pokoju, rozwiązana po powstaniu ONZ. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>spirytysta (z łac. *spiritus*: duch) — wyznawca spirytyzmu, wiary w możliwość kontaktowania się z duchami zmarłych za pośrednictwem osób mających do tego specjalne predyspozycje (tzw. mediów). [przypis edytorski]

— Wykluczone! Wy pošlecie po czterech, a my Niemcy tylko jednego uczonego? To niesłychane!

Anglik wziął zgniecioną kartkę z rąk Francuza, skrzywił się, bo była splamiona winem i sosem pomidorowym. Zawstydził się Francuz.

— Przepraszam: zapisałem na rachunku restauracji.

— Nie szkodzi. Proszę oddać ołówek.

Anglik przepisał wszystko do notesu.

— Kto się zgadza, niech podniesie rękę do góry.

— Nie zgadzam się — mówi Niemiec.

Wszyscy głosują, że tak właśnie dobrze. Tylko że w Genewie inaczej się mówi. Tam mówi się, że „delegat francuski osiągnął sukces”.

Tak się u nich nazywa.

Telegraf Ligi Narodów wysłał pięć depech.

Zaraz z Londynu i z Paryża wyruszyli uczeni aeroplanem, z Berlina samochodem; a z Rzymu ekspresem na drugie posiedzenie przybyli do Warszawy uczeni włoscy.

Posiedzenia odbywały się w wielkiej tajemnicy w nocy — w uniwersytecie na Krakowskim Przedmieściu<sup>94</sup>.

Zebranie zagał (zaczął) polski astronom.

— Panowie koledzy. Wszystkie niezwykle wypadki zebrane są i opisane: jest ich trzysta sześćdziesiąt pięć. Tłumacz przysięgły przełożył je na język francuski; przeczytajcie i przekonajcie się, ile tu jest głupstw i bredni. Co komu się przyśni, zaraz pędzi do policji i opowiada. Przychodzą pijacy i plotą trzy po trzy. Oszuści chcą wyludzić nagrodę i zwyczajnie kłamią. Jakiś wariat twierdzi uparcie, że jest czarodziejem, że on to wszystko zrobił. Jeśli się dwie baby pokłócą, zaraz jedna opowiada, że tamta jest czarownicą i o północy na miotle wyfrunęła z komina. Każdy przysięga, że widział wszystko na własne żywe oczy. Opędzić się od nich nie można. To bardzo utrudnia pracę.

— Znam to — wtrącił historyk. — Tak zawsze bywało. Ludzie lubią kłamać.

— Znam to — mówi prawnik. — Niestety, lubią ludzie kłamać.

Astronom mówi dalej:

— Odrzuciłem plotki i zostawiłem to, co podobne do prawdy. Macie panowie zapisane te fakty na osobnym arkuszu. Prócz tego w szafie zebrane są dowody rzeczowe.

Astronom wskazał na oszkloną szafę, gdzie w słojach i w pudełkach leżały ponumerowane różne zebrane przedmioty. Były tam fotografie, kamienie, noże, zeszkobana z szylków farba, afisz o odczycie, kreda, poszarpane psy i koty w spirytusie, muchy, powietrze w balonach i to, co narobił w Łazienkach jeden z przechodzących wtedy słoni.

— Ja zbadam te psy i koty — mówi zoolog.

— I ja też — mówi chemik — czy nie były zatrute.

— Ja obejrzę most — mówi fizyk.

— I ja — mówi geolog.

Astronom dalej objaśnia:

— Na tym arkuszu jest raport, który złożyła inspektorowi rada pedagogiczna szkoły. Nauczyciele myślą, że ktoś zatrul powietrze szkole. Może jakiś gaz albo morfina. Dawniej dentyści dawali do wężowania taki gaz rozweselający: da powąchać, a potem rwie zęb; tego wcale nie boli, tylko się śmieje i żartuje. Właśnie dlatego wzięliśmy do balonów powietrze z restauracji, z Łazienek i z placu Teatralnego. Nasi chemicy badali, czy są w nim jakieś domieszki; ale nie znaleziono nic podejrzanego.

— Sprawdźmy jeszcze raz.

— Doskonale. Oddajemy panom nasze pracownie na Politechnice i w Instytucie Higieny. Znajdziecie tam wszystko, co potrzebne do badań.

Uczeni, zmęczeni podróżą, przerwali posiedzenie. Zabrali papiery, żeby dokładnie przeczytać. Obejrżeli dowody rzeczowe.

— Co to za włosy?

<sup>94</sup>w uniwersytecie na Krakowskim Przedmieściu — przy ulicy Krakowskie Przedmieście w Warszawie znajduje się Uniwersytet Warszawski. [przypis edytorski]

— To są włosy kelnera, którego Nieznany przylepił do sufitu.  
— A to?  
— To rękaw z batystowej sukienki, w którą Niewiadomy przebrał policjanta. Policjant urwał i schował na pamiętkę.  
Uczeni pożegnali się:  
— Do jutra!

Na drugim zebraniu mówiono o wyniku badań. Całkowicie potwierdziły to, co już przedtem powiedzieli polscy uczeni.

Potem poprosił o głos spirytysta.

— Panowie, wiem, że nie lubicie, gdy się mówi o duchach; więc nie zabiorę wiele czasu, znając waszą nieufność do naszych badań.

— Nie ufamy dlatego, że przekonał się wiele razy, że wasze sztuki to zwykłe oszustwa.

— Nie przeczę. Toteż badamy coraz ostrożniej. Teraz też się często mylimy.

— Dlaczego wasze duchy robią wszystko po ciemku? Dlaczego nie mówią wyraźnie jak my, gdy chcemy coś powiedzieć albo pokazać?

— Dlaczego? Nie wiemy; ale może będziemy wiedzieli. Może nie chcą mówić wyraźnie, a może nie mogą. Nie umiemy się porozumieć z duchami; może będziemy kiedyś umieli.

— Więc chce nas pan przekonać, że to wszystko duchy zrobiły? — zapytał niecierpliwie historyk.

— Nie. Tego nie mówię. Ale znalazłem w Warszawie medium<sup>95</sup> i urządziliśmy seans. Zgasiliśmy światło, usiedliśmy przy stole, wzięliśmy się za ręce. Na stole położyliśmy papier i ołówek.

— Wiemy już, jak to się robi. Więc cóż było dalej?

— Stolik siedem razy unióś się w górę. Ukazały się w powietrzu światełka. Rozległy się czyjeś kroki. Usłyszeliśmy, że ołówek pisze. Oto jest ta kartka.

Na kartce napisane było:

„Kopernik”.

A niżej:

„K-t-ś”.

Uczeni oglądają.

Co znaczą te litery?

Astronom patrzył długo na kartkę.

— To dziwne. Jeżeli na miejsce kresek wstawić litery, to może znaczyć albo „K-toś”, albo „Kajtuś”.

Chwilę trwało milczenie.

— Panowie — przerwał ciszę filozof — bądźmy ostrożni. Bo możemy zgodzić się z tym, co mówił woźny szkoły i stróż magistratu: zamiast badać, będziemy szukali czarodzieja. Wiemy, że wystarczy, żeby kilka osób coś zobaczyło, zaraz inni będą przekonani, że widzą to samo. Tak właśnie dawniej bywało: ktoś jeden krzyknął, że widzi diabła, i zaraz wszyscy go widzą.

— I teraz fakirzy robią podobne sztuki. Ogromne tłumy ludzi stoją i patrzą, i widzą to, czego wcale nie ma.

— My, prawnicy, znamy to. Często świadek opowiada w sądzie, co widział, a było zupełnie inaczej. Nie kłamie nawet, ale się myli.

— Więc chcecie panowie, żeby napisać w protokóle, że go wcale nie było? Cóż w takim razie znaczą dowody rzeczowe? Jak tłumaczymy wypadki: numer dziewiąty, numer dwunasty, a choćby numer czwarty? Jeżeli napiszemy, że świat może być spokojny, a jutro albo za tydzień stanie się znów coś takiego albo coś gorszego, co wtedy będzie! Nie należy ludzi straszyć, zgadzam się; ale wzywając do spokoju, bierzemy na siebie dużą odpowiedzialność.

Do późnej nocy spierali się uczeni; wreszcie zapisali:

<sup>95</sup>medium — osoba pośrednicząca w rozmowie z duchami a. przywołująca je. [przypis edytorski]

Komisja uczonych stwierdziła, że Niewiadomy działa istotnie na terenie Warszawy.

Nie duch, nie czarodziej, a Niewiadomy.  
Wszyscy obecni podpisali protokół.

Na trzecim posiedzeniu psycholog przeczytał charakterystykę Nieznanego, to znaczy, jaki on jest.

Odpowiadam na zadane mi przez panów kolegów pytania.

Pytanie pierwsze: Czy Nieznany był tylko jeden, czy paru albo kilku? Odpowiadam: jest jeden — wypadki zaczęły się od cmentarza, w pół godziny później przeniosły się na Nowy Świat<sup>96</sup>, a w godzinę później do Łazienek. Drugiego dnia zaczęły się przed hotelem, w pół godziny później — plac Teatralny, a potem most. Na to, by przesunąć zegary i zmienić afisze, musiałoby kilka tysięcy ludzi chodzić i robić to nawet w mieszkaniach. Niemożliwe, żeby tego nikt nie zauważył. Zrobione więc to było od razu nieznanym nam sposobem.

Pytanie drugie: Czy Nieznany jest stary, czy młody? Odpowiadam: młody i niedoświadczony. Jego czyny — to żarty, to figle lekkomyślne. Kolega astronom był zanadto ostrożny, odrzucając niektóre czary (możemy to nazwać inaczej). Ja wierzę zeznaniom przekupki: wierzę, że Nieznany wysypał jej jabłka, a potem pomagał zbierać. (Numer wypadku sto czterdziesty).

Pytanie trzecie: Czy Nieznanego należy się obawiać? Odpowiadam: Nieznanego należy się obawiać. On nie jest zły, ale łatwo unosi się gniewem. Gdy zrobi coś złego, żałuje, ale nie chce przyznać się do winy. Coraz chce czegoś innego, wszystko prędko go nudzi. Wesoly, gdy na niego patrzą, a sam lubi się zastanawiać poważnie. Niecierpliwy, niekarny i psotnik — to jego wady. Dobre serce to jego zaleta. Czy ma silną wolę, nie wiem: bo nie posilkuje się żadną maszyną ani żadnym znanym sposobem, gdzie potrzebna praca i wysiłek, pomysły swoje wciela w czyn zaklęciem. I to właśnie jest groźne.

Wniosek: chociaż niechętnie, ale muszę go nazywać młodym czarodziejem.

Rozgniewał się historyk:

— Koledzy, czyście zwariowali? Sądziłem, że mam zaszczyt po raz ostatni w historii stwierdzić, że czarodziejów nie ma. Sądziłem, że jesteśmy ostatnią w historii komisją, która raz na zawsze skończy już z dziecinną bajką o siłach tajemnych. To wstyd. Co pomyśla ludzisko, gdy przeczytają nasze protokoły? Czary, zaklęcia, siła tajemna. To wstyd, to hańba. Wstyd, wstyd, wstyd!

Wstał z fotela najstarszy z uczonych, chemik, siwy staruszek.

— Kochani, mili koledzy. Czary były, są i będą. Czy to nie czar, że z dwóch gazów możemy zrobić płyn — wodę, a wodę zamienić w twardego lód? Czy nie czar, że możemy uspić chorego i krajać, a on śpi i nie czuje? Czy nie czar, że piorun wozi ludzi w tramwajach i pali się pokornie w elektrycznej lampie, i głos, i myśl naszą przenosi przez drut i bez drutu na tysiące mil? Możemy fotografować kości żywego człowieka<sup>97</sup>. A mikroskop, teleskop, łódź podwodna, aeroplan? Radio?

— To wiedza, a nie czary.

— Zgoda. Więc znalazł się uczonego Iks, któremu udaje się robić to, czego my nie umiemy, tylko robi to w tajemnicy, ukrywa się — bo zamiast pożytku przynosi szkodę. Zadaniem naszym jest ocenić jego siłę i stopień niebezpieczeństwa; zadaniem naszym wykryć go i porozumieć się z nim, unieszkodliwić, a jeśli trzeba — nawet zgładzić.

<sup>96</sup>Nowy Świat — ulica w Warszawie, część Traktu Królewskiego, prowadzącego od Starego Miasta na południe, do pałacu królewskiego w Wilanowie. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>Możemy fotografować kości żywego człowieka — tj. wykonywać zdjęcia rentgenowskie, obrazy otrzymane za pomocą promieni rentgenowskich przenikających przez ciało pacjenta. [przypis edytorski]

Na czwarte posiedzenie przybył z Ameryki specjalista, który znalazł nowy sposób sygnalizacji.

— Aparat jest bardzo prosty. Dzwonek, lampka, numer i szkło matowe. W razie niebezpieczeństwa lampka się zapala, dzwonek dzwoni, wyskakuje numer ulicy, a na szkle widać, czy to pożar, czy napad, czy zbiegowisko. Jeden człowiek czuwa nad całym miastem. Nie bardzo chętnie daję już mój aparat do użytku; chciałem wprowadzić jeszcze niektóre ulepszenia; zupełnie gotowy będzie dopiero za rok; ale teraz może się przydać.

— Bardzo dziękujemy.

— No widzicie, panowie. W tej trudnej sprawie wiedza wyczarowała nam pomoc.

Uczeni zebrali się i oglądają aparat.

— Co pan chce jeszcze ulepszyć?

— Po pierwsze, aparat działa tylko w promieniu dziesięciu kilometrów; chcę wzmocnić jego siłę. Po drugie, aparat chwytą tylko jeden wypadek, a jeśli jednocześnie jest i pożar, i rabunek albo dwa napady na różnych ulicach, numery i obrazy mieszają się i trudno jest wiedzieć, gdzie i co się dzieje. Po trzecie, obrazy na szkle nie są dość wyraźne: a chcę widzieć nie tylko osobę, która tam gdzieś coś robi, ale i twarz, oczy, nos, usta — żeby ją można było sfotografować i poznać. Mam już plan gotowy: jeszcze tylko jeden rok pracy. Najtrudniejszy był początek: sześć lat się mordowałem. O, patrzcie, panowie.

Wynalazca pokazał rękę.

— Jak widzicie, mam tylko trzy palce u lewej ręki, bo dwa palce urwała mi maszyna. Pięć miesięcy leżałem w szpitalu; myślałem, że już wszystko przepadło, bo oślepiłem zupełnie.

Uczeni pochylili głowy.

Jeszcze kilka posiedzeń odbyli uczeni, a potem nie mieli już nic do roboty i zaczęli się nudzić.

Chcieli wrócić do domu, do swoich książek i pracowni.

— Jest spokojnie. Jesteśmy niepotrzebni.

— Nie, musicie zostać — odpowiedziały rządy państw przez swoich konsulów.

— Ha, trudno.

Każdy siedzi w swoim pokoju, czyta, pisze, studiuje. Zbierają się rzadziej — co drugi dzień, co trzeci.

— Nic nowego.

Rozmawiają o tym i o owym. Zaprzyjaźnili się, bo taki już zwyczaj między uczonymi, że stanowią jakby rodzinę.

— Wiecie, koledzy — powiedział raz astronom — jeżeli Nieznany więcej się już nie odezwie, mam myśl, która może wyjaśnić tajemnicę. Ot, taka sobie fantazja.

— Prosimy.

— Czy nie zawiał na naszą ziemię mieszkaniec innej planety? Bo jeżeli prawdą jest, że na Marsie mieszkają żywe istoty i więcej od nas umieją...

— Więc bajka o Gwiazdorach musiałaby okazać się prawdą?

— Cóż dziwnego? Przecież tak mało wiemy. Kiedy człowiek zaczynał się uczyć, taki czuł się mądry, każdy sztabak myśli, że zjadł wszystkie rozumy. Cóż dziwnego? Mogą spadać na naszą ziemię kamienie — meteory, mógł spaść i Gwiazdor. Pokręcił się, widzi, że nie ma nic ciekawego, i poszedł.

— Tylko trochę za głupi jak na mieszkańca Marsa.

Roześmieli się wesoło.

I w tej właśnie chwili rozległ się dzwonek aparatu. Numer nie wyskoczył. Na szkle ukazało się coś niewyraźnego.

— Wygląda, jakby woda płynęła. Wygląda, jakby jakaś wyspa na wodzie.

Teraz drugi dzwonek: telefonu.

Stało się coś ważnego.

Bo zapowiedziane było surowo, żeby nikt nie przeszkadzał uczonym.

— Jestem przy telefonie.

Wiadomość: ukazała się nagle wyspa.

W trzy dni później — zamek na wyspie.  
Potem: czarodziej tam już mieszka.  
Co się stało, jak się skończyło — wiemy.  
Wróćmy do Kajtusia.

#### ROZDZIAŁ DWUNASTY

Do Paryża — Spotkanie z Zosią — Rozmowa o wrózkach — Znow skrzynia złota —  
Dalsza podróż Kajtusia — Uczni wracają do domu.

Pochylił Kajtuś głowę, idzie ciężkim krokiem przez miasto.

Ulice prawie puste. Tak obco i ponuro. Sklepy pozamykane, okna w domach ciemne.

— Pojadę w świat!

Idzie na dworzec. Wchodzi do wielkiej poczekalni. Stanął przed kasą kolejową.

— Proszę o bilet do Paryża.

— Dla kogo? — pyta się kasjer.

— Dla mnie — mówi Kajtuś.

— Jeden bilet?

— Jeden.

— Sam jedziesz?

— Sam.

— Masz paszport zagraniczny?

— Nie mam.

— Ile masz pieniędzy?

Kajtuś widzi, że ludzie patrzą na niego. Zaniepokoił się. Może znow go czeka jaka przygoda? Znow był nieostrożny, przypomniał sobie, że bez pozwolenia nie wolno nikomu jechać za granicę.

— Pokaż pieniądze — niecierpliwi się kasjer.

Pokazał złotówkę.

Śmieją się.

— Ruszaj tam, skąd przyszedłeś.

— Na roboty chce pewnie jechać do Francji?

— Może do ojca?

— Uciekaj, mały. Nie zabieraj czasu.

Ludzie śpieszą się. Każdy boi się spóźnić. Chcą zająć lepsze miejsce przy oknie.

Innym razem Kajtuś by się rozgniewał, bo nie lubi, jak z niego żartują.

Teraz wszystko mu jedno.

— Pilnuj, żeby ci złotówki nie ukradli.

— Niech się pan nie boi.

Odchodzi. Zmieszał się z tłumem.

Pomyślał:

„Chcę mieć bilet i paszport. Chcę mieć bilet”.

Wcale niepotrzebnie dochodził do kasy. Nie zastanowił się. Jak zwykle.

Ominął z daleka policjanta. Podał bileterowi bilet. Jest już na peronie.

Patrzy: stoi pociąg. Lokomotywa ciężko oddycha.

— Jedziesz? — pyta się konduktor.

— Tak.

— To wsiadaj prędko, bo ruszamy.

Kajtuś wchodzi do przedziału.

Pociąg rusza.

Siedzą tylko dwie osoby: pani w żałobie i dziewczynka czarno ubrana.

Wcisnął się Kajtuś w kąt ławki przy ścianie, zamknął oczy i myśli.

„Tyle razy chciałem podróżować. Teraz jadę w dalekie kraje. Stało się tak, jak chciałem.

Więc dlaczego mi smutno?”

Westchnął.

„Szkoda cichego domu na Wiśle. Za co do mnie strzelali? Co im przeszkadzało? Czy źle było, że muzyka grała i wszyscy mieli za darmo kino?”

Niesprawiedliwie obeszło się z nim miasto rodzinne.

— Nie wychylaj się — mówi pani do dziewczynki. — Iskra może ci wpaść do oka.

Dziewczynka zaraz się usłuchała i usiadła na ławce.

— Pamiętasz, matenko: kiedy ostatni raz wróciliśmy z Warszawy, tatuś oczekiwał na dworcu?

— Pamiętam, Zosiu.

— Kto teraz wyjdzie na nasze spotkanie?

— Nikt. Andrzej zajedzie bryczką.

Głos dziewczynki wydawał się Kajtusowi znajomy.

Uchylił przymknięte powieki.

Zosia myślała, że śpi. Zawstydzila się, że na nią patrzy, i prędko odwróciła głowę.

„W żalobie” — pomyślał Kajtuś i przypomniała mu się babcia.

Pani w żalobie spojrzała parę razy na Kajtusia, jakby chciała o coś zapytać, ale nic nie mówi. A Kajtuś jest wdzięczny, bo nie ma ochoty odpowiadać.

Wie przecie, co by to były za pytania:

— Dokąd? Do kogo? Dlaczego sam? Ile masz lat? W której klasie?

Dorośli nie powiedzą o sobie i nieładnie się pytać; a sami chcą wszystko wiedzieć.

— Połóż się, Zosiu. Potem może ktoś wejdzie, a teraz jest miejsce.

— A ty, mamusiu?

— Ja posiedzę, a ty słaba jeszcze jesteś po chorobie.

Kajtuś mówi:

— Proszę. Na mojej ławce jest miejsce. Mogę iść gdzie indziej, jeżeli przeszkadzam.

— Ależ nie. Ani trochę — uśmiecha się mama Zosi.

I Zosia też się uśmiechnęła.

Taki przyjemny uśmiech. Jakiś taki życzliwy.

Kajtuś zauważył, że są bardzo do siebie podobne.

Pani wyjęła z walizki poduszkę — ułożyła, okryła Zosię.

Leży błada w żalobie sierota.

Kajtuś przymknął oczy.

„Właściwie dlaczego nie lubię dziewczynek? Dlaczego im dokuczałem? Przecie spokojniejsze od chłopców i więcej staranne<sup>98</sup>? Czyste mają zeszyty”.

Dziwi się Kajtuś i wspomina.

„Kiedy bawiły się na podwórku w szkołę, wyśmiewałem je i drażniłem. Kiedy zrobiły sobie ogródek z piasku i patyków, rozrzucałem. Zaczęły śpiewać, a ja miauczę i przeszkadzam. Pcham, biję, pociągnę za włosy. Niby żarty, ale one płakały”.

Dziwi się Kajtuś i rozważa.

„Może to trochę śmieszne, jak się ktoś złości. Ale nie wszystkie się złoszczą, czasem tylko smutne odchodzą. Źle, brzydko, nieludzko śmiać się z czyichś łez. Ile to głupstw robi człowiek z braku zainteresowania”.

Stoi Kajtuś przy oknie i patrzy, jak iskry lecą. Takie złote wężyki, rybki ogniste, cały deszcz gwiazd. A za nimi czarne wały lasów.

Parowóz gwizdnął. Zosia się poruszyła. Mama powiedziała cichym, dobrym szeptem:

— Nic — nic. Śpij, maleńka.

Kajtuś przypomniał sobie dom i rodziców. I sobowtóra.

„Nie wiedzą. Nie domyślają się”.

A on coraz dalej. Czy na długo? Może na zawsze? Może go wyśledzą, może go nagle opuści czarodziejska siła w ważnej godzinie?

Patrzy Kajtuś na czarne pola.

„Jak dawno już z nikim nie rozmawiałem. Pewnie dlatego muszę być samotny, że jestem czarodziejem”.

<sup>98</sup>więcej staranne — bardziej staranne. [przypis edytorski]

Odwrócił się nagle od okna i zapytał:

— Czy pani jedzie do Paryża?

Tak się to nagle stało, że zmieszał się i zaczerwienił.

Wyszło głupio, bez sensu — tak poufale.

Bo gdy się z kimś jedzie koleją, zaraz zdaje się, że dobry znajomy. Już wie, jak się dziewczynka na imię nazywa, wie, że nie ma ojca; wie, że Andrzej zajedzie bryczką.

Ale naprawdę nie zna i pani mogła się obrazić albo go wyśmiać.

Nie. Zupełnie spokojnie odpowiada.

— A cóż byśmy w Paryżu robiły? Rada jestem, że wracam z Warszawy do swego zacisza. Chciałam zostawić tam Zosię, żeby do szkoły chodziła. Ale byłyśmy akurat na placu, kiedy się tam odbyła ta dziwna walka. Zosia bardzo się przestraszyła i żal jej było zwierząt; ona tak lubi psy. Może zresztą nie z tego zachorowała. Nie wiem: może lepiej, że będę ją miała przy sobie. Warszawa to duże i niebezpieczne miasto; tyle różnych chorób i nieszczęśliwych wypadków.

Umilkła, jakby rozważała, co lepsze dla Zosi.

A Kajtuś wdzięczny, że go nie oskarża.

Nie powiedziała ani „szkodnik”, ani „złoczyńca”.

A pani mówi dalej — cicho, jakby w sekrecie, jakby radząc się Kajtusia:

— W szkole miałaby koleżanki, więcej rozrywek. Smutno jej będzie teraz w domu.

Gdyby miała siostrę albo brata...

Kajtuś nagle postanowił:

„Zamiast do Paryża — do nich pojedę”.

Już nawet nie słucha, tylko myśli, jak to urządzić. Bo co sam będzie robił w Paryżu?

Zmęczony był. Ziewnął.

„Co znaczy zacisze? Czy że tam cicho, czy wieś tak się nazywa? Jak wygląda ten Andrzej, czy rosną maliny, czy jest altanka i ule, i drewnutnia?”

Drzemie Kajtuś i myśli na przemian, a koła wagonu stukają o szyny.

Tymczasem świtać zaczęło.

Zosia się obudziła. Przeciera oczy, poprawia włosy — zaraz do okna.

Akurat słońce się wychyliło.

Spotkali się z Kajtusiem przy oknie i spojrzeli w oczy.

— Patrz, matuś, śliczne słońce. Chodź, jaki śliczny wrzos! Muszę urwać!

Wychyla się i wyciąga rękę.

— Ostrożnie, Zosieczko. Siadaj. Zjemy śniadanie. Potrzymaj szklankę.

Drugą szklankę podała Kajtusiowi. Nalała mleka, dała po bułce z masłem.

— No, jedzcie.

Wszystko tak prosto, z miłym uśmiechem.

Ledwie wypili i zjedli, Zosia klasnęła w rękę.

— Patrz, mamó, wrzos. Cały bukiet wrzosu. Skąd się tu wziął?

— Może ktoś zostawił?

— Trzeba oddać konduktorowi.

— Nie, to zwyczajne kwiatki. Weź, jeśli ci się podoba.

— Zwyczajne, powiadasz? Nie, to czarodziejski bukiet.

— Dobrze. Więc zabieraj swój czarodziejski bukiet, bo już wysiadamy. Do widzenia — szczęśliwej drogi, miły towarzyszu podróży.

Skinęła Kajtusiowi głową i sięga po walizę.

Kajtuś się zawahał.

— Ja też tu wysiadam.

— Tym lepiej. To dziwne. Myślałam, że na naszej stacyjce tylko my... Zobacz, Zosiu, czy jest Andrzej. Weź koszyłek. Pociąg stoi tylko dwie minuty.

— Ja poniosę — mówi Kajtuś.

— Nie, walizka ciężka.

— To nic.

Wziął walizkę w prawą rękę, koszyk w lewą. Niesie jak piórko.



— Silny jesteś.

Wychodzą z wagonu.

— O, jest Andrzej. Tu, tu. Proszę. A ty... a pan kawaler dokąd?

Kajtuś się zmieszał.

— Bo jeśli w naszą stronę, jest miejsce — możemy podwieźć.

I oto bez żadnych czarów stało się tak, jak chciał. No, bo że zdobył bukiet wrzosu dla Zosi i był trochę silniejszy — tego nawet liczyć nie warto za czary.

Jadą. Zajechali przed dworek. Tak pewnie było u dziadka. Klomb. Astry. Ganeczek obrośnięty winem.

Proszą, żeby Kajtuś wypoczął. Może przenocować w gabinecie na sofie..

Zgodził się.

— Dobrze. Dziękuję.

Teraz dopiero:

— Jak się nazywasz?

— Antoni.

— Antos! Więc co będziecie robili?

— O, dużo jest do roboty. Pokażę psy, kury, gołębie, maliny, ule, mój własny zagonek. Całe gospodarstwo.

— Tylko nie męczcie się: ty jesteś po chorobie, a twój gość całą noc nie spał.

Zosia jest dobrym przewodnikiem: tak wszystko zrozumiale tłumaczy i pokazuje. Wszędzie akurat tak długo się zatrzyma, jak trzeba, żeby zobaczyć i zapamiętać. Na pytanie każde albo zaraz odpowie i tak właśnie, jak widziała i wie na pewno, albo od razu mówi.

— Nie wiem. Może mama będzie wiedziała. Może nam Andrzej powie. Przepytamy się chłopców ze wsi.

Zupełnie inaczej niż w szkole, zupełnie inaczej niż na wycieczce przyrodniczej.

Ani razu nie powiedziała, że coś jest nieważne albo głupie; nie dziwiła się, że duży Kajtuś tego nie wie, nie mówiła, że przecie powinien już wiedzieć.

No właśnie: cały dzień spędził Kajtuś jak na lekcji przyrody. Do obiadu i po obiedzie. Zapomniał nawet o swoim ogródku na wyspie.

Wieczorem mama oddała Zosi klucze.

— Jadę jutro do miasta. Mam parę spraw w urzędach. Wrócę późno. Musicie mnie zastąpić i Andrzeja.

Objasnia mama, co ma sama załatwić w mieście, co ma zrobić Zosia. Nawet radzi się z Zosią, zupełnie jak z dorosłą osobą. Bo są właśnie tacy ludzie, którzy szanują i ufają dzieciom<sup>99</sup> — i Kajtuś najlepiej ich lubi.

Toteż przykra, ciężka i smutna była rozmowa z mamą Zosi dnia następnego.

— Chodź, chłopcze, do gabinetu.

— Siadaj.

Na biurku leżą pieniądze polskie i zagraniczne, i bilet do Paryża.

— Jak wiesz, poznaliśmy się w pociągu. Wysiedliśmy razem. Jesteś tu i możesz zostać. Możesz być tak długo, jak chcesz. Ale pod jednym warunkiem.

Antos patrzy smutnym wzrokiem i czeka.

— Kiedy Andrzej czyścił twoje ubranie, wypadło z kieszeni to, co tu widzisz. Powiedz, co to znaczy? Bez walizki, bez pałta jedziesz sam daleko. Przy tym masz tak znaczną sumę, jaką dorośli nie zwykli powierzać dzieciom, a mając ją, sami bardzo ostrożnie ukrywają. Nie podejrzewam cię, Antosiu, ale muszę wiedzieć. Nie cofam swego zaproszenia, ale sam rozumiesz...

Milczenie.

— Odpowiem tak, jak mówiła babcia: jestem niespokojnym, bardzo niespokojnym, ale uczciwym chłopcem. Lubię was, bo wam dobrze z oczu patrzy. Przerwałem daleką

<sup>99</sup>szanują i ufają dzieciom — dziś popr.: szanują dzieci i ufają im. [przypis edytorski]

podróż. Dziś, zaraz, a jeśli pani pozwoli, jutro wyruszę dalej. Wyrządzono mi wielką krzywdę. Gdyby nie wy, opuściłbym Polskę, mając do niej żal. Wyście mnie pogodziły z ojczyzną. Jestem wam wdzięczny. Więcej powiedzieć nie mogę.

Cisza.

Przed ganek zajęchała bryczka.

— Więc dobrze. Zostań do jutra. Ale pozwól, że zanim wyjedziesz, jeszcze raz zagadnę cię o twą tajemnicę. Pamiętaj, że cokolwiek mi powiesz czy zataisz, pozostanę życzliwą. I pamiętaj, że w potrzebie będziesz mógł znów do nas zawitać. Nie jesteśmy bogaci, ale znajdziesz tu zawsze dobrą radę i przyjazne serce.

Usiedli na ławce w ogrodzie. Zosia wije wianek i śpiewa. Rozmawiają.

— Dobra wróżka dała mi bukiet wrzosu. Bo skąd się wzięły te kwiaty na ławce?

— Może nie wróżka, a czarodziej?

— Nie, nie. Czarodzieje biorą, a nie dają: oni ludziom szkodzą, a wróżki pomagają.

— A ty pomagasz ludziom? — zapytał Kajtuś.

— Pomagam, jeśli mogę.

— Więc jesteś wróżką. A ja często złośliwe figle płałam, więc jestem czarodziejem.

— Nie, Antosiu, ty nie jesteś zły; ale dobra wróżka musi cię wziąć pod opiekę.

— Więc zaopiekuj się mną.

— Nie wiem, czy dam radę. Wróżki nie mają takiej siły. Zjawi się wróżka na chwilę, pomoże i zaraz znika. I tylko wtedy się zjawi, kiedy ktoś bardzo pokrzywdzony albo wielkie niebezpieczeństwo mu grozi. Znasz bajkę o Kopciusku?

— Znam.

— Czarodzieje chcą wszystkie wróżki wytępić. Krasnoludki pomagają wróżkom. Ale i krasnoludki są słabe... Długo będzie trwała walka. Aż nadejdzie chwila, gdy zbuntuje się czarnoksiężnik i stanie na czele wszystkich dobrych wróżek. Zdobędzie on fortecę, gdzie ukrywa się naczelnik czarodziejski, uwolni uwięzione wróżki.

— A kto to? Jak wygląda ten naczelnik? Gdzie jest jego forteca?

— Za siedmiu górami, za siedmiu rzekami i morzami jest zamek ponury, otoczony murem wysokim. W ciemnym pokoju na złotej tacy leży głowa, która wydaje rozkazy; nie ma ani rąk, ani nóg, ani serca, ani oczów. Bo dawno, dawno zbuntowany czarodziej odciął głowę od tułowia, ale ona żyje.

— Skąd wiesz to wszystko?

— Trochę mi niania opowiadała, trochę mi się śniło, a resztę sama wymyśliłam.

— Dziwne to wszystko, co mówisz.

Tak, dziwna i tajemnicza jest każda myśl człowieka. Dziwny i tajemniczy jest świat. Dziwne i tajemnicze jest życie: często smutne, a czasem takie piękne i radosne.

W nocy Kajtuś cicho otwiera okno.

Skoczył do ogrodu.

Pies zaszczekał. Kajtuś nakazał mu milczenie.

Idzie w głąb ogrodu. Zatrzymał się pod drzewem.

Skupił się w sobie, westchnął głęboko. Zaszumiało w głowie.

— Chcę, rozkazuję, by się zjawiła skrzynia ze złotem — rzekł i powtórzył.

Ukazała się znajoma skrzynia.

— Chcę mieć łopatę. Chcę mieć łopatę.

Noc. Cisza. Ciemność.

Kajtuś kopie. Ziemia twarda. Ręce bolą. Gorąco. Zrzucił marynarkę. Kopie, odrzuca ziemię, mierzy dół, czy już dosyć.

Już zapomniał nawet, gdzie jest i co robi. Tylko kopie zawzięcie. Byłe głębiej, byłe mocniej, byłe więcej ziemi z dołu na brzeg wyrzucić. Nie odpoczywa.

Skończył.

Kot przebiegł ścieżkę.

Czary

Kajtuś pchnął ciężką skrzynię — raz, drugi, trzeci. Drgnęła, zachwiała się. Jeszcze raz: obsunęła się.

Coś błysnęło na ziemi. Podjął, patrzy: dwie monety po dwadzieścia groszy, które był wtedy zarobił na targu i schował na pamiątkę.

Chuchnął.

— Na szczęście!

Rzucił na wieko skrzyni i wszystko ziemią przysypał.

Rozkazał przezornie:

— Niechaj nie będzie znać, że tu ktoś kopał. Niech trawą porośnie.

Tak właśnie się stało, jak rozkazał.

Wraca.

I tak mu się zdaje, że ten skarb zakopany — to jego cały zapas, gdy powróci z podróży. Że dom Zosi — to jakby cicha przystań, gdzie będzie mógł odpocząć po trudach dalekiej drogi.

— Więc jedziesz? Nie zmieniłeś zamiaru?

— Nie zmieniłem zamiaru.

— Ano jedź i zachowaj swą tajemnicę. Dziękuję ci, że nie kłamałeś. Tak bardzo wykrętów i kłamstwa nie lubię.

Dają mu koszyczek z jedzeniem.

— Tu masz jajka naszych kurek, tu ser. Trochę konfitur. Miód z naszego ula.

Tak było chyba i u dziadka Antosia.

— No ruszajcie, Andrzeju, bo możecie się spóźnić na pociąg.

Zosia powiewa chusteczką.

— Szkoda, że panicz odjeżdża. Miałaby nasza Zosia towarzystwo. Bo sama i sama. Dobre to dziecko — ta nasza panienka. Szkodowaliśmy<sup>100</sup>, kiedy ją pani wywozła do miasta. Precz<sup>101</sup> mówią ludzie, że tam wojny jakieś idą: dużo narodu wyginęło. Jeszcze by się naszej Zosi zła przytrafiła przygoda. Tak, tak: i pani dobra, i nieboszczyk. Już cała taka godna rodzina.

„Rzadko kto u nas w mieście tak dobrze mówi o ludziach” — pomyślał Kajtuś.

Na pożegnanie daje Andrzejowi złotą monetę.

— Za co? Co też panicz? Nie można.

Ale Kajtuś szybko wyskoczył z bryczki, bo już pociąg nadchodzi.

Pociąg gwizdnął. Pojechał.

W przedziale ciasno. Niemili ludzie mówią o nieciekawych sprawach.

Na piątej stacji usłyszał już Kajtuś cudzoziemską mowę.

Zmienił rozkazem ubranie, wyczarował walizkę skórzaną i bilet pierwszej klasy. Zażądał: chce rozumieć zagraniczne rozmowy.

Akurat wracają tym pociągiem uczeni z Warszawy.

— Obawiam się — mówi Francuz — żeśmy źle zrobili. Nie należało strzelać.

— Na pewno źle, szanowny kolego — mówi Włoch. — Osobnik Iks, jak go nazwałeś, sam wyspę zatopił. Badałem to miejsce dokładnie. Gdyby kule armatnie rozbiły zamek, zostałyby więcej gruzów.

— Może woda je zniosła?

— Nie. Stało się jakoś inaczej.

Wyjął z walizy ułamek skały.

— Spójrz, kolego, przez lupę. Są tu kryształy, których nie ma na naszej planecie.

I rozpoczęli naukową dysputę, której Kajtuś nie rozumiał i mało go obchodziła.

— Ostatecznie można się zgodzić, że mamy do czynienia z mieszkańcem innej gwiazdy, gdzie istoty żyjące więcej wiedzą i więcej niż my mogą. Co dla nas jest czarem, dla nich proste i łatwe jak zapalenie zapalki.

<sup>100</sup>szkodować (gw.) — żalować. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>precz (tu daw., gw.) — wciąż. [przypis edytorski]

— Cóż? I w szkołach uczniowie nie lubią nowych zadań i ćwiczeń. I uczeni nie lubią rzeczy nowych, trudnych i niezrozumiałych. Jakże przyznać się, że wierzymy, że duch Kopernika<sup>102</sup> wcielił się w Gwiazdora i wywraca drzewa w parku?

— A jednak nowe, nieznanne i coraz lepsze to właśnie nasza — uczonych — droga. Jeść się Kajtusiowi zachciało.

Otwiera koszyczek z prowizją<sup>103</sup> i na samej górze znajduje gałązkę wrzosu i kartkę z napisem:

Na pamiątkę dla Kajtusia-czarodzieja od Zosi-wróżki.

#### ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Paweł i Pietrek — Kajtuś walczy z Murzynem — W księżęcym hotelu — Reporter gazet Nazywają Paryż stolicą świata.

Ze wszystkich lądów i krajów jadą tam ludzie, żeby się uczyć, pracować i bawić.

Zawitał i Kajtuś do stolicy świata.

Stoi bezradny przed dworcem i nie wie, co począć, w którą zwrócić się stronę.

Niby rozumie czarnoksięskim sposobem, co mówią wokoło, ale czuje się w obcej mowie jak w ciasnym, pożyczonym ubraniu.

Spieszą tłumy, mkną pojazdy. Nikt na niego nie zwraca uwagi.

Jakże się zdumiał i ucieszył, gdy posłyszał nagle swoje imię.

— Patrz. Przecie to Kajtuś. Z pewnością go poznają.

— Głupiś. Sam przyjechał? I tak elegancko ubrany, i z walizą bogatą?

— Więc dobrze. Spytamy się, zobaczymy.

— Chcesz, to się pytaj. Ja się nie będę na pośmiewisko narażał.

Tak rozmawiają dwaj chłopcy: jeden taki duży jak Kajtuś, a drugi starszy.

Patrzą oni, patrzy Kajtuś.

„Chyba ich znam? Gdzieś ich widziałem”. Ale nie może sobie przypomnieć.

— Przepraszam bardzo, czy pan z Warszawy przyjechał?

— Tak, panie — odpowiada Kajtuś, także po francusku.

— Przepraszam, czy pan zawsze mieszkał w Warszawie?

— Od urodzenia.

Zbliża się starszy chłopiec i mówi do brata po polsku:

— No widzisz, głupi? Przecież Kajtuś nie mówi po francusku.

— Może się nauczył. Trzy lata nie widzieliśmy go.

— A już: nauczył się. On jedyny był do nauki. Leniuch gorszy od nas.

Kajtusiowi przykro się zrobiło.

— Poczekaj, spytamy się. Bo chyba rozumie? Przepraszam, czy pan rozmawia po polsku?

— No pewnie — przyznał się Kajtuś, znużony długim wstępem i ciekaw, kto oni.

— Więc Kajtuś? — krzyknęli obaj.

— Ten sam. A wy kto?

— Nie pamiętasz? Jakaśmy razem wybrali się do Wisły i chłopcy ci ukradli ubranie?

— A jakaśmy ściągali ze straganów jabłka i policjant cię gonił?

— Zdaje się, że było inaczej. To właśnie ciebie złapał policjant.

— Być może. Tak dawno. Dostałem wtedy pasem od ojca. Pamiętasz, jakaśmy w garażu koło benzyny palili papierosy?

— A jakaśmy w sieni światła pogasili?

Śmieją się. Gadają. Przechodnie uprzejmie wymijają rozbawioną trójkę.

— Wiesz, chodź do nas. Walizę zostaw na dworcu. Po co masz się z tym taszczyć?

Daj franka. Zaraz ci kwit przyniosę. Jutro odbierzesz. Zaczekajcie tu na mnie.

— Góra z górą się nie zejda, ale przyjaciel z przyjacielem... Znów Paweł, Pietrek i Kajtuś razem. Pójdziemy dziś do cyrku.

Odebrali walizę i koszyk. Spojrzeli bracia na siebie, mrugnęli, kwitu nie oddali.

<sup>102</sup>*duch Kopernika wcielił się w Gwiazdora* — astronom Mikołaj Kopernik (1473–1543) dokonał przewrotu w myśleniu uczonych o świecie, przedstawiając w naukowej formie wizję wszechświata, w którego środku znajduje się Słońce, a nie Ziemia, jak to powszechnie uznawano w jego czasach. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*provizja* (z łac.) — tu: zapas żywności, prowiant. [przypis edytorski]

Nie bardzo się w Warszawie lubili. Kajtuś łobuz, to prawda, ale oni złodziejaszki. Gdyby nie był czarodziejem, musiałby się lepiej pilnować. A tak — przyjemnie, że prowadzić będą: prawdziwi i znajomi ludzie, a nie wyczarowany przewodnik.

Schodzą głęboko pod ziemię po kamiennych schodach; a tam pod i ulicą, pod domami, stacja oświetlona.

Metro! Tramwaj elektryczny pod ziemią.

Słychać dudnienie, potem huk, trzask — wpada z hałasem pociąg. Drzwi wagonów same się otwierają. Ledwo zdążyli wskoczyć.

Mkną pod ziemią wąskimi korytarzami. Stacja za stacją, przystanek za przystankiem. Jedni tłumnie wychodzą, drudzy wchodzą. Tak wszystko prędko i składnie.

— Uważaj, tu się przesiadamy.

— Czego się tak spieszą?

— Bo to Paryż, bracie.

Przesiadają się. Idą w górę i na dół, a choć tłum ludzi, nikt nie pchnie nikogo. Tak zręcznie się wymijają.

— Właż prędzej, bo drzwi cię przytrzasną. W Paryżu nie wolno się gapić.

Teraz już Kajtuś dokładnie pamięta.

— Wyście wtedy do Francji wyjechali?

— No tak. Naprzód ojciec, potem my z matką. Byliśmy razem. Potem ojciec uciekł od nas; zostaliśmy sami. Potem matka znalazła męża — Francuza. Potem matka umarła, a my zostaliśmy z tym ojczymem-Francuzem.

— Trzyma was?

— A co my go obchodzimy? Jego nie ma całą noc, nas nie ma w domu cały dzień. Pijak, ale wesoły chłop.

— I wy też weseli.

— Bo co? Płakać mamy? Czasu szkoda. Zarobić trzeba. My więcej tego Francuza karmimy jak on nas. Wesoły prędzej tu franka zobaczy. Dużo masz forsy?

— Mam.

— Bo widzisz: poszlibyśmy do cyrku. Dziś Murzyn walczy z Turkiem. Ale ten Murzyn silny: jak dał wczoraj w nos Turkowi, od razu wiadro krwi. Jak cię szanuję, bracie! Bokserzy. Dziś rozgrywka. Pokażemy ci Paryż; zobaczysz nasze mieszkanie w hotelu.

— Wy w hotelu mieszkacie?

— *Mais oui!*<sup>104</sup> Tu tak każdy latek<sup>105</sup>. Kiedy ojciec pisał, że w hotelu mieszka, matka myślała, że bogaty. A pluskwy żrą, że rety! W Ameryce znów każdy łapciuch<sup>106</sup> ma własny samochód. Co kraj to obyczaj. Ja nie będę szoferem; to samo co dorożkarz. Pilotem zostanę. Wysiadamy.

Wyszli z metra na ulicę. Idą.

Brudny dom na wąskiej ulicy.

— To tu! Zjesz z nami obiad.

Mały, ciemny, zaniedbany pokój. Szerokie łóżko, stolik i dwa krzesła.

Postawili butelkę i szklanki. Ukrajali trzy porcje chleba.

— Pij. Jedz.

— Co to, wino?

— Zobaczysz. W Polsce barszcz lepszy niż to wino; tanie, fałszowane. Kwaśne, ale w głowie kręci. Gdybyś dał parę franków, można by kupić wędlinę.

Kajtuś położył na stole pięćdziesiąt franków.

— Zaraz kupię — mówi Paweł.

— Poczekaj, ja z tobą — mówi Pietrek.

— Nie trzeba. Za chwilę wrócę.

<sup>104</sup>*Mais oui!* (fr.) — Ależ tak! [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*latek* (pot. pogard.) — biedak, chłystek, byle kto. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*łapciuch* (pot. pogard.) — łachmaniarz, nędzarz. [przypis edytorski]

— Nie wróci — mówi Pietrek, gdy Paweł jak strzała wyskoczył z pokoju.  
— Dlaczego nie wróci?  
— Bardzo zwyczajnie; bo ma pięćdziesiąt franków. Znam go dobrze: przecie to mój brat.

Zgadł. Na próżno czekają.

— Pójdziemy chyba do restauracji. Nie bój się. Pierwszy dzień w Paryżu możesz wydać więcej pieniędzy; potem, jak poznasz miasto, nie będziesz tyle wydawał.

Zjedli obiad w restauracji.

Widzi Kajtuś wieżę Eiffla, bulwary, place, magazyny. Lubił i w Warszawie oglądać sklepy i chodzić ulicami, gdy palą się i gasną światła kolorowe. A Paryż cały w blaskach i barwach.

— No, na dziś będzie dosyć. Więc idziemy do cyrku?

— Jeżeli daleko, lepiej pojedziemy.

— Ach, nogi cię bolą. To Paryż, bracie. Przyzwyczaisz się.

Ano: cyrk.

— Daj forszę. Stań tutaj; ja pójdę do kasy po bilet.

Dał Kajtuś sto franków.

— Ho, ho — wcale zacny papierek.

Na próżno czeka Kajtuś. Uśmiechnął się — domyślił.

„Zgolili mi trochę gotówki. Niech im będzie na zdrowie”.

Stanął sam w kolejce przed kasą.

— Gdzie oni się wszyscy pomieszczą?

Zmieścili się wszyscy w ogromnym gmachu.

Głowa przy głowie. Zda się<sup>107</sup>, nie ma już ani jednego miejsca, a płyną coraz to nowe szeregi, rozchodzą się po wszystkich piętrach sali, do łóż<sup>108</sup>, na parter i galerię<sup>109</sup>.

Aż jedno tylko wolne miejsce zostało — obok Kajtusia.

Orkiestra zagrała. Zaczęło się przedstawienie.

Pierwsze: tresowane konie.

Drugie: akrobaci.

Ale publiczność czeka niecierpliwie na zawody bokserów. Ciekaw i Kajtuś. Dziwi się, że nikt nie bije oklasków. Może tu inna moda w Paryżu.

Po przerwie wyszli na arenę bokserzy. A Murzyn najwyższy, nogi stawia mocno.

Było na co patrzeć.

Kiedy walczyła trzecia para, Węgier z Grekiem — Kajtuś był tak podniecony, że zapominał nawet, gdzie jest, i krzychał po polsku:

— Lu go! Jeszcze! Mocniej!

Wtedy właśnie wolne miejsce obok Kajtusia zajęła piękna pani.

Kajtuś krzyczy, a ona patrzy z uśmiechem. Potem wyjmuje z torebki kubek i flakon i zapytuje uprzejmie:

— Może kieliszek wina?

A Kajtusiowi w gardle zaschło od tego wołania. Wziął, wypił, podziękował. Oddał kubek złoty.

Nareszcie.

Wychodzi Murzyn. Łyska białkami oczu. Pokazuje w uśmiechu białe zęby. Kłania się. Grzmot oklasków. Ktoś rzucił kwiaty, ktoś inny — pomarańcze. Murzyn zajada, oblizuje się, gładzi po brzuchu. Mówi:

— Dobra, smaczna papu!

Ale gdzie Turek? Dawaj Turka. Dlaczego się spóźnia?

— Prędeż. Zaczynać!

Wychodzi na arenę dyrektor cyrku w czarnym fraku.

<sup>107</sup>zda się — zdaje się, wydaje się. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>łoża — małe, kilkusobowe pomieszczenie wyodrębnione w teatrach, salach widowiskowych itp. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>galeria — tu: najwyżej usytuowane i najtańsze miejsca w teatrze a. cyrku. [przypis edytorski]

— Turek zachorował — tłumaczy.

— Kłamstwo! Oszustwo! Pokazać go — krzyczy, a potem ryczy galeria.

Doktór i higienistka prowadzą Turka; widać przecie, że walczyć nie może.

— Ma gorączkę. Nos obandażowany.

— Dlaczego nie uprzedziliście? Oddać pieniądze. Nie uda wam się!

Nagle Kajtuś zrywa się ze swego miejsca. Nikt na to uwagi nie zwrócił. Zasłania twarz czerwoną maską. Nikt go nie zauważył jeszcze. Przepycha się do przejścia, zbiega po stopniach na dół i krzyczy potężnym głosem:

— Ja Turka zastąpię. Ja będę walczył.

Chcą go zatrzymać lokaje w czerwonej liberii, ale nie zdążyli. Już jest na arenie.

— Czerwona maska! Czerwona maska! Co to za chłopak?

Dyrektor cyrku odwraca się. Patrzy. Nie rozumie.

Galeria krzyczy:

— Nie błaznować! Kanciarze! Nie zgrywać głupich!

Ale parter i loże — bogata publiczność się śmieje. Ciekawi, jaką to niespodziankę przygotował dyrektor. Bo znany był z dowcipnych pomysłów.

A widok był naprawdę zabawny. Jak boks boksem, nie widział nikt jeszcze takiej pary.

Murzyn też myśli, że to żart białych panów. Podchodzi z uśmiechem do Kajtusia, chce go wziąć na ręce, podnieść do góry, żeby lepiej małego widzieli...

Ale Kajtuś wyrwał się, skoczył i tak jakoś całym ciałem zręcznie uderzył, że Murzyn się obalił, a Kajtuś na niego. Podnosi się niezgrabnie Murzyn, a Kajtuś już w rękawiczkach, uderzył go dwa razy. Kajtuś stoi, a Murzyn leży.

Teraz już wszyscy się śmieją.

— Dobrze malec udaje. Niech pokaże, czy silny. Niech pokaże, co umie.

Skinął Kajtuś na dyrektora cyrku, coś mu szepnął do ucha.

Zaraz wnoszą lokaje żelazny drąg, zakończony dwiema ciężkimi kulami. Kajtuś splunął w garść, rozstawił nogi, ale udaje, że nie może udźwignąć.

— Za ciężkie! — woła galeria. — Przynieść co innego.

Lokaje chcą zabrać. Ale Kajtuś ich pchnął, aż się potoczyli. Zrzuca marynarkę, posyła ręką pocałunek w stronę galerii, wydaje okrzyk, podbiega, chwytając ciężar jedną ręką. Podniósł, podrzucił, chwycił — dwa razy lekko wywinął w powietrzu. Cisnął na piasek.

Żelazne kule z głuchym łoskotem wbiły się w ziemię.

— Więc co? Zgadza się? — woła Czerwona Maska do publiczności.

— Przyjmujemy! Zgadza się.

— Dobrze. Niech walczy.

Murzyn zakłopotany patrzy na Kajtusia. On jeden może poznać, bo dziki wierzy w czary.

— Czarny się boi. Patrzcie. Niech żyje Czerwona Maska!

Orkiestra zagrała.

W te pędy posłali po ubranie sportowe.

Kajtuś niedbale atakuje, Murzyn opędza się tylko, jak przed natrętną muchą.

Widać, że na niby się broni. Biały pan wie, co robi, biały pan jest mądry: jakiś kawał urządził z tym drągiem i kulami.

Ale galeria czujna — nie pozwoli się lekceważyć.

— Dosyć! Nie chcemy tak — woła niezadowolona.

W tej samej chwili Murzyn otrzymuje trzy mocne uderzenia — krótkie, szybkie, jak błyskawica.

Od razu cisza.

Murzyn splunął krwią. Już ostrożniej się broni. Kajtuś ostro naciera. Jego zręczne skoki budzą większy jeszcze podziw niż siła.

— Wygląda tak, jakby naprawdę walczyli — mówi w loży prezes klubu bokserów.

— No tak. Ale czarny wcale naciera.

— A pan chciałby może, żeby zmiażdżył dzieciaka?

Walka

— Nie chcę, ale się obawiam. Widzi pan: Murzyn już zły teraz. Jeżeli go galeria zirytuje krzykami, to zabawa może się źle skończyć...

A galeria krzyczy:

— Nie daj się, czarny! Zuch Czerwona Maska! Precz z małpą! Szympan, goryl!

Murzyn już się nie śmieje. Nie spuszcza z Kajtusia oczu. Ma plan: tak go odepchnie, że Kajtuś zwichnie rękę; a choćby nawet złamał: musi go ukarać. Malec krzyknie z bólu, a ręka bezwładnie zwiśnie.

A Kajtuś rozzuchwalony i gniewny, że Murzyn nie atakuje — skacze wokół i młócić zamierza razem ze wszystkich stron. Tylko mu maska przeszkadza i tchu już brak, i w sercu ból coraz większy.

Rozległ się gwizdek sędziego.

Kajtuś pada na krzesło. Masażyści wycierają zdrętwiałe ręce i nogi. Dyrektor cyrku chłodzi go ręcznikiem.

— Dosyć! — wołają jedni.

— Nie przerywać! Chcemy widzieć! Jeszcze!

Murzyn stoi i czeka. Żuje gniew.

No, zaczyna się druga runda.

Buch, buch! Uderzenie pierwsze i dziesiąte. Dziesiąte i dwudzieste. Jak deszcz, jak grad. Murzyn nachylił się. Dostał. Zachwiał się. Odskoczył w tył.

Zacisnął zęby. Idzie na Kajtusia.

Cisza. Zamarli wszyscy w oczekiwaniu.

Blady strach: zabije. Nerwowi zamknęli oczy. Dwie księżne i markiza zemdlały. Dyrektor cyrku opowiadał potem, że raz jeden tylko widział podobną scenę w cyrku: lew gotował się do skoku na pogromcę; to było pięć lat temu w Londynie.

Straszny obraz.

Kołysząc się, pochylony — Murzyn z krwią nabiegłymi oczami idzie na Kajtusia.

Kajtuś cicho:

— Stój. Rozkazuję: stań!

Murzyn stanął. Podnosi rękę.

— Niech mi się zmieni twarz. Niech się zmieni.

Zrywa maskę z twarzy.

— Już!

Aparaty filmowe i fotograficzne stukają.

— Tik, tik, tik.

Reflektor syczy.

Olbrzymia czarna łapa mierzy w głowę Kajtusia. Druga nisko, przygotowana do odparcia ciosu. Zęby zaciśnięte, twarz wykrzywiona.

Zgubiony.

Komisarz policji wyjmuje rewolwer.

Za późno.

Rozległo się głuche uderzenie: Murzyn runął z rozmachu na dywan. Bo Kajtuś w porę odskoczył.

Posypały się uderzenia drobnej ręki. Mięśnie Murzyna drgają pod skórą. Leniwie się podnosi: stracił wiarę w swą gwiazdę. Sława jego zgasła.

Już nie udaje nawet. Broni się niezgrabnie. Tak, to naprawdę walka.

Gwizdek.

Kajtusiu ciemniało w oczach. Nie słyszy okrzyków i oklasków. Bezwładnie siedzi na krześle.

Murzyn zbliża się — stawia nogę Kajtusia na swym karku. Kajtuś otwiera oczy, z wysiłkiem wyciąga rękę. Murzyn opiera głowę na jego kolanach; Kajtuś całuje go w głowę, gładzi kędzierzawe kudły.

Ludzie płaczą. Huragan oklasków.

Olbrzym bierze Kajtusia na ręce ostrożnie — ostrożnie i wynosi z areny.



Kajtuś znów w hotelu, ale w innym, bogatym. W książęcym pokoju na wspaniałym łożu. A przed hotelem tłumy.

— Biorę go do Ameryki za dziesięć tysięcy dolarów.

— Ja dam sto tysięcy — woła drugi opasły jegomość.

— Przychodzę złożyć powinszowania w imieniu klubu bokserów.

— Kosz kwiatów od pani markizy.

Pan z lornetką rozpycha tłum.

— Proszę mnie wpuścić do pokoju małego boksera. Jestem z agencji<sup>110</sup> telegraficznej.

Muszę napisać do gazet, skąd się wziął, kto on taki.

Portier kłania się nisko, niżej i aż do samej ziemi.

— Przepraszam. Nie wolno. Przepraszam. Nie pozwolono. Przepraszam; dziś nie.

— Ależ moje gazety muszą wiedzieć. Moi czytelnicy nie mogą czekać.

Wychodzi przed hotel sam dyrektor cyrku.

— Nie można, panowie. Doktor stanowczo zabronił. Chłopiec jest bardzo zmęczony.

— Ale ja muszę. Skąd go pan wyszukał? Jestem redaktorem. Siadaj pan do mego samochodu: razem zjemy kolację.

Wsiadli. Rozmawiają.

— Więc naprawdę pan nie wie? To źle. Za dwie godziny zaczną drukować poranne gazety. Musimy napisać. Czy Francuz, czy paryżanin, ma rodziców — sierota? Co robił do tej pory?

— Doktor zabronił mu mówić. Rozumie pan: serce. Taki wysilek.

— Ha, trudno. Ale wiadomość być musi. Obiecałem do czterech gazet. W dodatku głodny jestem jak wilk.

Samochód zatrzymał się przed restauracją.

— Niech pan zamówi coś do zjedzenia, ja idę do telefonu.

Telefon pierwszy, do pierwszej gazety:

„Czerwona Maska, który pokonał Murzyna, jest synem pijaka. Sprzedany przez ojca Cyganom występował w wędrownych cyrkach. Pierwszy raz w Paryżu...”

Telefon drugi:

„Nieznany chłopiec jest synem lorda. Gdy miał lat sześć, już był silny; w bójkę zabił brata. Wypędzony przez ojca, chował się w chacie rybaka. Brał udział w wyprawach na wieloryby...”

Telefon do trzeciej gazety:

„Mały bokser pochodzi z rodziny górników. Urodził się podczas pożaru. Woził węgiel, utrzymywał całą rodzinę: matkę, dwie siostry i brata”.

Czwarty telefon:

„Gdy miał rok, zabłądził w lesie. Wychowała go w górach bura niedźwiedzica. Dlatego taki silny. Niedawno usłyszał pierwsze ludzkie wyrazy. Dziadek jego Wyrwidąb, babka — Waligóra. Zresztą piszcie, co chcecie. Głodny jestem i basta”.

Rzucił słuchawkę i wyszedł na salę.

Dyrektor cyrku siedzi przy stoliku z literatami i bankierami.

Wszyscy przy wszystkich stołach mówią o Kajtusiu:

— Ależ heca z tym malcem. Nic podobnego nie widziałem w życiu. A przecież byłem korespondentem z trzech wojen. Brałem udział w wyprawie na biegun północny i na pustynię Gobi. Widziałem dziesięć koronacji królewskich. Byłem na czubku wszystkich piramid i na wieży Babel. Dwadzieścia sześć razy pojedynkowałem się. Polowałem na orły skalne. Dwa razy byłem rozszarpany: przez tygrysa i przez kulę armatnią. Topiłem się, trulem, wisiałem na szubienicy indyjskiej — w Afryce ludożercy ugotowali mnie w rosole z żółwi szylkretowych. Ale wszystko to głupstwo w porównaniu z dzisiejszą walką.

Dyrektor lekko zapukał do drzwi. Wyszedł doktor w białym fartuchu.

— Co słytać?

— Śpi. Spokojnie oddycha. Nawet puls dobry. Jutro pozwolę z nim porozmawiać, ale tylko panu i tylko pięć minut.

<sup>110</sup>agencja (daw.) — agencja. [przypis edytorski]

— To dobrze. No, spać, bo i ja zmęczony.  
Przed hotelem dyrektor cyrku spotkał się z Murzynem.  
— A wy co tu robicie?  
— Ja do chłopak. Żeby żyła. Żeby nie źle. Żeby nie chora. Ja kochać mała bokser.  
Fajno biła! Zuch, cacy.

#### ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Trzy występy w cyrku — Pokaz pływacki — Na okręcie — Kajtuś gwiazdą filmową

Mówią o dyrektorze cyrku, że pijak i karciarz, że chciwy i skąpy.

No tak, to prawda. Lubi wypić — i w karty gra, i targuje się z artystami, bo chce więcej zarabiać. Mówią, że ma szczęście, że ma „nos”, to znaczy, że zwęszy w porę dobry interes.

Ale nie mówią, dlaczego tak się dzieje: dyrektor kocha cyrk, kocha konie i kocha ludzi z talentem.

Targował się dwa miesiące z baronem Bergiem, ale kupił dla cyrku arabskiego ogiera; ogier był wnukiem Almanzora i Beli, synem Reszała i Flory. Tresurę wspaniałego araba powierzył młodemu i nieznanemu jeszcze wtedy Paulo Dorini.

A czy nie zakupił najdroższych tygrysów bengalskich dla pogromcy Leopardiego?

Czy nie urządził wodnej pantomimy dla tancerki Mironow?

Komu zawdzięczają sławę bracia-komicy, jak Puk i Puc?

A kto leczył skoczka Valetti, gdy złamał nogę w cudzym cyrku, w Bostonie? Kto urządził jubileusz starego Potina, którego zapomnieli już wszyscy?

Na to, by zarobić, trzeba mieć spryt, na to, by zarobione pieniądze wydać, trzeba mieć rozum.

Poznał i ocenił wartość Kajtusia.

Lepszego opiekuna Kajtuś nie mógł znaleźć.

— Słuchaj, miły przyjacielu — mówi dyrektor cyrku. — Chcą ci dać sto tysięcy dolarów za występy bokserskie w Ameryce. Mnie chcą dać za ciebie trzysta tysięcy franków; ale nie jestem faktorem<sup>111</sup>. Radziłem się doktorów. Powiedzieli, że za tydzień będziesz zupełnie zdrow. Ale gdyby przez nadmierny wysiłek takie rozszerzenie serca powtórzyło się parę razy, zostałbyś kaleką na całe życie. Miałbyś kaszel, duszność i spuchnięte nogi; byłbyś jak stary, chory człowiek — już na zawsze. Nie radzę ci.

— A co mi pan radzi? — zapytał się Kajtuś.

— Mój plan jest taki. Wystąpisz trzy razy w moim cyrku. Bo Paryż chce koniecznie cię widzieć. Każdy występ tylko dziesięć minut. Będą to łatwe popisy zręczności, nie siły. Na własny koszt posyłam cię do miasta Hollywood w Ameryce. Pojadą z tobą: lekarz, nauczyciel gimnastyki, nauczyciel muzyki i sekretarz. Będziesz miał tam domek w ogrodzie, własny samochód i konia. Wszystko kupię, zapłacę. Będziesz gwiazdą filmową, nie cyrkowcem. Gdy urośniesz i zechcesz, możesz wrócić do cyrku.

— Zgadzam się — mówi Kajtuś.

— Bardzo się cieszę, że mi ufasz.

Serdeczny uścisk ręki potwierdził umowę.

„Trzy występy Czerwonej Maski”.

Na słupach, na ścianach, w gazetach ogłoszenia z fotografią Kajtusia.

Siłacz. Bokser. Sławny!

„Za trzy dni... Pojutrze... Jutro”.

Występ — siedem minut i czterdzieści sekund. Tak orzekli doktorzy.

Na koniu arabskim w świetle reflektorów ukazał się na arenie Kajtuś. W trykocie z przepaską, lśniącą złotymi i zielonymi cekinami. Orkiestra gra. Koń dumnie potrząsa grzywą. Kajtuś ręką wita publiczność.

Murzyn przynosi stolik; na stoliku różne kółka, drążki, chorągiewki, piłki. Popis zręczności.

— Nie chcemy! — krzyknął ktoś, a za nim wszyscy.

<sup>111</sup>faktor (daw.) — pośrednik. [przypis edytorski]

— Nie chcemy! Nie pozwalamy! Żadnych sztuk! Nie męczyć chłopca! Dać mu płaszcz, bo się zaziębi! Niech rośnie i będzie zdrow...

Kajtuś pokazuje na migi, że wcale nie zmęczony. Wychodzi dyrektor cyrku, chce uspokoić publiczność.

— Pięć minut.

— Nie! Żadnych sztuk. Ani chwili. Przyszliśmy pokazać go dzieciom i sami na niego popatrzeć.

Dużo dzieci było w cyrku. Biją oklaski i rzucają kwiaty.

Przykro nawet było Kajtusiowi, ale dyrektor powiedział, że publiczność ma prawo żądać, ma prawo zabronić.

I powtórzyło się to samo trzy razy — wieczór po wieczorze.

Miejsca w cyrku wyprzedane do ostatniego. Tylko Kajtuś już nie w trykocie, a w skórzanej kurtce, przybranej białym futerkiem. Murzyn prowadzi konia, a oni krzyczą i fotografują.

— Brawo, Czerwona Masko. Niech żyje!

Zmieniają się światła. Kajtuś puszcza baloniki w różnych kolorach, strzela z łuku w górę strzałami z czekolady, a te padają w ręce najmłodszych dzieci.

Tak uczcił szlachetny Paryż swego faworyta i triumfatora.

Jacy oni dobrzy, jacy mili — mówi Kajtuś. — Ale nie mogę przecież brać za darmo pieniędzy. Chcę podziękować, coś zrobić chcę dla Paryża — jakąś niespodziankę. Niech pan wymyśli — ja wszystko potrafię.

Dyrektor zapalił cygaro.

— Poczekaj. Już wiem. Dla dzieci szkolnych bezpłatne przedstawienie. Ale co?

Dyrektor wstał, chodzi po dywanie. Zatrzymał się. Nalał szklanek wina. Wypił. Mruczy coś pod nosem. Stał przed Kajtusiem.

— Umiesz pływać?

Rozumie się, że umie. Pisali przecież w gazetach. Polował na wieloryby.

— Doskonale. Mamy w Paryżu basen. Wokoło basenu kamienny amfiteatr. Pięćdziesiąt tysięcy miejsc. Zaprosimy szkoły na popis pływacki.

— Zgoda.

Popis pływacki odbył się w obecności ministra oświaty, klubów sportowych i uczniów czterystu dziewięćdziesięciu szkół.

Rozsiedli się gęsto na kamiennych stopniach. Pogoda prześliczna. Słońce świeci. Na basenie ukazuje się kajak, w nim Kajtuś. Wiosłuje. Opłynął basen wokół. Łódka się przewraca. Z wiosłarza Kajtuś staje się pływakiem.

Murzyn przez megafon daje objaśnienia.

— Tak pływają Kozacy, tak Aszanci<sup>112</sup>, tak Syngalezi<sup>113</sup>. Tak pies, tak żaba, tak foka, tak ryba, gdy ucieka, gdy chwytą zdobycz, gdy pochwyciona na wędkę. Tak rekin, tak krokodyl i hipopotam.

Bokiem, na wznak, pod wodą. Tonie i wzywa ratunku; ratuje tonącego. Młynek w wodzie. Głową na dół, nogami do góry. Odbił się o wodę, kozła wywinął w powietrze. Wreszcie rzecz niepojęta: chodzi na czworakach po wodzie.

Skoki: z jednego, dwóch i czterech pięt.

Huragan oklasków.

Minister daje znak, że więcej nie pozwala.

— Król wód!

— Czarodziej rzek i mórz!

Na dwa dni zwolniono szkoły. Nie sposób było utrzymać chłopców w ławkach szkolnych.

Przed hotelem przez dwa dni stały tłumy. Samochody jeździły innymi ulicami.

W nocy, w tajemnicy, opuścił Kajtuś Paryż.

<sup>112</sup>Aszanci, dziś popr.: *Aszantowie* a. *Aszanti* — grupa plemion zamieszkujących obecną Ghanę w Afryce Zachodniej. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>Syngalezi — lud mieszkający na wyspie Cejlon. [przypis edytorski]

Salonowym wagonem<sup>114</sup>. Dyrektor odprowadza go do portu.

Pierwszy raz widzi Kajtuś morze i okręt. Kapitan okrętu oprowadza go i daje objaśnienia.

To kajuta Kajtusia; to jadalnia pasażerów pierwszej klasy; to czytelnia i sala kinowa, to pływalnia. Czy chce obejrzyć maszyny?

Kajtuś patrzy i oczom nie wierzy. Czy to możliwe, że to wszystko zrobili ludzie, a nie czarodzieje? Pyta się:

— Do czego ta maszyna? Po co to? Jak się to porusza?

— Już dosyć — mówi doktor. — Tu gorąco, powietrze niezdrowe.

— Zaraz, zaraz.

Zagląda do pieca.

— Jak wulkan — mówi.

Uparł się, że zostanie, dopóki okręt nie ruszy: chce zobaczyć te wielkie koła i tłoki podczas pracy.

— Czy mogą się zepsuć? Co będzie wtedy z okrętem? Dlaczego ta maszyna czynna, chociaż okręt stoi?

— To dynamo: oświetla okręt i wentyluje. No, pójdziemy już.

Nie, zaczeka. Musi zobaczyć: lubi rzeczy potężne. Czy jest huk i zawrotna szybkość?

Nie było rady. Stała się rzecz niebywała. Okręt opuścił port o godzinę wcześniej, niż było w rozkazie. Dopiero na pełnym morzu dogonił ich statek, który przywiózł spóźnionych pasażerów i marynarzy. Za ten kaprys Kajtusia zapłacił dyrektor cyrku pięćset dolarów kary.

— Nie szkodzi. To reklama. Dobrze Kajtuś zrobił: ludzie sławni powinni mieć kaprysy.

Najstarszy marynarz uściśnął mu rękę.

— Czterdzieści lat wożę ludzi przez ocean. Dumny jestem z takiego pasażera.

Wieczorem w sali balowej odbył się bankiet na cześć Kajtusia. Panowie we frakach, panie w białych sukniach patrzą na Kajtusia przez lornetkę.

Chłopcy okrętowi przyglądają mu się z podziwem i zazdrością. Czytali o nim w gazetach.

— Więc to wszystko prawda, nie czar i nie sen? Więc zwyczajni ludzie, jeżeli zapłacą, mają takie okręty i pociągi, zabawy i wygody? Kto bogaty, ma wszystko. Dlaczego więc babcia i ojciec mówili, że pieniądze szczęścia nie dają?

Późnym wieczorem wrócił z doktorem do kajuty.

— Od jutra, mój przyjacielu, należysz do mnie. Rano kąpiel po lekkiej gimnastyce. Śniadanie: mleko, bułka, owoce.

— Jakie owoce?

— Nie wiem jeszcze. Poradzę się<sup>115</sup> z naczelnym kucharzem i poszukam w księgach lekarskich; zdaje się, że na okręcie najzdrowsze są winogrona.

— No a co po śniadaniu?

— Przechadzka po pokładzie. Potem lekcja muzyki. Trzy partie warcab<sup>116</sup> albo kino. Dziesięć minut gimnastyki albo pływania. Obiad. Leżakowanie. Wszystko z zegarkiem.

— Więc jestem jakby w niewoli?

— Tak. Wszyscy jesteście niewolnikami naszych obowiązków. A im kto więcej wart, tym więcej go pilnują. Ty, miły przyjacielu, masz wielkie talenty. Potrzebny jesteś ludziom. Nie należysz do siebie. Bardzo pilnować cię trzeba.

Dziwnie to jakoś powiedział.

Kajtuś spojrzął mu w oczy. Westchnął. Jakby przeczuł.

— Nie wolno, bo niezdrowo.

— Nie wolno, bo niebezpiecznie.

<sup>114</sup>salonowy wagon — salonka, specjalnie umeblowany, komfortowy wagon kolejowy, przeznaczony do użytku szczególnie ważnych osób. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>Poradzę się z (...) kucharzem — dziś popr.: naradzę się z kucharzem. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>warcab — dziś popr. forma D. lm: warcabów. [przypis edytorski]

— Nie wolno, bo za wcześniej, bo za późno, bo deszcz; nie wolno, bo gorąco.  
Co dzień to samo.  
— Zrozum pan wreszcie: nudzi mi się.  
— To trudno. Wczoraj ubyło ci na wadze sto gramów.  
— Chcę na bocianie gniazdo<sup>117</sup>.  
— Tam wiatr; nie można.  
— Chcę do hali maszyn.  
— Nie. Pamiętasz: miałeś potem katar. Termometr wskazywał dwie kreski gorączki.  
— Chcę z chłopakami okrętowymi zabawić się w futbol.  
— Wiesz, że nauczyciel gimnastyki zabronił.  
— Więc w berka?  
— Nie. Możesz się od nich zarazić. To zwyczajni chłopcy: jeden z nich ma anginę, a śpią w jednej kajucie.  
Trzy razy próbował Kajtuś zemścić się, splatać figła.  
Skoczy z pokładu do morza. Wykąpie się w całym morzu jak delfin, nie w ciasnym basenie. Kąpiel w oceanie!  
„Chcę, żądam, rozkazuję. Skoczyć, nurka głębokiego, na samo dno, w głębiny”.  
Powtarza. Nic. Opuściła go siła i władza; dlaczego?

Urósł Kajtuś podczas podróży: dwa centymetry mu przybyło i sześćset gramów. Doktor zadowolony, a Kajtuś zły.

— No widzisz: nie kaszlesz, nie bolą cię plecy ani głowa. Masz rumieńce. Termometr...

— Pluję na termometr, gwizdzę na rumieńce. Nawet w szkole było lepiej, bo miałem pauzę i podwórko. Mogłem robić, co chcę. Hollywood wcale mi się nie podoba.

Już chciał powiedzieć, że woli Warszawę, ale się w porę zatrzymał.

Więc cóż z tego, że piękny pałacyk w ogrodzie? „Najwygodniejszy i najdroższy” — bo tak telegrafował dyrektor cyrku i taki właśnie wynajął.

„Nie wolno, nie można, nie trzeba”.

Na okręcie nudził go doktor, a teraz, więcej jeszcze, sekretarz i reżyser filmowy.

Próby, próby i próby.

— Jeszcze raz. Scena sto dziesiąta.

— Po co, kiedy już umiem?

— Ty umiesz, ale inni źle grają.

— A co mnie to obchodzi?

Czasem na złość gra źle, bo niech go przestaną męczyć, przebierać jak lalkę. Gra sierotę. Obraz będzie się nazywał: *Dziecię garnizonu*. Albo: *Tajemnica małego Dżeka*. Jest szpiegiem, przekrada się przez druty kolczaste.

Niech już fotografują.

Nie; bo raz czapka niedobra, to znów spodnie inaczej podarte, nie tak, jak potrzeba; worek za duży, więc zaśłania lewą nogę.

Znów krawiec przymierza, znów fryzjer inaczej układa potargane włosy. Kłóć się, czy rana ma być na policzku, czy na czole. A Kajtuś stoi jak głupi i czeka.

— No dosyć.

— Jeszcze chwileczkę.

W scenie trzydziestej, gdzie sierota ma płakać, Kajtuś nagle wywalił jęzor i śmieje się w aparat.

— No widzisz, mój miły. Sam teraz jesteś winien. Umyślnie popsuleś taśmę. Musisz powtórzyć.

Woli grać sam albo z dziećmi, najgorzej z dorosłymi gwiazdami.

— Już dobrze — dąsa się Kajtuś.

Ale dorosła gwiazda niezadowolona, bo podniosła rękę za wysoko albo głowę trzymała za nisko. Więc znów od początku.

<sup>117</sup>bocianie gniazdo — tu: platforma obserwacyjna umieszczona wysoko na głównym maszcie statku. [przypis edytorski]

Znów Kajtuś biegnie i rzuca się jej w objęcia i głośno woła:

— Mamo!

A cicho:

— Niech pani, do choroby, trzyma łeb jak trzeba.

Gwiazda się obraziła. Musi ją Kajtuś przeprosić.

Przerwa nareszcie. Ba! Przyszedł redaktor angielskiej gazety, chce porozmawiać z Kajtusiem. Przyszedł dyrektor wytwórni. Przyszedł delegat wręczyć podziękowanie za popis pływacki. Żona milionera chce go ucałować.

— Niech pocałuje psa w nos.

Patrzą na niego jak na małpę w zwierzyńcu. A gdy Kajtuś nie chce, sekretarz mówi:

— Podpisałeś umowę.

No tak: zobowiązał się, podpisał.

— Jeszcze jeden ostatni raz. Przecież jesteś artystą, przecież ci zależy, żeby obraz był ładny — mówi reżyser.

— Nie jestem artystą i wcale mi nie zależy.

— To ważna scena, drogi przyjacielu.

— Nie jestem pana przyjacielem. Nie lubię pana, nie znoszę.

— Ależ za co?

— Za to, że pan jest dla mnie taki dobry, taki cacany. A dlaczego pan pchnął starszka, dlaczego pan wytargał za uszy tych chłopców i wyrzucił, i nie zapłacił ani grosza?

— Wytłumaczę ci, tylko bądź cierpliwy. Dziewczynkę wzięłem z łaski, bo mnie jej matka prosiła. Dałem lustro i kazałem się w tydzień nauczyć.

— Czego?

— Miała się naprzód uśmiechać, potem patrzeć trochę zdziwiona, trochę przestraszona, potem miała się ucieszyć. Leniuch, nie nauczyła się. Straciłem przez nią dwa dni. Chłopcy mieli się bić na ulicy i samochód miał ich przejechać.

— Wiem. Źle się bili, bali się, że samochód naprawdę ich przejedzie.

— No tak. Więc wybrałem odważnych. Zepsuli mi trzydzieści metrów taśmy. Musiałem karę zapłacić.

— Pan wszystko umie wytłumaczyć.

— Nie rozumiesz, drogi kolego.

— Nie chcę być pana kolegą i powiem dyrektorowi wytwórni, że chcę innego reżysera.

— Zgodzi się, na pewno się zgodzi. Da innego reżysera, a mnie wypędzi. I stracę chleb; a mam żonę i dziecko. On chce się mnie pozbyć: weźmie młodszego, tańszego i jeszcze surowszego dla aktorów. Bo mówi, że jestem za mało energiczny, zbyt pobłażliwy. Nie rozumiesz, chłopcze. Mieszkasz w pałacu i nie wiesz, co się tu dzieje.

„Nie wiem — pomyślał Kajtuś — ale dowiem się. Chcę wiedzieć”.

Doktór zamyka drzwi pokoju Kajtusia.

— Dobranoc.

Kajtuś leży cicho. Potem ostrożnie podnosi się, ubiera, nakłada czapkę niewidkę i przez ogród wychodzi na ulicę.

Chce wiedzieć, co się dzieje, jak żyją bezrobotni w tym bogatym mieście gwiazd filmowych.

Co widział... co słyszał...

Oto biedny pokój i jego mieszkańcy.

— Nie ma pracy — mówi ojciec rodziny. — Za miesiąc mają nakręcić nowy obraz, gdzie potrzebne są tłumy. Może uda się coś zarobić.

Inny pokoik. Wdowa i dzieci.

— Nie mam szczęścia — żali się sąsiadce. — Albo jestem za gruba, albo za cienka, albo mam nos za długi, albo za krótki. Słyszałam, że potrzebne są dzieci. Idę. A oni akurat brzydkiego dziecka szukają; moje za ładne. Więc znów nic.

Chwali się w innym mieszkaniu młody robotnik:

— Mam robotę. Dobre i trzy dolary. Będę stał w oknie; będę patrzył na zbiegowisko. Potem rzucam w tłum cegłę. Muszę się uczyć przed lustrem, bo potrzebny jest zwierzęcy

wyraz twarzy. Garbaty z jedną ręką może dostać dziesięć dolarów. Nie mają jeszcze, ale znajdują.

Aż usłyszał Kajtuś i o sobie.

— Temu szczeniakowi to dobrze. Obchodzą się z nim jak z jajkiem na miękko. Będą o nim pisali, że zarabia krocie. Reżyser dlatego nas tak męczy, że on nie chce przychodzić na próby. Delikatny przybłąda: mówi, że nudne. A nie laska po pięć godzin dziennie udawać przed lustrem, że się dusisz?

— Niedługo tak będzie. Za jakiś rok znudzi się publiczności. Znajdą sobie innego. Żeby już raz to *Dziecię garnizonu* skończyli. Najgorzej grać z gwiazdą, gdy kaprysi.

Podszuchał Kajtuś w czapce niewidce rozmowę w swoim pałacu:

— Dziwny chłopiec — mówi nauczyciel muzyki. — Czasem przyjemnie mieć z nim lekcję, a czasem aż trudno wytrzymać. Czasem gra prześlicznie, to znów ma palce jak z drewna.

— Nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy — żali się sekretarz. — Gdyby nie ja, już by zerwał umowę. Nie pozwoli sobie zwrócić najmniejszej uwagi. Zaraz się obraża i mówi: „No to nie”. Albo: „Co mnie to obchodzi”. Uparty, ambitny i kapryśny. Może się zmarnować, a byłaby szkoda.

— Rozpieszczony i zuchwały — mówi nauczyciel gimnastyki. — Dla niekarnych nie ma miejsca na świecie.

— Nie ma silnej woli — żali się doktor. — Niecierpliwy, chce od razu i zaraz. Kiedy go ząb bolał, byłem u czterech dentystów. Już tak się ostrożnie starali. Aleee! Wyrzywa się, złości, ucieka. Chce leczyć ząb z zamkniętymi ustami. Czasem już naprawdę za wiele sobie pozwala.

— Telegrafowałem do dyrektora cyrku, żeby przyjechał się nim opiekować. Sam prowadzi samochód i pędzi jak wariat; zabić się może. Uparł się, że za tydzień obraz musi być gotowy.

No tak, Kajtuś nudzi się i buntuje. Nie chce, nie będzie się słuchał. Nie po to jest czarodziejem, żeby robić to, co mu każą. Podpisał umowę, więc niech skończą nareszcie ten film, żeby dyrektor cyrku otrzymał pieniądze, bo wydał dużo na podróż Kajtusia. Jeszcze tydzień będzie cierpliwy, a potem: — do widzenia.

Nie chce ani reżysera, ani sekretarza, ani doktora, ani nauczycieli, ani krawców i fotografów, ani redaktorów i gwiazd filmowych.

Chce być sam i wolny.

Nudzi się. Źle mu w obcym mieście wśród obcych ludzi.

Jeszcze tydzień: zaczął, więc skończy.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W butach siedmiomilowych na koncert Greya — Porwanie — Myśl — W pałacu milionera

Nareszcie. Film *Dziecko garnizonu* — skończony. Wieczorem odbędzie się bal dla gwiazd filmowych i redaktorów gazet. Scena, kiedy małego szpiega prowadzą na śmierć, a żołnierze płaczą — wypadła świetnie. Dyrektor wytwórni dziękuje Kajtusiowi.

— No dobrze już. Jestem głodny. Chodźmy już do domu — mówi Kajtuś.

Zajechał samochód. Reżyser pomaga Kajtusiowi wsiąść. Niepotrzebnie wcale: może przecież sam. Sekretarz siada obok Kajtusia.

Szofer rusza.

— Czy zapłacili? — pyta Kajtuś.

— Zapłacili. Wczoraj odesłałem ostatnie już dwadzieścia tysięcy dolarów, które byłeś winien dyrektorowi cyrku. Jutro podpiszesz umowę na nowy film: *Guliwer u olbrzymów*.

Kajtuś ziewa. Patrzy leniwie na domy i ogrody, niechętnie odpowiada na ukłony. Kłaniają mu się, znają go tu. Takie nudne: ciągle zdejmować kapelusz i jeszcze się uśmiechać.

Nie będzie jadł obiadu.

— Mówiłeś, że jesteś głodny.

— Więc co, że mówiłem? Tak mi się podobało.

Zupa żółwiowa mu nie smakuje, sarna za miękka, kompot za słodki, w kremie za dużo wanilii. Zjadł dwie porcje lodów.

— Położysz się po obiedzie — mówi doktor. — Zmęczony jesteś, a bal późno się skończy.

— Nie położę się — odpowiada Kajtuś. — Proszę przygotować mniejszy samochód.

— Znów sam chcesz prowadzić?

— Przecież umiem.

— Ale nieostrożny jesteś. Ostatnio mało nie wjechałeś na drzewo.

— Będę ostrożny.

— Pojadę z tobą.

— Nie trzeba. Chcę sam.

Wziął w kieszeń ostatnią gazetę.

— Może jednak pozwolisz, że ktoś z nas będzie ci towarzyszył?

— Nie męcz mnie, doktorze.

Sekretarz mrugnął, żeby już dać spokój.

— Ale obiecujesz, że nie będziesz się kąpał w morzu?

— Obiecuję. Nie będę się kąpał.

— Wrócisz przed wieczorem?

Kajtuś nie odpowiedział.

Wsiadł, pojechał i nie wrócił ani wieczorem, ani w nocy, ani wcale. Samochód znaleziono bez trudu na brzegu — tam gdzie Kajtuś zwykle wypoczywał po męczących próbach. Pod drzewem leżała gazeta, którą był zabrał. Jeszcze tylko laska ze srebrną rączką. Zmięta trawa: siedział na trawie i czytał gazetę. Ślady stóp w stronę szosy, a nie do morza.

Sprowadzone psy policyjne stoją w miejscu i wyją żałośnie.

Jeśli, kąpiąc się, utonął, dlaczego nie ma ubrania? Jeżeli go porwali, żeby żądać okupu, dlaczego nie ma żadnych śladów walki — nigdzie znaków, że ktoś chodził, że był jakiś inny samochód?

Tajemnica: żyje czy nie żyje?

Kajtuś żyje. W butach siedmiomilowych uciekł do New Yorku. Na koncert Greya.

Tak mu się zachciało. Usłyszeć znakomitego skrzypka.

Bo o Greyu często wspominał nauczyciel muzyki; dumny, że był jego uczniem.

— Kto raz usłyszy Greya, staje się na całe życie innym, lepszym człowiekiem. Gdyby pokochano muzykę, gdyby wszyscy mogli go usłyszeć — nie byłoby na świecie ani złych, ani nieszczęśliwych ludzi.

— Grey to nie muzyk, to czarodziej. I więcej nawet niż czarodziej.

Jakże go nie posłuchać? Właśnie teraz, gdy Kajtuś chce rozpocząć nowe, lepsze życie?

Gdy Kajtuś nie był jeszcze czarodziejem, a zwyczajnym chłopcem, niespokojnym i złośliwym, wiele razy chciał się zmienić, poprawić.

— Już nie będę. Już teraz inaczej. Od jutra. Od poniedziałku. Po świętach. Od półroczka. Już inaczej teraz.

Gdy stał się czarodziejem, też czuł, że istnieje coś więcej, jeszcze więcej i lepiej niż czary. Bo czy nie skarżą się dalej na niego? „Kapryśny — przybłęda — uparty — niekarany”.

Nie chce być ani bokserem, ani gwiazdą filmową. Chce być jak Grey: więcej niż czarodziej. Albo wróżem.

Bo jeśli Zosia naprawdę jest wróżką?

I tak się dziwnie akurat złożyło.

Kiedy usiadł nad morzem, pełen niespokojnych myśli, kiedy rzucił okiem na pierwszą stronicę gazety, zobaczył dwie wiadomości.

Pierwsza:

„Dawno oczekiwany film: *Dziecko garnizonu* został już ukończony”.

Druga dużymi literami wiadomość:



„Dziś odbędzie się koncert Greya na rzecz bezrobotnych w New Yorku”.

Kajtuś spojrział na zegarek. W chwilę postanowił. Zdąży. Ale nie samochodem ani samolotem.

Uda się czy nie uda?

„Żądam i rozkazuję”.

Cóż zresztą nadzwyczajnego? Chce tylko posłuchać muzyki, pięknej gry na skrzypcach. Nic więcej.

„Chcę, żądam i rozkazuję. Niech mnie buty siedmiomilowe zanoszą do New Yorku”.  
Począł. Odetchnął. Spojrział ostro na nogi. Powtórzył.

Czapkę niewidkę nacisnął mocno na czoło i niesie go wicher — nie wicher, burza — nie burza, ponad polami, lasami, górami.

Piękna szalona podróż podniebna.

Czary

Mija pierwsza i druga godzina podróży, w domu już się niecierpliwą, dlaczego Kajtuś nie wraca. Trzecia godzina, lekarz i sekretarz nie chcą czekać dłużej. Pewnie Kajtuś nad morzem, jak zwykle? Czwarta godzina — już policja i całe miasto wiedzą i szukają.

Wieczór zapada. Rozpalili nad brzegiem ogniska, rybacy wyruszyli z sieciami: może Kajtuś łódką popłynął i zablądził albo fala łódź zalała. Mkną auta, dzwonią telefony.

Tu Kajtuś wylądował bezpiecznie — wolny i zadowolony.

Zrzucił czapkę i buty czarodziejskie. Niewidzialny krawiec w mig przebrał go w nowe ubranie.

Wsiadł w pierwszy napotkany samochód i wydał polecenie. Na koncert Greya.

Zapłacił. Kupił łożę na wprost estrady<sup>118</sup>. I siedzi w wielkiej sali koncertowej.

Znużony drogą oparł się o fotel. Zmęczony podróżą przymknął oczy. Zasnął.

Śni mu się? Czy widzi? Czy słyszy? Czy ziemia, czy niebo? Płynię, a wokół kołyszą go fale pieśni.

Budzi się. Patrzy.

Tam daleko stoi, kto? Grey — jeden tylko człowiek. Trzyma w ręce, co? Małe drewniane pudełko — bo czym są skrzypce? Wodzi po czterech strunach kijkiem — bo czym jest smyczek?

Muzyka

A oto w tysiące serc idzie tyle cichych szeptów — wspomnień, tęsknoty. Niezrozumiałe wyrazy dają nieznanne rozkazy. Dziwna jasność i ciepło, i cisza, i piękno, i słodycz.

— Tak, to więcej niż czar.

Kajtuś słucha.

Nagle pomyślał, że to się skończy, że Grey przestanie grać. Szkoda.

Ktoś mu przeszkadza. W sąsiedniej łoży siedzi pan, młody jeszcze, ale ma siwe włosy. Sam jeden, czarno ubrany. Bogaty. W krawacie szpilka z wielkim brylantem.

Patrzy na Kajtusia smutnymi oczami.

Już ktoś kiedyś patrzył tak na niego.

Kto?

Babcia.

Kajtuś poruszył się niespokojnie na swoim fotelu. Wstał.

„Chcę mieć skrzypce. Chcę mieć skrzypce”.

Palce drżą. Serce bije. Czuje Kajtuś dziwne ciepło w rękach i w sercu. Serce bije. Skrzypce grzeją. Palce drżą.

Muzyka

Zaczyna grać. Cicho — cicho. Razem: tam Grey na estradzie, tu Kajtuś w swej łoży.

— Czy pozwalasz? — pytają się nieśmiało skrzypce Kajtusine.

— Pozwalam. Proszę — odpowiadają skrzypce Greya.

<sup>118</sup>estrada — podwyższenie, na którym odbywają się występy artystyczne. [przypis edytorski]

Zasłuchana sala nie zauważyła, że razem teraz grają. Nikt nie zauważył młodego chłopca w łoży. Jeden tylko pan z brylantem i smutnymi oczyma, siwymi włosami.

Kajtuś gra coraz śmielej, donośniej. Uśmiechnął się. Babcia mu się ukazała miła, niezapomniana. Łagodnie patrzy na Kajtusia i szepcze:

— Bądź dobry — bądź dobry.

Łagodnie patrzy i szepcze:

— Największy skarb człowieka to czyste sumienie.

Kajtuś gra głośniej. Grey ciszej, ledwie porusza smyczkiem strunach.

Widzi Kajtuś rzekę szeroką, a nad rzeką miasto na wzgórzu. Co za miasto? Ach, Warszawa. Co za rzeka? Wisła szara. Oto ulica uboga i dom znajomy, w domu skromny wysoko pokój. Wysoko na piętrze z ciemnego korytarza. Widzi stół, przy którym odrabiał lekcje, i łóżko, i doniczkę w oknie, i kubek do kawy — i ojca, i mamę.

Szarpnął strunami skrzypiec: ujrzał sobowtóra.

Gra Kajtuś o swojej szkole, podwórku szkolnym, gwarnym. Gra pauzę hałaśliwą. Widzi ławkę, na której siedzi w klasie. Opowiada dźwiękiem strun o sprawiedliwym kierowniku szkoły. Daleko, daleko...

Gra bajki, które słyszał, gdy mały był i do szkoły nie chodził. Gra Czerwonego Kapurka, Kopciuszka i Kota w butach. O krasnoludkach i o dobrej wróżce, i o Zosi sierocie, i jej mamie-wdowie.

Widzi Kajtuś cmentarz i grób babci. O babci opowiada, o słabej, pochylonej, dobrej — opowiada skrzypcami.

Dwie łzy stanęły w kącikach pod powiekami, rzęsami je kołysze w górę, na dół, w górę, na dół.

Śpiewają skrzypce Kajtusine o dziadku, który był porywczy, o tajemniczym zegarze i dzikim winie, o psach i o kurce, która przestała się nieść. Dawno... bardzo dawno...

— Kto ty jesteś? — pytają się skrzypce Greya.

— Zgadnij — odpowiada Kajtuś. — Zgadnij, słuchaj.

I znów o Wiśle, a nad brzegiem Wisły domy drewniane, chaty rybaków. Chat przybywa — wyrastają dworki i pałace. Jeszcze szumi bór, ale drzew już mniej, już mniej drzew wysokich nad szarą rzeką. Dawno, najdawniej.

Gra Kajtuś fanfarę. Orkiestra wojskowa. Rżą konie, chorągwie powiewają.

— Kto to?

— Król.

Gra Kajtuś walki i boje, zwycięstwa i porażki, najazdy i pożary, niewolę ponurą, wojnę, zmartwychwstanie.

— Skąd ty jesteś? — pyta się Grey cichym szepciem strun.

— Z Polski — Kajtuś odpowiada.

Chce już przestać, bo bardzo zmęczony. Nie może.

Płyń stara Wisła, jak płynęła dawno i najdawniej. Szumi bór, nad borem żurawie. Płyń z gór do morza, tam szybko i burzliwie, potem cicho i wolno, falą szeroką, do morza.

— Moje miasto. Moja rzeka. Ja.

Skończył. Nie biją oklasków. Cisza.

Stało się to błyskawicznie, z zawrotną szybkością, w mgnienie.

Silne ręce chwytają Kajtusia, unoszą, wynoszą z sali.

Chce krzyknąć, ale ciężka dłoń zasłania mu usta.

Zmęczony, nie może wydać rozkazu.

Nawet nie próbuje.

Kajtuś, już teraz doświadczony czarodziej, wie, kiedy myśl lotna zdolna jest do czarów, wie, kiedy gnuśna<sup>119</sup>, niezdatna do czynu.

Myśl! — Raz silna, młoda i bogata. Myśl! — Czysta, jasna i gorąca. Myśl! — Mądra, odważna, zuchwała. Myśl! — Dzika, dumna, wolna, własna.

<sup>119</sup>gnuśny — leniwy, unikający działania. [przypis edytorski]

Myśl! — Cicha, dobra, smutna. Myśl! — Lękliwa, spłoszona, spętana. Myśl! — Słaba, senna, ociężała.

Kajtuś bardzo — bardzo zmęczony. Bardzo zmęczony i leniwa myśl jego czarodziejska. Leniwa i bezsilna.

Niosą go. Wszystko jedno! Korytarzem, na dół, wąskimi schodami. Wszystko jedno. Ich jest czterech dorosłych i silnych, a Kajtuś jeden mały chłopiec. Oni uzbrojeni w rewolwery.

A Kajtuś bezbronny. Nawet skrzypce i smyczek wyjęli z bezwładnych rąk.

— Nie bój się.

Wcale się nie boi.

— Nic ci się złego nie stanie.

Ani się boi, ani dziwi.

Jest ich czterech.

Wybiegli na ulicę. Jeden niesie Kajtusia. Dwóch po bokach, czwarty otwiera drzwi samochodu.

Policjant zauważył. Za późno!

Siedzi Kajtuś we środku. Oni dwaj po bokach. Trzeci na przedniej ławce. Czwarty obok szofera.

Migają jasno oświetlone domy, sklepy. Kajtuś widzi, oczy ma otwarte, ale jego myśl śpi. Nic go nie obchodzi.

Porwany!

Zaledwie samochód stanął przed pięknym ogrodem, zajaśniała brama i sama się otworzyła. Zaledwie zajechali przed pałac, zapaliło się światło na marmurowym tarasie i we wszystkich oknach wspaniałego pałacu.

Lokaj zgiął się w niskim ukłonie i prowadzi Kajtusia po dywanie do gabinetu milionera.

— Proszę zaczekać.

Zabrał z biurka telefon i wyszedł.

Kajtuś został sam. Bardzo dobrze.

Jedną ścianę pokoju zajmuje wielka szafa, pełna książek dużych i małych. Na stole książki w bogatych oprawkach. Na trzech ścianach obrazy. Portrety nad biurkiem: jeden obraz przedstawia młodą kobietę, a drugi portret chłopca. Na biurku kałamarz, przy-cisk<sup>120</sup>, popielniczka, wiele różnych pamiątek kosztownych.

Usiadł Kajtuś przy stole na wygodnym fotelu i przegląda rysunki w książce. Jedne ciekawe, drugie nieciekawe. Nieuważnie, niecierpliwie przerzuca karty, czeka, patrzy na ścianę.

Kto jest ten chłopiec, do kogo podobny, kogo przypomina? Oczy tego chłopca już raz kiedyś widział.

Kajtuś przeciągnął się. Nudno. Ziewa. Myśl jego śpi.

Myśl! — Raz pamięta, raz błądzi i nie wie. Myśl! — Raz pyta się ciekawie, chce wiedzieć i szuka, woła, ściga, to znów kryje się i ucieka, nie umie i nie chce.

Myśl! — Posłusznie pracuje albo uparta odmawia posłuszeństwa.

Otwierają się cicho drzwi i stają przed Kajtusiem nieznanomy siwy pan z łoży — ze szpilką z brylantem, i Grey.

Grey podchodzi do Kajtusia, podaje rękę, gładzi ją, nie wypuszcza z dłoni.

— To bardzo dobrze, żeśmy się spotkali. Długo na ciebie czekałem — mówi.

— Pan na mnie czekał?

— Dziwisz się — mówi Grey — ale zrozumiesz, skoro ci wytłumaczę. Prawda, że grałeś nie z nut, a z pamięci? Prawda, że gdybym cię poprosił o powtórzenie, już byś teraz nie umiał? Prawda, że nie umiałbyś nazwać tego, co grałeś? Więc powiem ci. Ta pieśń nazywa się: Smutek. Ta pieśń nazywa się: Tęsknota. W smutku i tęsknocie więdnie duch człowieka albo zakwita. A kwiatem ducha jest natchnienie.

<sup>120</sup>przycisk — tu: przycisk do papieru, ciężki, zwykle ozdobny przedmiot, służący do przytrzymywania leżących luzem papierów. [przypis edytorski]

— Pani uczyła nas w szkole, że tylko poeci piszą w natchnieniu wiersze.

— O, nie. Każdy człowiek w natchnieniu nie tylko pisze, ale gra i śpiewa, i tańczy, poznaje i przeczuwa. W natchnieniu znajduje przyjaciela, zdobywa nowe dla siebie prawdy, odmawia własną modlitwę. W natchnieniu rozmawia z duchami tych, co umarli i narodzą się dopiero, rozmawia i ślubuje wierność tym, których nigdy nie widział — i brata się z człowiekiem i psem, gwiazdą, kamieniem i kwiatem.

Czy rozumiesz teraz, dlaczego, nie wiedząc, kim jesteś i gdzie przebywałeś, tęskniłem, szukałem i czekałem na ciebie?

— Nie rozumiem, może trochę rozumiem — przyznał się Kajtuś. — To bardzo trudne i nowe, o czym pan mi mówi, panie Grey.

Lokaj wniósł na srebrnej tacy kolację. Kajtuś teraz dopiero spostrzegł, że jest bardzo głodny: cały dzień nic prócz lodów nie jadł.

— No dobrze — mówi Kajtuś — jestem tu i jem z wami kolację. Wszystko bardzo mi smakuje: i wino, i sardynki, i tort, i kawior. Siedzę na wygodnym fotelu w pięknym gabinecie. Podoba mi się tu, ładnie tu. Odbyłem daleką i trudną drogę, zmęczyło mnie natchnienie. Z przyjemnością odpoczywam. Nie grozi mi tu nic. Pan się na mnie gniewa, panie Grey?

— Za co?

— Bez pozwolenia przeszkodziłem panu na koncercie. Bardzo pana przepraszam.

— Nie trzeba. Za dokonane piękne czyny przepraszać nie trzeba.

— No właśnie. Więc teraz wytłumaczcie mi, panowie, co się stało, co to byli za ludzie, dlaczego mnie porwano? Gdzie ja jestem?

— Jesteś w pałacu milionera.

Głosem cichym odezwał się teraz sąsiad Kajtusia z łoża na koncercie.

— Tak, jestem milionerem. Tu oto na ścianie widzisz dwa obrazy: tu wisi portret mojej żony, a tu portret mego synka. Byli, a już ich nie ma; żyli, ale już nie żyją. Jednego dnia o jednej godzinie, w jednym wypadku samochodowym zginęli oboje. Odtąd żyję samotny wśród obcych i niezyczliwych ludzi. Jestem bogaty i bardzo nieszczęśliwy.

— Zdaje się, że rozumiem. Dlatego কাছে mnie porwać?

— Tak. Chcę, byś został ze mną. Kupię ci wszystko, co zechcesz, dam wszystko, czego zapragniesz. Będę ci posłuszny. Możesz tu rozkazywać. Pokażę ci twoje pokoje — tam mieszkał mój synek. Zmienię wszystko tak, jak zażadasz. Jeśli lubisz podróżować, będziemy podróżowali; mam własny wagon salonowy i własny jacht. Możemy mieszkać w górach albo nad morzem, w Ameryce albo w Europie. Chcę, byś został ze mną.

Długie milczenie. Tylko zegar tyka.

— A co to byli za ludzie, ci czterej... panowie?

— To są moi detektywi, moja straż. Pilnują, żeby nikt na mnie nie napadł, żeby nikt do mnie nie strzelił.

— Ma pan wrogów?

Bogacz uśmiechnął się boleśnie.

— Mam wielu niezyczliwych. Głodni i bezrobotni myślą, że to moja wina; a bogaci zazdroszczą mi, że mam więcej od nich; chcą mieć jeszcze więcej, a ja im przeszkadzam.

— Więc niech pan nie przeszkadza, niech pan da pracę i chleb tym, którzy nie mają.

— Gdybym chciał nie przeszkadzać, musiałbym zamknąć wszystkie moje kopalnie, fabryki i składy. Bo kto u mnie kupuje, nie kupuje u nich. Byłoby jeszcze więcej rodzin biednych bez pracy, nowe tysiące bezrobotnych.

— Więc pana lubią te tysiące ludzi, którzy pracują w pana kopalniach, biurach i fabrykach?

— Nie, nie lubią mnie.

— Może mało pan im płaci?

— Gdybym więcej płacił, musiałbym sprzedawać swój węgiel i żelazo drożej, cena mojego sukna, mojej kawy i gumy byłaby wyższa: nikt nie będzie u mnie kupował. Od razu wszystko stracę.

— Więc dlaczego? — zaczął Kajtuś, ale nie skończył pytania.

Bo oczy ma otwarte i widzi, i słyszy, i czuje, ale myśl jego zmęczona zasnęła.

Grey spojrział na zegar.

— Późno już... Widzisz, chłopcze, myślą ludzie, radzą i różnie próbują. Jedni powoli i mozolnie, drudzy prędko, w natchnieniu. Teraz późno. Jeżeli tu zostaniesz, nieraz będziesz jeszcze rozmawiał ze swoim opiekunem. On bardzo pragnie, abyś z nim pozostał. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Milioner niespokojnie poruszył się w fotelu.

— Tak, wszystko zależy od ciebie. Widzę, że na biurku nie ma telefonu. Zabrał go pewnie lokaj. Nie, nie chcę cię więzić. Nie chcę i nie mam prawa. Możesz telefonować, do kogo chcesz, możesz pisać listy i sam je wrzucać do skrzynki pocztowej. Możesz zamknąć się na klucz w swoim pokoju albo wyjść pieszo do miasta. Nie dawaj mi dziś odpowiedzi. Ani jutro nawet. Zastanów się dobrze, czy chcesz zostać moim przybranym synem. A teraz jedno pytanie: czy nie będziesz się bał spać sam w swoim pokoju?

— Nie boję się — odpowiedział Kajtuś.

Milioner zadzwonił na lokaja.

#### ROZDZIAŁ SZESNASTY

Powrót do domu — Kajtuś poznał wroga — Katastrofa kolejowa — Spowiedź i śmierć detektywa

Myśl! — Silna, młoda, jasna i gorąca.

Myśl! Własna, hojna, dzika i zuchwała.

Myśl czarodziejska!... Myśl słaba, senna i lękliwa.

Myśl leniwa, bezsilna, bezbronna...

Kajtuś widzi i słyszy, oczy ma otwarte. Ale myśl jego śpi. Nic go nie obchodzi.

Ani się cieszy, ani smuci.

Wszystko mu jedno.

Pokój zabaw Kajtusia — to ogromna sala z dachem szklanym. W sali tej różne pokoje.

W jednym pokoju forteca i żołnierze. Armatki, małe samochody, małe wagony poruszane elektrycznością. Piechota, czołgi, konnica. Ten pokój dwa dni mu się podobał.

Drugi pokój — to chatka krasnoludków. Nie chce się bawić lalkami.

Trzeci pokój — wyspa Robinsona. Są papugi prawdziwe, gadające, i małpki uciészne. Są drzewa, które jak choinki można z miejsca na miejsce przestawiać. Jest wszystko do budowy namiotu. Skóry różnych zwierząt.

Dwa dni spędził Kajtuś na przyjemnej zabawie.

W czwartym pokoju zabaw jest sadzawka z prawdziwą wodą. Małe łódki, okręty, motorówki, łodzie żaglowe, rybackie. W wodzie ryby żywe, które można łowić na wędkę i w sieci.

Więc co? Puścił fontannę, złapał rybę i wrzucił do wody z powrotem. Rzucił łabędziowi piernik. Nie było tu nic do roboty.

W warsztacie pracował cały tydzień, ale więcej zepsuł, niż zrobił. Wszystko gotowe, już dopasowane; nie skaleczył się ani razu.

W pokoju bibliotecznym za dużo tych książek, że nie wiadomo, co wziąć, co czytać: wszystko wydaje się za mało ciekawe.

Nieciekawi i chłopcy, i dziewczynki — goście, których zapraszał milioner do wspólnej z Kajtusiem zabawy.

Chłopcy udają niby zuchów, a wolą się bawić lalkami niż w wojnę; o bandytach słuchać nawet nie chcą — tacy nastraszeni.

— Co ci jeszcze kupić, kogo jeszcze zaprosić? — pyta się milioner.

— Nikogo nie chcę. Tu wszystko jest; nie kupuj, nie przynoś, nie chcę, dosyć.

Czuje się Kajtuś jak ptak pochwycony w sidła, jak jaskółka przed odlotem w dalekie kraje.

Bo postanowił wrócić do Warszawy.

Już tam pewnie zapomnieli, już go nie szukają. Zatopili wysepkę na Wiśle, pewni, że rozstrzelali Kajtusia.

— Dlaczego nie grasz na skrzypcach?

— Po co?

— Dlaczego nie czytasz?

— Od czytania oczy się psują.

— Dlaczego się nie bawisz?

— Owszem. Później. Jutro.

Wróci Kajtuś do Warszawy, przepędzi sobowtóra, który jego miejsce zajął i pęta się tam bez potrzeby.

Jeśli nawet siłę czarodziejską utracił, wróci zwyczajnie. Zresztą udają mu się dawne, drobne czary, coś się tylko zepsuło.

Trzeba albo odpocząć, albo zacząć od samego początku.

„Chcę mieć pod poduszką torebkę z czekoladkami”.

Raz jest, raz nie.

„Chcę mieć w kieszeni złotówkę”.

Jest. Ucieszył się.

Ucałował mały, srebrny krążek.

Na ulicy.

„Chcę, by panu teczka wypadła spod pachy... Żeby ta pani kichnęła... Żeby pies szczeknął na dziewczynkę”.

Udaje się albo nie — tak właśnie, jak było z początku.

Trzeba jeszcze poczekać...

Doczekał się.

Milioner wyjechał, bo w dalekiej kopalni robotnicy zagrozili strajkiem.

Kajtusiowi udało się wyjść samemu z parku. Szybko zmieszał się z tłumem ludzi. Wsiadł w tramwaj. A gdy przekonał się, że nikt go nie pilnuje, zmienił twarz i ubranie i podążył do portu.

Na wielkiej białej tablicy wypisane są dni i godziny, kiedy wyruszają okręty. Kajtuś czyta. Zaczepił go młody pan:

— Te, chłopak. Czego tu szukasz?

— Szukam roboty.

— Daj dolara, to cię zaprowadzę, gdzie trzeba.

Kajtuś wręczył mu pięć dolarów; nie otrzymał reszty.

— No chodźcie, urwisy.

Teraz dopiero zauważył Kajtuś, że było chłopców z dziesięciu; zaprowadził ich pan do biura; brudnego baraku drewnianego.

— Zaczekajcie tu, obdartusy.

Wolają ich po kolei do pokoju, na egzamin.

— Jak się nazywasz, ile masz lat, gdzie mieszkasz, czy chodziłeś do szkoły?

— *What is your name?*<sup>121</sup> — *Wie alt bist du?*<sup>122</sup> — *Ou demeures tu?*<sup>123</sup> — *Andato a scuola?*<sup>124</sup> — pyta się pan z fajką w zębach.

Kajtuś odpowiada po angielsku, po niemiecku, po włosku. Kłamię w czterech językach. To nic: zapisują do książki biurowej.

— Pokaż ręce. Pokaż zęby. Hm, hm! Przeczytaj to — to.

Na brudnej, zatłuszczonej kartce dwa zdania: „Nie kraść. Słuchać się”.

— Zrozumiałeś?

— Tak.

Młody szepnął coś do ucha panu z fajką. Ten wziął w lewą rękę kij i uderzając Kajtusia wskazującym palcem po nosie, groźnie w czterech językach powtórzył:

— *Be obedient!* — *Geborsam sein!* — *Sois obeissant!* *Sii ubbidiente!*<sup>125</sup> — Zrozumiałeś?

<sup>121</sup> *What is your name?* (ang.) — Jak się nazywasz? [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *Wie alt bist du?* (niem.) — Ile masz lat? [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *Ou demeures tu?* (fr.) — Gdzie mieszkasz? [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *Andato a scuola?* (wł.) — Czy chodziłeś do szkoły? [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *Be obedient! Geborsam sein! Sois obeissant! Sii ubbidiente!* (ang., niem., fr., wł.) — Bądź posłuszny! [przypis edytorski]

— Tak.

— Podpisz imię i nazwisko. Tylko nie pomyśl się. Musisz napisać to samo, co w twojej fałszowanej metryce.

— Papiery moje nie są wcale fałszowane.

— Milczeć! Dobry jesteś kwiatek.

Tak dostał się Kajtuś na okręt.

Na ten sam, którym przyjechał do Ameryki, ale teraz nie jako gwiazda filmowa, nie w towarzystwie sekretarza, lekarza, nauczyciela, nie jako pasażer pierwszej klasy; nie pieszczoch i kapryśny panicz, ulubieniec pięknych pań i eleganckich panów wraca do domu.

Niechętnie przyjęli go chłopcy-koledzy.

— Masz jakie rzeczy?

— Nie mam. Nie zdążyłem zabrać.

— Ile łapówki dałeś?

— Żadnej łapówki nie dałem — mówi Kajtuś.

— Głupiemu gadaj, ale nie nam. Bez ciebie by się tu obyło. Cztery języki zna, a buty dziurawe. Rączki jak u panienki, a we łbie pewnie wszy.

Kajuta ciasna, ciemna. Kajtuś usiadł na skrzynce, bo krzesła nie było.

— Kto ci się pozwolił rozsiadać na moim kufierku? Stój i czekaj, dopóki miejsca nie znajdziemy. Gdzie on będzie spał? W naszej kajucie i tak duszno; wy go weźcie do siebie.

— A nas też jest pięciu.

— Takis mądry?

— No. Przyjęli go na miejsce Michała, to i spać będzie tam, gdzie spał Michał. Ty właśnie jesteś za cwany.

— Stul pysk. Dwa miesiące służy, a jaki ma rezon<sup>126</sup>. Popływaj rok jak ja, będziesz miał prawo gadać. Ja tu rządzę.

— Świat się dziwi! Rok pływa. Jaki wielki weteran. Mój ojciec dwadzieścia lat jest marynarzem — jeszcze za nieboszczyka kapitana, na „Posejdonie”. Ma dwa medale za ratowanie tonących.

Już mieli się wziąć za czuby, gdy do pokoju wszedł „rudy”, starszy lokaj z kredensu. Jemu powierzona była opieka nad chłopcami.

I on źle przyjął Kajtusia. Trochę pijany przed podróżą, zły, że ktoś bez niego wkręcił na okręt chłopaka.

— Gdzie ten nowy? Równiej stój, pokrako. Lalus! Zaraz pewnie dostanie morskiej choroby.

— No właśnie. Nieporządku narobi w kajucie. Niech w sionce śpi.

— Milczeć! Tam będzie spał, gdzie ja każę. Pokaż zęby, czy myte? Pokaż ręce. No, no. Stań przy drzwiach. Nogi razem. Ukłoń się.

Kajtuś się uklonił.

— Jeszcze raz. Kto cię tak nauczył? Równemu się kłaniasz? Łeb w dół, gęby nie podnosić. Niżej, jeszcze niżej.

Chwycił Kajtusia za ramię i gniecie, i trzęsie, i pcha.

— Podaj szklankę wody. Żywo ruszaj się. Nie tak. Nie z tej strony. Uśmiechnij się, karawaniarzu<sup>127</sup>. Źle. Jeszcze raz. Masz zapalki. Weź pudełko do kieszeni.

Rudy usiadł, włożył do ust papierosa, zawołał:

— Chłopiec, ognia!

Kajtuś stoi.

— Ognia, rozumiesz, durniu? Podaj zapaloną zapalkę.

A Kajtusiowi ręce drżą. Chłopcy się śmieją. Zapalki sypią się na ziemię.

Kajtuś zbiera zapalki, a z oczu płyną łzy.

— No dosyć, kaleko. Na oczy mi się nie pokazuj, dopóki cię nie wytresują.

<sup>126</sup>rezon (z fr. *raison*) — pewność siebie, śmiałość, rezolucyjność. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>karawaniarzu — człowiek kierujący karawanem, pojazdem przewożącym ciało zmarłego w orszaku pogrzebowym. [przypis edytorski]

Zaczęli Kajtusia tresować. Dali zielony fraczek ze złotymi guzikami. Zaczęła się służba. Próbują, czy Kajtuś posłuszny, czy pracowity, czy nie ma długiego języka, czy nie będzie donosił.

— Te, karawaniarz! Zastąp w kuchni, bo mnie głowa boli.

— Te, idź do czytelnicy gazet, a ja będę w klubie.

— Dobrze — zgadza się Kajtuś.

W kajucie klubowej pasażerowie w karty grają: tam o napiwek łatwiej i weselej i można znaleźć pieniądze na podłodze, i nawet bardzo ostrożnie, przy podawaniu, strącić palcem ze stołu na podłogę papieraek.

Nie wolno powiedzieć, że go prosili o zmianę.

— Dlaczego ty jesteś w czytelnicy?

— Omyliłem się. Nie dosłyszałem rozkazu.

— Dyżur karny, całą noc przy ustępie.

Dobry kolega! Dziwny jakiś: smutny, na wszystko się zgadza. Ani zażartuje, ani się pośmieje. Nie wiedzą chłopcy, jaki Kajtuś dawniej był wesoły: aż nawet zanadto!

Jak oni zwachają od razu, gdy Kajtuś dostanie napiwek. Zaraz:

— Zagrasz w karty?

— Dobrze.

Wie, że mają karty znaczone. Prędko przegrywa dolara i idzie spać do sionki. Wie, że trzy razy uderzą go drzwiami, gdy nocni wracać będą do kajuty pikolów<sup>128</sup>.

Wszystko jedno: niedługo.

Byle okręt zawinął do portu.

Wyszedł Kajtuś po służbie na pokład, patrzy na morze i myśli:

„Biedny Michał. Leży teraz w szpitalu, może już nie żyje. Już wtedy był chory”.

Kajtuś zastępuje właśnie miejsce Michała. Pamięta bladego chłopca, który tak się smutnie uśmiechał. Bo Kajtuś zna ich wszystkich, tych swoich kolegów, z którymi doktor wtedy nie pozwalał się bawić. Dał im wszystkim po dziesięć dolarów, gdy stali pochyleni w niskim ukłonie — gdy Kajtuś „król wód” i zwycięzca Murzyna — gdy gwiazdą filmową wysiadał<sup>129</sup> z okrętu.

Raz Michał miał dyżur w pływalni. Podawał właśnie ręcznik Kajtusiowi — gdy się zakasłał<sup>130</sup>. Taki się zrobił czerwony, widać było, że całą siłą pragnie zatrzymać kaszel. Zaraz nauczyciel gimnastyki wyrwał Michałowi ręcznik i potem już tylko raz widział go Kajtuś, gdy rękę wyciągnął po napiwek i cicho szepnął:

— Dziękuję.

Patrzy Kajtuś na morze i myśli:

„Czy ci chłopcy są źli, czy dobrzy, czy naprawdę źli, czy tylko zepsuci?”.

Dziś słyszał taką ich kłótnię:

— Poczekaj, złodzieju. Jak mi nie oddasz tych dwudziestu centów, powiem rudemu, skąd masz ten ołówek. Myślisz, że nie widziałem? Nie bój się; ja po ciemku także dobrze widzę. W sali kinowej ten szczeniak filmowy zapisał coś i położył na stole. A ty podałeś lemoniadę i zgoliłeś.

— Dobrze, powiedz, a ja powiem o twojej butelce wina z kredensu. Ja ołówek darowałem rudemu, a wino ty sam wychlałeś.

Dopiero zrozumiał Kajtuś, dlaczego nie mógł wtedy znaleźć ołówka w srebrnej oprawie. I dziwi się, że można kraść i uśmiechać się mile, kłaniać się do pasa i nazywać szczeniakiem.

I tam, i tu, i wtedy, i teraz. Dlaczego wreszcie są biedni i bogaci, dlaczego się tak nie lubią?

Przecież słońce dla wszystkich jednakowo świeci.

Patrzy Kajtuś na morze i na niebo, i zachodzące słońce. Słucha, jak śpiewa po włosku pasażer pierwszej klasy, ten dyplomata włoski, dla którego mu kazał rudy być szczególnie

<sup>128</sup>pikolo (z wł. *piccolo*: mały) — tu: chłopiec usługujący w hotelu, restauracji itp. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>gwiazdą filmową wysiadał — dziś: wysiadał jako gwiazda filmowa, będąc gwiazdą. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>zakasłać się — zanieść się kaszlem. [przypis edytorski]



grzecznym.

— Umiesz „*parlare italiano*”<sup>131</sup>, więc gadaj. I sam zarobisz, i okrętowi reklamę przyczynisz.

Ale Włoch tylko z daleka uważnie się Kajtusowi przygląda, ani razu go nie zaczepił. Za to drugi pasażer często zagadywał i uśmiechał się do Kajtusia.

Chłopcy nazywali go dziadem, bo był niedbale ubrany, albo „ślepy”, bo nosił ciemne okulary.

I teraz też w okularach.

— Aa, pikolo, nie śpisz?

— Nie śpię, jaśnie panie.

— I patrzysz na morze?

— Patrzę, jaśnie panie.

— I tak sobie myślisz?

— Myślę, jaśnie panie.

— I pewnie ci smutno, tęsknisz? Napij się odrobinę, kochanie.

Kajtuś wyciąga rękę, ale czuje ten sam zapach wina: wtedy na cmentarzu i wtedy w cyrku w Paryżu.

— No pij, będziesz dobrze spał.

Kajtuś nagłym ruchem wytrąca kieliszek z ręki — i:

— Zgiń, maro przeklęta.

Dziad chwycił za poręcz, jęknął przeciągle, jakby zawył, i znikł nagle, jak nagle był się zjawił.

Kajtuś rozejrzał się niespokojnie, ale na pokładzie nie było nikogo. Z dała Włoch, odwrócony tyłem — śpiewał dalej: nie widział.

Wrócił Kajtuś do kajuty.

— Dziś z nami możesz spać. Przekonał się, że jesteś dobry kolega. A w sionce niewygodnie; budzą cię.

— Dziękuję.

Tu nikt nie budzi Kajtusia, ale i tak nie śpi.

Więc zna już swego wroga. Znów chciał go spoić i może utopić albo nowe wywołać brewerie<sup>132</sup>. Nie, nie będą wariował. Nie na to zostałem czarodziejem. To pierwszy lepszy błazen szkolny potrafi i nawet bez wina ze srebrnego kubka. Pewnie będzie się mścił. Nie szkodzi. Przekonałem się teraz, że jestem silniejszy od niego. Co będzie jutro, gdy zobaczą, że nie ma dziada? Czy przyznać się, że go widział ostatni i że z nim rozmawiał?

Ale stary w ciemnych szklach przyszedł na śniadanie. Jakby nigdy nic, jakby nie on wcale.

— Dlaczego chcesz mnie zgubić? — groźnie zagadnął go Kajtuś.

— Zdawało ci się, kochanie. Nic nie wiem, nie pamiętam.

Uśmiecha się, ale nie oszuka Kajtusia.

— Pilnuj się. Nie wchodzi mi w drogę, bo pożałujesz — szepce Kajtuś.

Ostatniego na okręcie wieczora radio obwieściło, że najnowszy przebój, arcydzieło tajemniczej gwiazdy — *Dziecko garnizonu* — jest już w Europie i wyświetlony będzie we wszystkich kinach miast.

„Jeśli został porwany, odnajdziemy go — głosił komunikat — by wziął udział w nowym obrazie. Jeśli pochłonęło go morze, *Dziecko garnizonu* będzie jedynym, ale tym cenniejszym pomnikiem jego gry”.

— Te, karawaniarz. Zafundujemy ci kino, żebyś źle o nas nie myślał. Wiemy, że ty nie masz forsy, bo wszystko w karty przegrałeś.

Uśmiechnął się Kajtuś. Pożegnał się i poszedł.

<sup>131</sup>*parlare italiano* (wł.) — mówić po włosku. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*brewerie* — awantury, kłótnie. [przypis edytorski]

Zmienił twarz i ubranie.

Pociąg odchodzi za cztery godziny. Więc co robić? Poszedł do kina.

Mysłał, że może przyjemnie mu będzie widzieć na obrazie siebie. Ani trochę. Naiwny był w swych marzeniach o sławie. Kwiaty więdną, oklaski cichną, światła gasną. Wraca człowiek do domu zmęczony, smutny i jeszcze bardziej samotny. Jedno w sławie jest piękne: że bawi ludzi i wzrusza, że pociąga, porywa, że przynosi ludziom pożytek. Ale to jest dobro, które może być ciche i bliskie, dla swoich i tych, z którymi się sam człowiek, a nie obraz jego czy nazwisko spotyka.

W scenach zbiorowych poznaje Kajtuś zbiedzonych, poniewieranych aktorów okrutnego miasta. I nie obrazy ekranu ogląda Kajtuś, ale swoje wspomnienia.

Dosyć.

Spojrzał na zegar, nie czekał do końca. Chodzi po bogatych ulicach, a potem po biednych.

— Wszędzie tak samo. Już lepiej na dworcu.

Kupił gazetę i szuka wiadomości z Warszawy; już jutro ją zobaczy.

Serce mocniej zabiło, gdy pociąg ruszył.

Może po drodze wstąpić do Zacisza?

Pewnie, że przyjmą go radośnie.

Do domu — do swoich — do siebie!

Jeden tylko w przedziale siedzi pan z długą czarną brodą. Miejsca dosyć: można się wyciągnąć na ławce po wielu nocach spędzonych w niewygodnej sionce okrętu.

— Spać, spać.

Wyjął z walizki gumową poduszkę, nadmuchał, nakręcił, żeby powietrze nie wyszło — położył pod głowę.

Wagon kołysze się, koła uderzają o połączenia szyn. Przyjemna melodia, kołysanka podróży.

Nagle rozległ się ogłuszający trzask. Wagon skoczył w górę, zatrzymał, pochylił się w bok, raz jeszcze posunął się gwałtownie. Przewrócił się.

Światła zgasły. Rozległy się krzyki i jęki w ciemności.

Kajtuś rzucony ze swej ławki.

„Żyję, jestem zdrów i cały”.

Jak się wy dostać? Część wagonu, gdzie były drzwi, połamana.

Kajtuś wspina się ku oknu, które teraz jest jakby w suficie.

Jęki i wołania o pomoc coraz głośniejsze. Aż stało się to najgorsze: pożar.

Byłby spłonął żywcem, ale wagon oderwał się i spadł z nasypu, w ścianie utworzył się wylom.

Już ma Kajtuś opuścić nieszczęśliwy pociąg, gdy nagle usłyszał błaganie:

— Antoś, ratuj!

Kto go tu zna, kto wołał po imieniu?

— Ratuj! Powiem ci wszystko.

Jego towarzysz jęczy, zgnieciony przez dwie deski wagonu.

Światło pożaru pada na twarz śmiertelnie bladą. Kajtuś przygląda się zdumiony: broda się odkleiła; ranny to Włoch z okrętu.

— Pomóż, przecież ci łatwo, bo jesteś czarodziejem.

Ach, prawda.

Po chwili nieznamy leżał z dala od płonącego pociągu na trawie.

— Dziękuję ci. Słuchaj. Jestem detektyw Filips. Należy ci się nagroda. Wiem wszystko. Wysłałem do Warszawy depezę, żeby cię aresztować na stacji. Chciałem się porozumieć z tobą, ale on przeszkodził. Ten „ślepy” z okrętu; widziałem wszystko w lustrze; zawsze mam je przy sobie. Strzeż się go: jedzie tym samym pociągiem. Śledziłem cię krok w krok. Wyspę sam zatopiłeś, a nie kule armatnie. Kasjer mówił, że chłopiec chciał kupić bilet do Paryża. Gdzieś w drodze musiałeś się zatrzymać. Walki z bokserem nie widziałem, a potem — popis pływacki i w Hollywood. W czapce niewidce rozdawałeś bezrobotnym złote monety... oni je gubili. Jedną ręką wyciągnąłeś z błota samochód.

Katastrofa

Znikleś mi. Koncert Greya... Pilnowali cię detektywi i ja... Tamtym uciekleś... Ja z tobą na okręcie... Twój pomocnik... On wszystko złe... On... Jedzie... Wróg... Wykoleił... Boli. Nie ja... Nie gniewaj się... — Piękna śmierć... Nawet czarodzieja... Tak... Raport... Ty... Raport... Filips nie żyje.

Kajtuś odkleił do reszty zwisającą brodę przyklejoną i zaniknął Filipсовi oczy. Ręce skrzyżował mu na piersiach.

#### ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY

Kajtuś dwa razy aresztowany — Trzy razy uniknął śmierci — Ulepszona czapka niewidka — Wichrem porwany

Sławny detektyw Filips zginął w katastrofie kolejowej.

— To źle, to bardzo źle. To smutne, to bardzo smutne — powiedział naczelnik policji kryminalnej. — Straciliśmy najzdolniejszego pracownika. Nikt nam go nie zastąpi.

— To dobrze, to bardzo dobrze. To wesołe, to bardzo wesołe — mówili międzynarodowi złodzieje, oszuści i włamywacze. — Nikt jego nie zastąpi.

Filips przez lat dwadzieścia niezmordowanie ścigał i tropił przestępców. Brał sprawy najtrudniejsze. Pracował sam. Pociągiem i samolotem, jachtem i motocyklem, z miasta do miasta, z hotelu do hotelu — zawsze w podróży. Często całymi tygodniami nie wiedział nikt, gdzie się podziewa. Dopiero kiedy poznał całą bandę i herszta — dawał znać o sobie.

Gdy sprawa była trudna, a zazdrośni koledzy mówili:

— Filips nie pokazuje się, bo się wstydzi. Tym razem mu się nie uda.

Nagle przychodziła depesza.

Zamawiam pięć metrów płótna i dziesięć metrów sukna pod adresem takim i takim.

Znaczyło to, że ma być pięciu policjantów i dziesięciu agentów tajnych.

Podczas aresztu<sup>133</sup> stał zawsze z daleka, przebrany za damę w sukni. Stał z rewolwerem gotowym do strzału. Ale nie strzelał.

Mówił zawsze:

— Wasze zadanie to prędko i mocno pochwycić, kogo należy, moje zadanie: pilnować, żeby kto z gapiów nie dostał kulą.

Gapie — to ci przechodnie ciekawi, którzy zbierają się tłumnie, gdy jest awantura; oni najwięcej przeszkadzają.

— Jak złapać wilka, gdy w lesie drzewa go zasłaniają?

Dumny był, że nikt nigdy nie był ranny podczas aresztowania.

— Zdrowa policja powinna wylawiać zdrowych złoczyńców spośród zdrowych gapiów. Aresztuj ludzi, a nie siekane kotlety.

Nie podobało się kolegom, że za długo zwleka. Już wie, już zna bandytę, chodzi z nim krok w krok, a nie pozwala wsadzić do więzienia.

— Ich pośpiech pomaga nam pochwycić, a nasza poważna robota przeszkadza im się ukryć. Śpieszyć się, to złapać mniej winnego, a zostawić na wolności tego, kto winien najbardziej. Trzeba wrzód rozciąć szeroko, żeby się cała ropa wylała.

Kiedy policja szukała dwóch bandytów w Berlinie, Filips przyłapał nie dwóch, a dziewięciu, i nie w Berlinie, ale w Wiedniu. I tak zawsze; więcej, niż sądzili, i nie tam, gdzie myśleli.

Niebezpieczny był „modniś z walizką”. Był to herszt oszustów; nosił zawsze małą walizkę z bombą o wielkiej sile wybuchowej.

— Drogo sprzedam wolność — odgrażał się.

Dwa miesiące chodził i jeździł za nim Filips. Wreszcie z jednym tylko mundurowym policjantem, w teatrze, podczas przedstawienia.

— O, temu proszę nałożyć kajdanki.

— Mnie kajdanki? — i modniś pokazał walizkę.

<sup>133</sup>podczas aresztu — dziś popr.: podczas aresztowania. [przypis edytorski]

— Nie szkodzi. Zamieniłem walizkę. Pana bomba jest u mnie, a moja bomba nikomu szkody nie przyniesie.

— Kłamiesz pan.

— Możesz pan sprawdzić. Nie jestem oszustem. Włożyłem tam nawet kartkę wizytową.

Modniś zbladł.

— Proszę nie rozmawiać, bo to przeszkadza — rozgniewał się sąsiad Filipa.

— Przepraszam bardzo — skromnie odpowiedział Filip.

I już siedzą cicho do końca przedstawienia. Modniś w kajdankach też wysłuchał do końca, tylko już klaskać nie mógł.

Filips wysłał do Warszawy depezę tej treści:

Wtorek. Sprzedać żrebaka. Sto metrów atlasu<sup>134</sup>, sto pluszu i sto jedwabiu.

Znaczyło to:

— Aresztować młodego chłopca. Na dworcu ma oczekiwać stu policjantów, stu towarzyszy ma w drodze do więzienia i stu pilnować w więzieniu.

— Chyba jakaś omyłka.

— Poczekajmy na drugą depezę.

Myśleli, że otrzymają dokładne wskazówki, bo Filip zawsze kilka depeż wysyłał: jeżeli jedną ktoś zdradzi, też mu niewiele pomoże.

Ale nie. Już jest wtorek. Ludzie się dziwią, że tyle policji na dworcu. Pociąg nadchodzi. Czekają, szukają między pasażerami, którzy wysiadają z wagonów.

Filipsa nie ma, a z wagonu pierwszej klasy z bandażem na czole wysiada Kajtuś.

— Stój. Kto cię zranił?

— Nikt. Podrapałem się. Pociąg się wykoleił.

— A gdzie są ojciec i matka?

— Ten pociąg nie miał ojca ani matki.

— Nie udawaj głupca. Z kim jechałeś?

— Z panem Filipsem. Ledwo mi się zdążył przedstawić.

— Dlaczego?

— Bo kitę odwalił<sup>135</sup>.

— Założyć chłopakowi kajdanki.

— Bardzo mi przyjemnie.

Starszy konwoju<sup>136</sup> jest wściekły.

— Co to wszystko znaczy? Prawda, że żrebak cwany i zuchwały; ale po co stu ludzi dla jednego malca?

Odesłał ludzi do koszar i sam wsiadł z Kajtusiem do więziennej karetki<sup>137</sup>.

Ruszyli.

— Usiądź, czego stoisz?

— Muszę patrzeć przez kratkę, żeby mnie za daleko nie zawieźli — mówi Kajtuś.

— A ty gdzie chcesz?

— Nie do ula<sup>138</sup>: do domu. Znadto pan ciekawy.

Kajtuś niby żartuje, ale jest niespokojny i rozdrażniony.

— Takie przywitanie, jakie było pożegnanie z miastem rodzinnym.

Uśmiechnął się boleśnie.

— No dosyć.

Westchnął głęboko, spojrzął na swoje ręce, na ręce dozorczy. Zmarszczył brwi. Wydał rozkaz.

<sup>134</sup>*atlas* — miękka tkanina, która ma jedną stronę błyszczącą, a drugą matową. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*odwalić kitę* (wulg.) — umrzeć. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*konwoj* — tu: grupa strażników wyznaczonych do pilnowania więźnia podczas transportu; *starszy konwoju*: dowódca takiej grupy. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*karetka więzienna* — pojazd przeznaczony do przewozu aresztowanych i więźniów. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*ul* (pot.) — więzienie, areszt. [przypis edytorski]

— Czego się na mnie gapisz?

— Zaraz się pan dowie.

Westchnął. Powtórzył żądanie.

— Przyjemnej drogi panu naczelnikowi — mówi Kajtuś uprzejmie i otwiera drzwi więziennej karetki.

Starszy konwoju z kajdankami na rękach i kneblem w ustach jedzie klusem do więzienia, a żreback wysiada.

Zrozumiał teraz zarozumialec, że Filipś miał słuszność.

A Kajtuś rozgląda się ciekawie po mieście.

Nic się tu nie zmieniło. Te same sklepy i kina; tak samo ogłoszenia na słupach; tacy sami przechodnie.

Nic się nie zmieniło, tylko Kajtuś już inny.

Przechodzi obok swojej szkoły. Przystanął przed bramą i słucha, jak brzęczą głosy.

Ubrał czapkę niewidkę na głowę i wchodzi na podwórko.

Poznaje kolegów, urosli. Ot, dzieciarnia, co oni wiedzą? Bawią się, gonią, popychają — śmieją się bez troski.

— Nieprawda! Mają swoje dziecinne smutki i obawy, i obowiązki.

Skrzywił się Kajtuś, zobaczył sobowtóra, jak gra w klasy. Jakim życiem żyje ta dziwna mara wywołana przez niego. Czemu drażni go i niepokoii? Przecież sam tak chciał.

— Pójdę. Nie mam tu co robić.

Otworzył furtkę szkolnego podwórka.

— Hej, kto tam wychodzi? — zawołał woźny.

Wyszedł niewidzialny Kajtuś, a woźny za nim.

A przez ulicę właśnie przechodzi chłopak.

— Czego się tu kręcisz? Dlaczego bramę otwierasz?

— Co? Ja bramę? Czego pan chce ode mnie?

— Wiesz, łobuzie, czego chcę.

— Nie wiem.

— Nie odgaduj, bo oberwiesz. Marsz stąd!

— Właśnie idę.

Widzi Kajtuś rumieniec gniewu i iskry buntu w oczach chłopaka. Pamięta, ile razy niesprawiedliwie jego posądzali.

Co robić, żeby człowiek ufał człowiekowi? Niesłuszne podejrzzenia budzą mściwość, a nieufność zabija prawdę w człowieku.

Gdyby można było wszystko wszystkim mówić!

Aż się łzy zakręciły w oczach.

Szybko przeskoczył mur, wrócił na podwórko szkolne. Akurat dzwonek. W zamieszaniu łatwo mu było zatrzymać i zniszczyć sobowtóra. Wrócił do dawnej postaci. Precz odrzucił czapkę niewidkę.

— Ja — to znów ja. Jestem znów dawny Antoś.

Gwizdnął i biegnie do swojej klasy. Gładzi ręką ławkę jak wiernego konia. Wstaje, gdy wszedł nauczyciel. Wyjął z teczki książkę i zeszyt. Słucha uważnie. Jakby zapomniał zupełnie o tym, co było. Niezbyt ciekawa godzina rachunków upłynęła szybko.

Koniec dnia szkolnego. Biegnie do szatni, w korytarzu spotyka panią.

— Antoś, dlaczego czoło masz skaleczone?

— Nic. Głupstwo.

Już na ulicy i na schodach, i już widzi mamę. Rzucił się matce na szyję i mocno przycisnął.

— Mamo — nic więcej powiedzieć nie może.

— A tobie co się stało? Co to? Dlaczego głowę masz skaleczoną?

— To nic. Głupstwo.

Ale mama żąda odpowiedzi.

— Ach, mówię przecież. Skaleczyłem się. Uderzyłem.

— Powiedz, Antoś, prawdę.

— No, pociąg się wykoleił. Nie czytała mama w gazecie?  
 — Jaki pociąg? Co ty wygadujesz?  
 — Nie warto o tym mówić. O której ojciec wróci? Znow będziemy razem. Tak przykro, gdy was nie widzę.  
 — Myślałby kto... Któż cię goni, że w domu chwili nie usiedzisz?  
 — Co słyhać nowego?  
 — Tyle się tylko zmieniło, że rano gotowałam kawę, a teraz zupę.  
 Bo mama ani wie, że rano wyszedł do szkoły sobowtór, a teraz wrócił do domu Kajtuś prawdziwy.  
 — A ty byś, mamo, nie chciała odbywać dalekich podróży okrętem?  
 — Kto by ci cerował pończochy, gdybym podróżowała? Patrz, jaką wywierciłeś dziurę.  
 — To nie ja wcale.  
 — Wiem, że nie ty, tylko twoje nogi. Oj, chłopcze, kiedy się uspokoisz?  
 — Od dziś... od zaraz.  
 — Powiedziałabym, że to chyba czary.  
 Mama ceruje, coś na kominie przestawi, zamiesza: a Kajtuś siedzi na niskim stołku i tak mu dziwnie i dobrze, jak dawno nie było.  
 — Tak, Antosiu. Ty wychodzisz do szkoły albo z kolegami, a ojciec do pracy; a ja sama ze swymi myślami. Od śmierci babci ani z kim porozmawiać, ani się poradzić, ani użalić. Ciągłe w niepokoju o was.  
 Kajtuś przycisnął do ust rękę matki.  
 — Powiedz, kto cię tak podrapał?  
 — Ty powiedz lepiej, co było, jak byłaś mała, opowiedz o ojcu i o babci, o mnie i o Helence.  
 — Helenka spokojniejsza była od ciebie. Może, bo dziewczynka, a może — bo mała. Choć ty zawsze urwis byłeś, już w kołysce samego nie można było zostawić: rozkopie się i chce wstać, a od świtu gada.  
 Mama mówi, czas szybko upływa. Wrócił ojciec.  
 — Oto masz swego gagatka. Patrz, cały podrapany, katastrofa kolejowa go spotkała. Czyta głupie kuriery<sup>139</sup>, a potem myśli o tym i bajdurzy. Oj, daleś mi syna.  
 — Ty mi dałaś nicponia. Pokaż no się, Antek. Wiesz, stary dostał obstalunek<sup>140</sup>. A już źle było, nie chciałem ci tylko mówić. Teraz znow będzie robota na parę miesięcy. Ale wiesz, Antoś, dziwne te twoje rany: wyglądają jak nie dzisiejsze, a jakieś stare.  
 — No właśnie. Onegdaj<sup>141</sup> była katastrofa.  
 — Och, chłopcze, muszę ja ciebie ukarać.  
 — Jak ojciec straci cierpliwość?  
 — Ano stracę... stracę.  
 — Jemu się — mówi mama — żarty w głowie trzymają, a ja aż drzę, jak narwaniec z domu wychodzi.  
 Jedzą. Rozmawiają o obstalunku, o pracy. A Kajtuś myśli:  
 „Powiedziałem prawdę. Sami winni, że nie uwierzyli. Ale teraz będzie inaczej. Nie będzie się ojciec martwił, że straci robotę, i mama nie będzie się bała. Teraz życie spokojne — i dobre serce. Od jutra. Nie, od dziś”.  
 Pomógł mamie zmywać i zasiadł do lekcji. Nie wie, biedak, co jeszcze go czeka.

Umarł znany pisarz. Będzie uroczysty pogrzeb z muzyką. Pogrzeb  
 Duże miasta lubią ładne pogrzeby. Bo jeżeli pogoda, czemu nie iść popatrzeć, nie spotkać się ze znajomym, nie porozmawiać? Nad grobem są różne mowy; czemu nie posłuchać?  
 Wybierają się wszyscy na pogrzeb, wybrał się i Kajtuś. Ale że mały, więc rady dać nie może.

<sup>139</sup>kurier (tu daw.) — gazeta. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>obstalunek — zamówienie, zlecenie wykonania czegoś. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>onegdaj (daw.) — przedwczoraj; także: kiedyś. [przypis edytorski]

Na takie tłumne pogrzeby idą chętnie także złodzieje, bo w tłoku łatwiej dostać się do kieszeni z sakiewką albo z zegarkiem. Wie o tym policja i posyła tajnych agentów.

Kajtuś o tym nie wiedział; więc kiedy go ze wszystkich stron ścisnęli, włożył czapkę niewidkę i na niewidzianego łokciami i kolanami drogę sobie toruje.

I był już nawet blisko karawanu. Bo łatwiej tak. Nadejście komu na nogę albo pięścią w bok poczęstuje; ten się odwrócić nawet nie może; zaraz kłótnia, że to niegrzecznie i ordynarnie; a tymczasem Kajtuś już dalej i dalej robi zamieszanie i w zamieszaniu korzysta.

Zwyczajni gapie nie zwrócili uwagi, ale agent czuwa. Od razu poczuł, że go ktoś dotyka, przyciął się i — łap Kajtusia za rękę, nie patrząc nawet wcale.

— Puść pan.

— Nie puszczę. Zdejm czapkę. Jesteś czarodziej.

Ano, wpadł. Trudno. Niedobrze się stało. Zrzucił czapkę niewidkę i idzie pokornie.

Prowadzi go łapacz i rozmyśla, co robić dalej. Czarodziej to zdobycz nie lada. Największym detektywom się nie udawało. Naczelnika konwoju wyprowadził w pole. Filipś zginął przez tego żrebaka.

„Jeżeli go oddam w policji, dostanę nagrodę. Lepiej zrobić się jego współnikiem”.

Kajtuś zmienił twarz, bo go może zechcą fotografować. Nie boi się: jest w formie, jak mówią sportowcy. Wymknie się z więzienia.

Łapacz jakby się domyślił, bo mówi łagodnie, prawie prosi:

— Tylko nie uciekaj. Nic ci złego nie zrobię.

Zaprowadził Kajtusia do zwyczajnego aresztu.

— Co to za chłopak? — pyta się dyżurny przodownik. — Z pogrzebu pewnie?

— A tak, z pogrzebu.

— Jak ci nie wstyd? Dobry ty jesteś numerek. Pokaż, co ukradłeś?

— Nie — mówi agent. — Może chciał, tylko nie zdążył. A może mi się zdawało.

Czeka, aż zostaną we dwóch.

— Słuchaj, chłopcze. Jesteś w moich rękach.

— No bo co? Jestem.

— Wiesz, że za twoją głowę wyznaczona nagroda?

— Wiem. Czytałem.

— Ale mi ciebie żal. Jeżeli się zgodzisz, będzie nam obu dobrze. Sam widzisz: głupstwoś palnął. Bo nie? Kto mądry w tłumie ubiera czapkę niewidkę? Za mały jesteś. Nie umiesz sam. Więc naucz mnie czarów; będziemy sobie pomagali. No co? Jak ci się ta myśl podoba?

— Owszem. Bardzo dobra.

— Więc zgadzasz się?

— Nie zgadzam się.

— Wolisz zginąć w kryminale albo dyndać na sznurku?

— Na jakim znów sznurku?

— A tak, powiesz cię. Mnie, uważasz, na twoich czarach tak znów nie zależy; ale podobasz mi się.

— I pan mi się podoba; ale muszę już iść do domu, bo mama będzie niespokojna.

— Głupi jesteś.

— Zobaczymy, kto głupi.

Już go nie ma.

Agent maca rękami, szuka, biega jak wariat po pokoju — jakby się w ślepą babkę bawił. A Kajtuś zamienił się w muszkę i fruwa.

Ale sprawdziło się to, o czym mówił Filipś: ma Kajtuś silniejszego niż policja wroga.

Chciał usiąść na ścianie i wpada w sieć pajęczą. Brzęczy żalośnie, a pająk na krzywych nogach już wisi nad Kajtusiem, już mu pierwszą nitkę zarzucił na skrzydła.

„Chcę, żądam: chcę być myszką”. Zamienił się w mysz.

Skoczył na podwórze przez okno. Zaszumiło szarej myszce w głowie. Nie wróciła jeszcze przytomność, a tu czarne kocisko rzuca się na Kajtusia.

Już myśli, że wybiła ostatnia godzina.

Czary

„Chcę, żądam. Żądam, rozkazuję”.

Zdążył. Spod łapy czarnego kota wyfrunął gołębiem.

Usiadł na dachu, ale mu ciasno, że ledwie oddycha. Frunął, ale szuka miejsca, by wrócić bezpiecznie na ziemię. Bo czuje, że długo nie wytrzyma.

I oto trzeci zamach na życie Kajtusia. Po raz trzeci w oczy śmierć mu zajrzała.

Jak kamień rzucił się na niego jastrząb. Już dotykały piór pazury jastrzębia, gdy w szalonym wysiłku wymknął się gołąb i ciężko padł między drzewa Ogrodu Saskiego.

„W człowieka, w człowieka. Chcę, żądam”.

Siedzi teraz Kajtuś na ławce, ważną sprawę rozważa.

— Czapka niewidka nie zapewnia mi bezpieczeństwa. Cóż z tego, że nie widzą, gdy nie widząc nawet, mogą pochwytać i postrzelić? Trzeba inaczej to zrobić. Chcę mieć zegar. Niech na tarczy zegara będą cztery litery. I niech będzie sprężyna. Jeżeli raz nacisnę sprężynę, wskazówka stanie na literze A; wtedy do połowy zamieniam się w powietrze. Jeżeli dwa razy nacisnę sprężynę, strzałka staje na literze B — to jest, gdzie w zwyczajnym zegarze jest szósta godzina. Wtedy dotykalna będzie tylko głowa i ręka. Gdy grozić mi będzie wielkie niebezpieczeństwo, trzy razy naciskam sprężynę. Wskazówka stanie na literze C, to jest tam, gdzie teraz jest dziewiąta. Cały zamieniam się wtedy w powietrze; zostaje tylko zegar i palec, i tym jednym palcem mogę nacisnąć sprężynę, by powrócić do cielesnej postaci.

Kajtuś dokładnie jeszcze raz obmyślił cały mechanizm i zażądał takiego zegara.

Czy że był zmęczony, czy że czar był trudny — kolnęło, uderzyło coś Kajtusia w serce, aż ból, dreszcz, aż mu pociemniało w oczach. Oparł się o ławkę, żeby się nie zwalić.

Ale zegarek ma. Już raz na zawsze uwolnił się od pościgu ludzi. Już nie będzie muchą, myszą, gołębiem uciekał. A wróg-czarnoksiężnik zbyt słaby widocznie, bo nie może zabić Kajtusia-człowieka.

— Byłeś na pogrzebie? — pyta się mama.

— Byłem.

— Widziałeś?

— Widziałem.

— Wyglądasz bardzo zmęczony.

Ani przeczuwa biedna mama. Nic nie wie dobra, kochana.

Zresztą i Kajtusia męczy tajemnica.

— Raz jeden tylko oko w oko spotkałem swego wroga. Ale kto daje mi siłę? W czyjej jestem potężnej władzy?

Czuje, że tak jest tymczasem, że musi się wszystko wyjaśnić, że niezadługo zrozumie.

Wybrał się pewnej niedzieli na mecz futbolowy.

Do przerwy gra nie była ciekawa; dopiero później rozruszały się obie drużyny.

Przyszła Kajtusiowi do głowy myśl swawolna, żeby im przeszkodzić. Niech się poirytują.

Nacisnął sprężynę na A — i dawaj brykać na boisku.

Zaczęły się dzieć dziwne rzeczy.

Prawidłowo kopnięta piłka nagle się zatrzymuje i zmienia kierunek. Pchnięta w stronę bramki — nagle cofa się sama, jakby odrzucona.

Jakby grał ktoś jeszcze, zręczny i niewidzialny.

Widzi sędzie, spostrzegły drużyny; ale nie ma czasu się zastanawiać, nie mogą się połapać. Gry nie wolno przerywać.

Ale między publicznością znalazł się porucznik, który zauważył i zrozumiał.

Bo widzi: po placu posuwa się cień bez człowieka; cień zmienia się: raz wyraźny cień chłopca, którego wcale nie ma na boisku; to połowa tylko, to ręka i głowa. No, bo Kajtuś rozmaicie naciska sprężynę, żeby na niego nie wpadli, nie kopnęli, nie przewrócili. A wszędzie, gdzie mignie, dzieją się z piłką najdziwniejsze rzeczy.



Porucznik słyszał w kasynie, że szukają chłopca-przestępcę<sup>142</sup> w czapce niewidce. Więc wyjmując rewolwer i podkrada się nieznacznie.

Akurat jest rzut karny. Zbliży się porucznik tam, gdzie znaczy się cień na piasku; słyszy cykanie zegara i oddech niewidzialnego Kajtusia. Wycelował i byłby strzelił...

Ale zerwał się wicher, pchnął Kajtusia w górę wysoko ponad boisko — i niesie, i pędzi w niewiadomym kierunku.

#### ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W twierdzy wodza czarnoksiężnika — Autor tłumaczy czytelnikowi, dlaczego wykreślił wiele z tego rozdziału... — Zosia uwięziona

Na próżno Kajtuś stara się zatrzymać.

Na próżno żąda i rozkazuje.

Nie mają siły jego rozkazy i chęci, a z białych warg wybiegają martwe wyrazy.

Świsł w uszach, zamęt w głowie, a przed oczami prostokąty pól i lasów, nieznanne wioski i miasta, i obce wody i ogrody.

Aż do sprzeciwu znikła odwaga i ochota. Niemocen<sup>143</sup> walczyć.

Wicher go niesie.

Jest jak kropla fali morskiej, jak piórko rzucone potęgą żywiołu.

Łyka powietrze, ostre w bolesnym oddechu.

— Niech co chce, będzie.

Ostatnie spojrzenie na wyniosłą górę, na wysoki wał i mur, i baszty nieznannej twierdzy.

Aż spada. Zamknął oczy. Zamroczyła się myśl.

Leży na kamiennej podłodze.

Ciemno i cicho.

Zaduch piwnicy, wilgoci i stęchlizny.

— Jestem uwięziony.

Wstał. Sięgnął ręką. Dotknął niskiego pułapu. Krokami mierzy celę więzienną: wszcztery kroki i pięć kroków wzdłuż.

— Kara czy zemsta?... Chcę wiedzieć.

Dwoje oczu świecących, niemrugających, spojrzęło na Kajtusia.

Ognista głownia dziewięć razy obiegnęła głowę Kajtusia.

Znów noc czarna.

— Jak długo? Co dalej? Czy tak już na zawsze?

Krąży Kajtuś po celi i zwilża język o mokre ściany ciemnicy.

Płyną dręczące minuty czy godziny.

A tam za murami słońce jak dawniej świeci. Dobre słońce, dobre i ciepłe.

— Ja w czarnej niewoli, a tam jasna swoboda.

Ma oczy, nie widzi, ma uszy, nie słyszy. Jedna została mu myśl, którą wysłał do miasta swego, do Warszawy — do domu i szkoły.

Zapłakał.

Nagle zaroiły się ściany tysiącami ruchliwych iskierek...

.....  
.....  
.....

*Od autora.* Zanim zacząłem pisać opowieść o Kajtusi, rozmawiałem z chłopcami o czarach, z dziewczynkami o wróżkach.

Potem czytałem im różne rozdziały.

<sup>142</sup>szukają chłopca-przestępcę — dziś popr.: szukają chłopca-przestępcy. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>niemocen (daw.) — słaby, chory, pozbawiony sił. [przypis edytorski]

Poprawiałem, zmieniałem i przerabiałem opowieść.  
Chciałem, żeby książka była ciekawa. Nie chciałem, żeby była straszna i za trudna.

Kiedy przeczytałem ten osiemnasty rozdział o Kajtusi w twierdzy wodza czarnoksiężników — jeden chłopiec powiedział:

— To straszne!

I przysunął się bliżej, i wziął mnie za rękę.

Powiedziałem:

— Przecież bajki o czarodziejach są straszne.

A on:

— No, tak... ale to co innego.

Potem śnił mu się Kajtuś. Chłopiec bał się w nocy.

Nie mogąc zmienić, wykreśliłem to wszystko, co mu się śniło. I znów przeczytałem.

Powiedział:

— Już teraz dobrze...

Wypił Kajtuś do ostatniej kropli napój orzeźwiający: rękę ułożył na kamieniu, oparł się twarzą i zasnął.

Pierwsze ciche godziny niewoli.

Obudził się.

Ciemność.

Nie zaraz przypomniał sobie wypadki dnia ubiegłego.

Na żelaznej tablicy ognistymi literami skreślony wyrok — nie wyrok.

Czarne nietoperze skrzydłami, szelestem, podmuchem znaczą swą obecność.

Wielkie pióro złotą stalówką wodzi z wolna, kreśli wyraz po wyrazie na czarnym żelazie tablicy:

„Nie będziesz zgładzony ni kulą, ni mieczem”.

„Nie będziesz spalony ogniem ni rażony piorunem”.

„Nie będziesz otruty trucizną”.

„Nie będziesz strącony ze skały”.

„Nie będziesz uduszony ni sznurem, ni gazem”.

„Nie będziesz utopiony”.

„Nie będziesz żywcem pogrzebany”.

Obok każdego napisu niezrozumiałe znaki i liczby. Zapewne paragrafy księgi kar kodeksu czarnoksiężskiego.

Więc sąd dokonany?

Wyrok zapadł.

W kamiennej ścianie małe okno okratowane.

W kamiennej ścianie niskie drzwi.

I z desek podłoga.

Ucieszył się Kajtuś. Serce drgnęło nadzieją.

Liczy sęki i gwoździe w deskach podłogi. Raz w raz zwraca oczy w górę ku kratom.

Próbuje wspiąć się: choć zmęczony i słaby, próbuje skoczyć, by chwycić za hak, który sterczy pod oknem: jeśli dosięgnie, może uda mu się choć raz spojrzeć na wolny świat za murami — kratą żelazną.

„Chcę, żądam, rozkazuję”.

W odpowiedzi śmiech złośliwy i odległy grzmot.

.....  
.....  
.....

.....  
.....  
.....

Są prawa, są obowiązki.

.....  
.....  
.....

Jest siła wolnej woli, jest siła karności.

.....  
.....  
.....

Dnia tego nie otrzymał posiłku.

Głód... głód!

A może głodem chcą złamać?

Może to kara najsurowsza?

.....  
.....  
.....

Upłynęło siedem dni i siedem nocy.

Obudził się w jasnym pokoju na łóżku.

Stół. Miednica i dzbanek wody. Na ścianie zegar i lustro.

Boi się Kajtuś poruszyć, by nie spłoszyć daru.

Czy przebaczyli — czy łudzą go i zwodzą?

Znakiem przebaczenia będzie torebka z łakociami.

Sięgnął pod poduszkę — boleśnie rękę oparzył.

Nic to. Cieszy się słońcem i ciepłem. Ot, dobre okno z przezroczystymi szybami i drzwi z klamką zwyczajną.

Czy zamknięte na klucz?

Śmiało zrywa się z łóżka. Nalał wody do miednicy. Umył się. Poczul się znów silny i śmiały.

Poradzi sobie, zahartowany w wielu przygodach.

Widzi: na stole leży koperta. Zamiast adresu napis na kopercie:

*Nie zrywać pieczęci.*

Bierze w rękę — patrzy: pięć czerwonych pieczęci; lakiem krwawym zamknięta tajemnica.

Nowa próba, przestroga.

.....  
.....  
.....

.....  
.....  
.....

Wasze tu prawo, wasza siła i władza.

Otwiera drzwi.

Idzie śmiało przez długi mroczny korytarz.

Głośne echo liczy jego kroki.

Nie ma straży. Ale nie łudzi się: nie ma stąd ucieczki.

Nie na to porwany wichrem i uwięziony, by mógł opuścić twierdzę naczelnika.

Wchodzi do wysokiej sali.

Kamienne kolumny. Na marmurowej ścianie napisy dziwnymi literami.

Czy imiona czarodziejów sławnych, czy spis ofiar zamordowanych? Czy nakazy, zakazy i daty?

„Nie wiedziałem, nie rozumiałem, błędziłem. Łatwo być posłusznym, gdy wiadomo”.

.....  
.....  
.....

Widział podobną salę, gdy podczas wycieczki szkolnej zwiedzali zbrojownię.

Leżą i stoją oparte o ścianę i zawieszono miecze, szable i wszelka broń palna. Nowe, lśniące, i stare, wyszczerbione. Panczerze, hełmy, rękawice stalowe i siatki z kółek metalowych. Kulomioty<sup>144</sup>, armaty i bomby. Topory katowskie i narzędzia tortur.

I gilotyna — i szubienica.

Jak w zbrojowni.

.....

*Od autora.* Opuściłem trzy stronicę.

.....  
.....  
.....

Przypomniał sobie Kajtuś dawne zdarzenie. Jeden czar nieudany. Był to czas, gdy próbował dopiero i często mu się nie udawało.

Pijaństwo

Wraca do domu, ale widzi jak mały chłopiec targa za rękę pijanego człowieka.

Dziecko prosi:

— Tatu, chodź do domu. Tatu, mama czeka.

— Odejdź, powiadam ci, odejdź — mruczy pijany.

Stanął przed szynkiem<sup>145</sup> i chwieje się na nogach.

— Tatu, mama czeka. Tatu, chodź do domu.

— Do domu? Dlaczego do domu? Jak do domu? Masz, kup sobie cukierków.

Mały nie bierze monety; upadła i potoczyła się po błocie.

I trzeci raz!

— Chodź, tatu, chodź do mamy.

Żal dziecka Kajtusiowi. Pragnie pomóc. Westchnął głęboko i mówi:

— Rozkazuję: niech idzie do domu, niech posłucha się syna.

Ledwo powiedział Kajtuś, już prąd elektryczny kolnął go w serce jak igłą.

Pijany pchnął dziecko, tak jakoś boleśnie strząsnął je z rękawa. A sam wtacza się do szynku.

Przed żelaznymi drzwiami następnej sali stoją na straży dwa wilki. Warknęły, szczeknęły — węższą, zęby szczerzą.

<sup>144</sup>kulomiot (daw.) — karabin maszynowy. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>szynk (daw.) — podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

Nie uląkł się Kajtuś: śmiało wszedł do skarbcza.

Na półkach korony królewskie, berła i buławy. Pierścienie, brosze i naszyjniki. Brylanty, perły, rubiny i korale. Stare, srebrne dzbany, wazy i lichtarze, i czasze, i wazy rzeźbione.

Skrzynie monet i beczki, i worki złota.

Patrzy Kajtuś i myśli:

„Oto skarby Sezamu, marzenia moje dzieciinne”.

.....  
.....  
.....

Nagle: Co to? Ktoś płacze i woła? Wytężył słuch. Głos znajomy wzywa ratunku.

Tam z góry. Tam, dokąd prowadzą wijące się schodki żelazne.

Wstaje Kajtuś, biegnie — wspina się. Słucha.

Czy śni?

Z wieży rozległo się trzykroć powtórzone wołanie:

— Antoś! Antoś! Antoś!

Biegnie po schodach w górę. Nie ma wątpliwości.

To głos Zosi.

Szarpnął drzwiami.

Buchnął płomień: dym gryzący w oczach i w gardle. Nie uląkł się — stąpił w płomień. Biegnie mimo żaru.

Oczy ręką przysłonił.

— Antoś... Antoś...

Pchnął drzwi drugie. Ogień za sobą zostawił.

Teraz stoi na skale, a pod nią przepaść bezdenna.

Skoczył i zawisł. Zdążył chwycić brzeg przeciwny. Rzucił się ciałem, zagarnął ręką skałę pod siebie. Wyraźnie słyszy wzywianie.

Drugą przeszkodę zostawił za sobą i wstąpił w trzecie drzwi.

Idzie.

Dotrze do Zosi, choć węże wiją się koło nóg i ślinią jadem trującym. Kołysząc się, wznoszą w górę płaskie łby, chylą się ku twarzy. Zwiną się dokoła, oplączą i zduszą.

.....  
.....  
.....

Ostatnie drzwi zamknięte na pięć pieczęci. Zrozumiał zawiłą ich mowę.

— Kto tam?

— Ja, wróżka uwięziona.

— Ja Antoś, Kajtuś-czarodziej.

— Wiem. Wróżka. Zosia.

Zerwał pieczęć. Błyskawica. Zerwał drugą. Grzmot. Zerwał trzecią i czwartą. Piorun tuż nad głową. Chwila. Ostatnim wysiłkiem zrywa ostatnią pieczęć. Razem czerwone zygzaki w powietrzu — blask — i trzask.

Padł przed drzwiami.

„Nie będziesz spalony”.

„Nie będziesz strącony ze skały”.

„Nie będziesz rażony piorunem”.

Kajtuś otwiera oczy. Widzi pochyloną nad nim zapłakaną twarz Zosi.

— Żyjesz?

— Nie płacz.

Dźwignął się. Wsparty o ramię wróżki schodzi powoli po szerokich schodach z czarnego granitu.

Drzwi oszklone prowadzą do ogrodu.

Usiedli na ławce pod drzewem.

— Czy dawno, Zosiu, jesteś wróżką?

— Sama nie wiem. Bardzo pragnęłam nią zostać. Zbierając w lesie jagody, wijąc wianki z kwiatów, często myślałam, co robiłabym, gdybym była wróżką. Chciałam bardzo wiedzieć, czy są krasnoludki. Być dobrą dla dzieci, bronić przed krzywdą sieroty, pomagać smutnym i biednym. Nie wiedziałam, że tak trudno, tak bardzo trudno.

— Ale jak się to stało, że zostałam wróżką?

— Nie wiem. Byłam mała, byłam szczęśliwa. Dlaczego ja mam dobrych rodziców, jasny i miły pokój, i ciepły płaszcz, i książki, i zabawki — a inni głodni i im źle. Tyle jest na wsi biedy.

— I w mieście także.

— Nie wiedziałam. Byłam mała. Myślałam, że w miastach są tylko królewskie pałace i pomniki. Tak dziwnie płaczą się dziecku: i bajka, i sen, i prawdziwe życie.

— I ze mną było tak samo. Bo pewnie jest tak, że w prawdę trzeba wierzyć, a w bajkę chce się wierzyć; w bajkę i ładny sen. I to się nazywa marzenie.

— Staralam się być pożyteczna. Niewiele mały może. Da ubogim kromkę chleba, a dziecku kostkę cukru. Ojczus śmiał się i mówił: „Ty wszystko z domu wynosisz”. Nie byłam bardzo dobra: dałam swoją lalkę chorej Marysi, potem żalowałam. Dałam swoją białą sukienkę (mama pozwoliła), ale potem płakałam. Oddałam bułkę z miodem, potem byłam głodna, a wstydziłam się prosić o drugą. Ojczus śmieje się i mówi: „Nie dawaj”. Ale co robić, jeżeli proszą.

— No chyba, ale dasz jednemu, to cię cała zgraja pętaków obskoczy. Czy znasz jakie zaklęcia?

— Nie. Tylko coraz wyraźniej słyszałam, gdy ktoś wzywał pomocy, gdy komu byłam potrzebna. Albo sama biegnę na pomoc, albo...

— Albo co?

— Albo posyłam krasnoludków. Mówię: „Idźcie, służki moje, pomóżcie”. Nie zawsze się udawało.

— Jak wyglądają?

— Nie wiem; widziałam tylko na obrazkach. Ale wiem, że są. Często mi o tobie, Kajtusi, opowiadały.

— Co mówiły?

— Pamiętasz? Stałeś raz przed sklepem, przed księgarnią. Obok stali: chłopiec i dziewczynka. Też patrzą i mówią: „O jaka ładna książka”. A dziewczynka: „Wejdz i spytaj się, ile kosztuje”. A chłopiec: „Kiedy się wstydzę”. Ona: „Wejdz”. On: „I tak nie kupię; mamy tylko dwadzieścia groszy”. Pamiętasz: dogoniłeś i dałeś, i różę czarodziejską swojej pani w szkole...

— Skąd wiesz?

— Krasnoludki wszędzie się kręcą i widzą, opowiadają.

— No tak. Ale inne były moje dary, nie takie jak twoje. Dam i myślę: „Niech się dziwią szczeniaki”.

Nie skończyli rozmowy — czarodziej i wróżka. Rozległ się dzwon.

.....  
.....  
.....

— Precz stąd — powiedział. — Za miesiąc księżycowy przyjdziecie tu na sąd. Znacnie naszą przysięgę. Zamieniam was w psy. Precz!

#### ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zaczarowani w psy — Psia niedola i poniewierka — Powrót Zosi do domu — Skarga i lzy pani — Prawo z roku 1233

Nie myślał Kajtuś, że tajemnicza moc czarodziejska może go opuścić. Oto przyszło i przeszło, jak sen i o dziwnym śnie wspomnienie.

Wtedy żał mu było władzy, bo jakże zostać znów zwyczajnym uczniem szkolnym i synem stolarza? Ale czasem chciał nawet, bo męczyło go życie niespokojne.

Myślał Kajtuś, że zabić go mogą nieznani wrogowie. Żał mu było rodziców i życia.

Ale takiej kary i zemsty, i poniżenia nie przewidywał.

Kiedy twarz zmieniał albo znikał nagle i był tylko ręką, głową i tułowiem, bardzo dziwnie mu było. Ja czy nie ja? Kiedy zamienił się w mysz i gołębia, nie było czasu się zastanawiać. Groziło niebezpieczeństwo, więc ucieka i — znów będzie człowiekiem.

Straszna to była chwila, gdy odrzuceni daleko od twierdzy czarodziejów padli czterema łapami na szosę.

Spojrzał Antos na siebie i Zosię i zawył przeciągle.

— Nie płacz, Antos — usłyszał łagodny głos Zosi.

Długa chwila milczenia. Aż mówi Zosia:

— Czy nie lepiej być dobrym psem niż złośliwym i złym człowiekiem? Czy nie lepiej być wolnym psem niż więźniem w kamiennym grobie?

— Nie lepiej — gniewnie odburknął Kajtuś. — Więzienie byłoby się skończyło wreszcie.

— Skąd ta pewność? Czy za próbę ucieczki lub inne przewinienia nie mogli nas na zawsze wtrącić do ciemnego lochu?

— Zapewne. Ale czy możesz sobie wyobrazić, że zostaniesz psem przez całe życie?

— Nie należy tracić nadziei w ocalenie, które może przyjść wcześniej, niż się spodziewamy. Nikt nie wie, co jutro przyniesie. Wiem, że oni są silni, ale silniejszą jest sprawiedliwość.

Usiadł Kajtuś na tylnych łapach i psim sposobem postawił uszy do góry. Słucha.

— Nie wiem, co czują psy prawdziwe — ciągnie Zosia — ale i one obok żalu i tęsknoty mają chwilę radości i wesołe okrzyki. Zresztą, czy nie jesteś nadal człowiekiem? Pamiętasz przysłowie: nie suknia zdobi człowieka?

Dziwi się Kajtuś, że Zosia tak spokojnie mówi, jakby się nic ważnego nie stało.

— No tak, tobie łatwo, bo jesteś dobrą wróżką, a we mnie tyle zawsze buntu, niecierpliwości i gniewu.

Gryzie Kajtuś zwisającą gałązkę krzaka. Gdyby się nie wstydził, zacząłby szczekać i ziemię drapać pazurami.

— Widzisz, Antosiu, są w życiu zdarzenia silniejsze od nas. Gniew i bunt wcale nie pomogą. Ważne, by radzić sobie, gdy coś od nas zależy. Najważniejsze teraz pytanie, jak dostać się do domu.

— Chcesz wrócić do matki? Przecież ciebie nie pozna?

— Ale ja ją poznam i będę blisko. Postaram się, ażeby mnie polubiła. Będę jej pilnowała. Postaram się pocieszyć.

Warknął Kajtuś — przypomniał sobie sobowtóra. Nie ma go już. Rodzice się niepokoją. Ani pomyślał o tym. Zosia jest dobra, a on — człowiek, więzień czy pies — jest zły, zły, zły...

Biegają obok siebie, lekko, szybko — brzegiem lasu. Tak łatwo, nawet przyjemnie. Nie zatrzymują się, czując, że znów dręczące myśli napłyną do zmęczonej głowy.

Postanowili — razem wrócą. Nie wiedzą jeszcze, jak jednemu psu bezdomnemu trudno się wyżywić, a cóż dopiero, gdy są we dwoje.

Rychło poznać mieli, biedacy, mękę psiego głodu.

Wierne, mocne psie łapy niosą sprawniej niż ludzkie nogi. Psie serce nie tak prędko się męczy.

Pierwsza zatrzymała się Zosia.

— Powąchaj, jak tu pięknie. Ile setek wesołych zapachów i głosów. Zapach igieł sosnowych, liści dębowych, kory drzew, traw i żywicy. Grają w nosie jak muzyka, jak śpiew. Wystarczy unieść głowę, zwrócić w prawo, w lewo — raz w raz inna melodia.

Czary

Pies

— Milcz! — przerwał Kajtuś porywczo. — Nic nie ma pięknego ani wesołego. Kłamiesz.

— Prawdę mówię.

— Kłamiesz! Złe, marne, podle psie życie. Wolę być nawet najniezwyklejszym człowiekiem.

Nie chce się Kajtuś przyznać, że uczuć podobnych doznaje. Nie oczami, ale węchem poznaje teraz świat i jego obrazy. Biegając, spotyka znajome i obce, ciekawe wonie. Czujnie zwraca nos to w tę, to w tamtą stronę, strzyże uszami na dalekie dźwięki.

Może pies zna ten świat inaczej, ale nie gorzej? Może nie tylko czuje, ale i rozumie? Nie — nie! Nie zdradzi Kajtuś dumy człowieka — bo hańbą jest zostać psem.

Głodni. Ani chleba, ani człowieka.

Zapachniała zwierzyna — Kajtuś skręcił w las, węsząc pilnie. Znalazł jamkę pod krzakiem. Wysiłkiem woli wstrzymuje się, by nie zacząć grzebać łapami ziemi, rozszerzyć jamę, dostać się do młodych zajączków. Przywarł nosem do nory. Warknął raz i drugi i pędem wrócił na drogę.

Coraz głodniejszy, już nie biegną; idą milcząc do późnego wieczora.

Nareszcie spotkali człowieka.

Wlecz się starowina, postępuje, niesie na plecach wiązkę gałęzi.

— Trzeba odpocząć — mówi.

Usiadł w rowie i zauważył Kajtusia i Zosię.

— O, pieski.

Cmoknął.

Skinął ręką. Podbiegli.

— Dokąd, psiny? Głodne? Z daleka? Ano, chodźcie ze mną, kiedyśmy się spotkali.

Was dwoje, a ja sam zostałem na stare lata.

Poczuł Kajtuś serdeczne ciepło ręki ludzkiej.

— Dobrze, miłe pieski.

Odpowiedział Kajtuś na pieśczołą psim pocałunkiem: polizał rękę pomarszczoną. Jęknął stary i wstał, zarzucił drzewo na plecy. Z dala coraz wyraźniej płyną dymy bliskiej już wsi.

Niska chałupa na skraju.

— Dobrze psinki — pocałowały starego. Możecie przenocować u mnie, ale jutro marsz w drogę. Za biedny ja, by mieć przyjaciół.

Nalał kwaterkę blaszaną wody do miseczki, zabielił mlekiem, podrobił razowego chleba.

— Niebogata moja wieczerza.

I użalił się stary.

Opowiedział, jak dzieci jedno po drugim w świat poszły, samego zostawiły.

— Do miasta, piesku, poszły. Pewnie, że w mieście więcej zabawy. Weselej tam niż na wsi ze starym ojcem.

Dwie łzy spłynęły po zwiędłej twarzy i spadły na Kajtusia — gorące.

Zasnęli zdżożeni czujnym psim snem, który słyzy. Oto mysz skrobie, kogut pieje, wóz drogą przejechał. I zapach smutnego człowieka i jego biedy.

Wypoczęli. Uspokoili się Kajtuś. Zosia ma słuszność: nie warto myśleć o tym, co będzie. Życie tyle ma różnych niespodzianek. Zobaczą, co dalej.

Mają cel: dostać się do domu.

— No, ruszajcie. Nie mogę głodzić żywego stworzenia, a dzielić się nie ma czym.

Pożegnali się.

Rozpoczęli tułaczkę od wsi do wsi, od chaty do chaty — w poszukiwaniu chleba i kości.

Oślabli i schudli.

Nieufnie zbliżają się do ludzi. Ostrożnie z daleka zatrzymują się, widząc psa koło zagrody.

Bo często:



— Poszli won!  
 I ostre kły psów gospodarskich.  
 Trzeba kryć się, uciekać przed batem, kijem i kamieniem.  
 — Nie smuć się. Nie gniewaj się, Antosiu — pocieszała Zosia.  
 A zły i zbuntowany był Kajtuś, gdy musiał przysiąść i drapać się łapą i zębami, walcząc z robactwem, które towarzyszy włóczędze.  
 Nie wiedzą ludzie, co to za dar wielki: ręce do pracy i do obrony.  
 Idą... idą... Milczą... Nie rozmawiają... Już nie ma w nich ani siły, ani myśli. Jedne tylko bolesne złudzenia: to zapach mleka, to zupy.  
 — Jeść! — krzyczą oczy, nogi i uszy.  
 Aż przywlekli się do leśniczego. A czas był najwyższy.  
 — Ho, ho, psiaczki. Jakże to wy bez pana? Jakiście wy się odbili<sup>146</sup>? Ależ wygłodzone, biedoty. A godne psy, nie byle jakie. Szkoda was. Chcecie zostać?  
 O, jakże szczęśliwi! Wykapani, wyspani i syci.  
 — Porozmawiajmy teraz ze sobą — mówi do nich leśniczy. — Pies czasem lepiej zrozumie niż człowiek. Mało serca teraz na świecie dla człowieka, dla psa i dla krzewu. Wszystko dla korzyści i zabawy. Wycinają handlarze lasy. Dla nich drzewo to towar, a nie żywa istota.  
 Namnożyło się krzywdy i grzechu.  
 Minęły dni wypoczynku. Co zrobić?  
 — Poczekajcie. Jadę dziś do miasta. Suczkę sobie zostawię, a ciebie podaruję na imię niny aktorce: muszę ją nauczyć, że pies lepszy od kota.  
 Co czynić? Nie ma wyboru. Trzeba rozstać się z Zosią. W mieście łatwiej się dowie o dalszą drogę.  
 Leśniczy zamknął Zosię w sieni, a Kajtuś biegnie za bryczką. Sam teraz, nie wstydzi się: węszy, poszczekuje, skacze koniowi do pyska — psią radość pełną piersią wdycha. Tyle do obiegnięcia, tyle do obwąchania.  
 — Przywiozłem waćpani prezenty: grzyby i pieska. Bo zaprawdę wstyd: ma pani trzy koty i ani jednego psa. Co kot? Tylko się łasi, a pies wszystko rozumie. I odpowie oczami.  
 — Nie chcę — mówi aktorka. — Intrygant z pana. Chce mnie pan poróżnić z moimi przyjaciółmi. Ale nic z tego.  
 Kajtuś został.  
 Nie było dobrze. Kłóci się z kotem. Niby to delikatne, dobrze wychowane; ale zaczepne, zazdrosne i drapie cichaczem.  
 Jak może, wymyka się Kajtuś do Zosi, do lasu.  
 — Co słyhać? — zapytuje go Zosia.  
 — Trzeba czekać cierpliwie — mówi Kajtuś. — Warszawa daleko. Musimy pojechać koleją, bo pieszo nie damy rady. Podróż nasza skończyła się szczęśliwie, ale mogliśmy zginąć na śmietniku. Ostrożny musi być pies, bo więcej niebezpieczeństw mu grozi.  
 Nierad był leśniczy, że Kajtuś przychodzi.  
 — Ty znów tu? A brzydkie psisko. Patrz, jakie się w błocie utyłał. Dałem ci dobre miejsce, więc czego latasz? Gdybym był twoją panią, nie wpuściłbym cię do domu, brudasio.  
 Wymknął się raz i drugi na kolej. Już go tam znają. Biega po stacji i ogląda pociągi, jak wskoczyć do wagonu i ukryć się pod ławką. Wraca z wywiadów zablocony i podłogę brudzi. A z kotami różne awantury.  
 — Nie, piesku — mówi aktorka. — Nie chcę ciebie. Widzisz, mój miły, żyłam w dużym mieście, byłam znana; więcej miałam kwiatów niż teraz kartofli. Niedobrze tam, za głośno; więcej łez niż radości — ukryłam się tu w ustroniu, by żyć z dala od swarów. A przez ciebie znowu niepokój.  
 Cóż było robić?  
 W noc zimną, gdy wicher siekł deszczem, ruszyli w drogę. I udało się. Leżą cicho pod ławką. Gwizdek i dudnienie kół.  
 Zauważył ich tylko chłopiec, który jechał z wakacji do szkoły.

<sup>146</sup>odbić się — tu: oddalić się (domyślnie: od właściciela). [przypis edytorski]

— Cicho leżcie, bo was konduktor wyrzuci. — Częstuje ich tym, co mama dała mu na drogę: bułką, jajkiem, plackiem i pierogiem.

Ale ich zdradził zbyt gorliwy opiekun.

— Co ty tam masz, kawalerze, pod ławką, że się ciągle kręcisz? Komu wodę niesiesz? — pyta się konduktor. — Aha, psy... Ano... Ano... karę zapłacisz.

— Nie moje — broni się chłopak. — Co to panu szkodzi?

— Nie wolno.

Sześć stacji tylko przejechali, i to dobre. Podjedli, wypoczęli. Psu bezdomnemu byle czym pomożesz, już mu łatwiej dzień przebyć.

Ano, biegną i słupy telegraficzne liczą.

Wieczorem znów zimny deszcz jesienny.

Podkopali łapami zgniłą deskę i schronili się w stajni. Jeden koń stoi, drugi leży.

Przytulili się do konia; obwąchał i pozwolił; często zwierzę pomoże zwierzęciu.

Ale rano furman przegonił i rzemieniem zdzielił. Zaskowyczała Zosia, a Kajtuś zębami łysnął i warknął.

— Chcesz gryźć, takiś hardy, włóczęgo?

I rzucił kamieniem.

Źle psu, gdy głodny, gorzej, gdy chory. Wlecze się obolały Kajtuś na trzech łapach, a czwarta wisi w powietrzu. I droga trwa teraz dłużej, i omijać muszą osiedla, bo zdrowy pies i zły chłopiec chętnie zaczepia kulasa. Może nie przez złość nawet — przez brak zastanowienia.

— Boli?

— Trochę.

Tak szli o głodzie dwa dni i trzeci.

Zosia coraz niespokojniej zwraca głowę w tę i w tę stronę. Resztą sił biegnie prędko; daleko wyprzedza Kajtusia. Powraca, kluczy, węszy.

— Antoś, to tu.

Niecierpliwie chwytą powietrze nosem przy samej ziemi — i wyżej szuka.

— To tu. Tak. Tu przejechała obręcz naszej bryczki. Tu ślad naszego Siwka.

Pędziłaby jak strzała. Ale Kajtuś przystaje i liże chorą łapę, uderzoną kamieniem.

— Zostaw mnie.

— Nie, nie.

Czasem długa droga wydaje się krótka, a krótka droga wydaje się nieskończenie długą. Dopiero późnym wieczorem zdążyli.

Mama Zosi siedzi przed gankiem, a na kolanach trzyma pantofelek i czapczkę dziecinną.

Zosia oparła się łapkami i patrzy jej w oczy. Liże nogi i skomli, i skacze.

— Co to? Skąd? Czego chcesz?

W głosie niepokój — jakby coś przeczuwa.

„Pozna” — pomyślał Kajtuś.

Ale nie poznała. Bo człowiek oczom tylko ufa.

Nie poznała córki.

— Chodź, psino. Może ty znajdziesz Zosię, kiedy ludzie nie wiedzą. Masz, powąchaj jej czapczkę. Będziemy razem szukały.

Przygarnęła Zosię, która całuje twarz, oczy matki.

Znów odpoczynek. Znów ciepłe mleko. Pod opatrunkiem prędko zagoiła się rana.

— Zostań jeszcze — prosi Zosia.

Smutno rozstać się po tylu wspólnych przygodach.

Ale nie. Trzeba w drogę.

Łatwiej teraz samemu znaleźć pożywienie, ale trudno psią dolę znosić w samotności.

Poznał Kajtuś w samotnej podróży, co to być sprzedanym, gdy każdy ogląda i ocenia. Poznał się z łańcuchem na krótko. Poznał, co znaczy kapryśny chłopak, któremu dano psa

do zabawy. Nie oszczędził los Kajtusiowi ostatniej psiej niedoli, gdy go czyściciel miejski pochwycił na stryczek. Za co? Czy za to, że żyć chce i żyje?

Szarpnął się raz i drugi, potem po ludzku, przemyślnie się przyczaił; a gdy krata miała się za nim zawrzeć raz na zawsze — po psiemu wbił zęby w rękę oprawcy, ugryzł i uciekł.

Jedynie najmiłsze dwa dni spędził u biednego pastucha. Głodno było, ale to nic. Tu nie był zabawką ani nawet zwierzęciem, ale równym, bliskim przyjacielem, bratem.

Gdy rozchodzili się smutni, długo ku sobie patrzyli, pewni, że nieprędko zapomną.

Gdy sił zbrakło, znów spróbował szczęścia na dworcu kolei. Dwa razy się nie udało. Raz drzwi były zamknięte, drugi raz kopnięciem ze schodów już w biegu pociągu zrzucony.

Za trzecim razem zauważyło go widzące serce dziewczyny, co do miasta na służbę jechała samotna.

Rzuciła pod ławkę kromkę czarnego chleba.

— Jedź sobie. Ty sam i ja sama. Choć w podróży się wspomagajmy.

Więc nareszcie Warszawa.

Miasto rodzinne z jego jedynym zapachem i wspomnieniem.

Bocznymi ulicami, bez przygód dotarł do mieszkania rodziców.

Czeka tu Kajtusia bolesna niespodzianka.

Stoi pode drzwiami i niecierpliwie drapie, i wdycha woń izby. Przywiera do szczeliny nosem i tęsknotą i zamiera w bezruchu.

Słyszy głos matki:

— Zobacz, kto chroboce.

Chce się wyczołgać, nie podnosi głowy.

Nie poznali.

— Jakiś pies. Nie, nie masz tu co robić. Idź sobie... Gdyby Antoś żył, miałbyś towarzysza.

— Ojczy, tatusiu — zaskomlał.

— Może głodny — powiedziała mama.

— Ha, no to cię nakarmię.

Ale Kajtuś nie chce. Głodny tylko dobrego słowa, pieczyoty rodzicielskiej.

— Jak nie chcesz jeść, to ruszaj. Bo stracę cierpliwość.

Skoczył Kajtuś, oparł się łapami o pierś ojca i patrzy w oczy.

— Idź precz!

— Może wściekły?

Wyszedł.

Stróż go przepędził z podwórka.

Dokąd pójdzie? Po co wracał?

— Jaki ten świat wielki. Tyle na nim miast i wsi, i ludzi i zwierząt. A każdy ma jakiś dom i schron, i jakieś serce życzliwe.

Nie wróci do Zosi. Wstyd mu. Zresztą sił brak, by rozpocząć wędrówkę od nowa.

Idzie Kajtuś, a sam nie wie, dokąd i po co.

Wspomina starca z wiązką drzewa na plecach, wspomina pastucha i ucznia, który go karmił w wagonie, i dziewczynę, i leśniczego. Wspomina tych, którzy pomogli, i tych, co krzywdzili.

Westchnął.

Zwęszył znajomy zapach. Spojrzał. Ach tak — przywłókł się do swej szkoły.

Usiadł w bramie przeciwnego domu, złożył głowę na łapach i patrzy w okno.

Czeka. Psie życie nauczyło go cierpliwości.

Czeka na dobrą panią.

Czeka. Drzemie. Ten go pogładzi, ten potrąci. Ktoś przemówi łagodnie, cmoknie albo burknie, że psisko miejsce zajmuje i przeszkadza.

Czeka na dobrą panią — aż wyszła.

Kajtuś za nią krok w krok.

Obejrzała się. Przystanął. Idzie dalej. Pani weszła do sklepu. Kajtuś został i czeka.

Zauważyła go naprawdę — dopiero przy drzwiach swojego mieszkania.

Co teraz będzie? Kajtuś przestał oddychać; czuje, jak serce bije; ma gwiazdy przed oczami. Czuje ciepło i zimno na przemian.

Nauczycielka

— Ty za mną? Ty do mnie? Ano wejdź, kiedyś przyszedł.

Powitała go nie jak psa, a jak ucznia.

Wszedł Kajtuś i rozgląda się po ubogim pokoju.

„Dlaczego myślałem zawsze, że nauczyciele — to bogaci panowie i panie?”

Jakby odgadła myśl jego:

— Biednie tu u mnie. Nie upasiesz się, piesku, na profesorskim chlebie.

Zjedli.

— Tak, psino, inaczej myślałam. Łudziłam się, że dzieci będą mi życzliwe, że znajdę wśród nich pomoc. Cóż, kiedy nie wiedzą. Nie mogę tak tylko, jak ja chcę i one pragną. Nie wolno mi. Bo kierownik pilnuje, a inspektor sprawdza. Mówią, że hałas na moich godzinach i małe postępy. Kto umie karać, tego słuchają, a ja chcę życzliwie i łagodnie.

Kajtuś zauważył różę, którą dał jej wtedy. Tak strasznie dawno. Róża zwiędła, ale zachowana na pamiątkę stoi w wazoniku na półce.

— Tak, psino. Chciałam być z dziećmi i zostać nauczycielką, ale teraz już tylko muszę. Już rada jestem, gdy niedziela czy święto; już nie tęsknię do szkoły. Cóż z tego, że się staram, gdy dzieci nie chcą? Żal mi Kajtusia, bardzo go lubiłam, bardzo mu chciałam pomóc, żeby się poprawił. Ale trudno poprawić człowieka. Tak, psino, byłam dawniej wesoła, a teraz mi smutno.

Bierze Kajtusia pod brodę, psi łeb przytuliła do twarzy. Rozumie Kajtuś, że płacze.

A istnieje stare prawo czarnoksiężników, które głosi:

Gdy człowiek, zaczarowany w zwierzę, wypije człowieczą łzę skargi na ludzi — ma być przywrócony do swej ludzkiej postaci.

Stare prawo z roku 1233 — uczy siedemset lat.

#### ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kajtuś zamienił się w wierzbę — Wśród obcych ludów — Na dnie morza — Na biegunie

— Bądź karny

Stare prawo głosi:

Każdy człowiek zaczarowany w zwierzę, gdy wypije łzę człowieczą skargi na ludzi — winien być przywrócony do swej ludzkiej postaci.

Tak. Gdy pani przytuliła do twarzy psi łeb Kajtusia i zapłakała — zgarnął językiem ciepłą i słoną łzę skargi na dzieci.

Tak. I poczuł nagle, że łamią się w nim i wyginają kości, wyciągają się żyły, inaczej bije serce i oddychają płuca — i pęka skóra.

Szarpnął się, skurczył, wyrwał — skoczył do drzwi, pchnął łapami i wybiegł do sieni.

Tak. Zbiegł szybko po schodach i skrył się między parkany.

I dokonana się zmiana.

Tak. Chwieje się Kajtuś, już na ludzkich nogach — a jako człowiek odzyskał moc czarodziejską.

Pierwszym rozkazem zaspokoił głód.

Drugim rozkazem zdobył czapkę niewidkę.

Trzecim rozkazem zapytał się niespokojnie o los towarzyszki-Zosi.

„Chcę, żądam, rozkazuję...”

— Jestem.

Jest dziwny goniec wróżki.

Jest tajny posłaniec.

Wychylił się spoza parkanu prawdziwy krasnoludek, wspiął się niezgrabnie na deskę — i potrząsając brodą siwą i mrużąc lewe oko, powiedział:

— Zosia, wielki wróżu, czeka na ratunek.

— Dlaczego nazywasz mnie wróżem?

— Nie dla siebie dobra wzywasz.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz po sądzie.

Tak. Sąd go jeszcze czeka.

Zapomniał był. A sąd wodza czarnoksiężników czeka jego, Kajtusia i Zosię.

Nie.

Zosia nie pójdzie na sąd.

— Ja sam. Sam będę odpowiadał.

I czwarty wydał rozkaz po odzyskaniu władzy.

„Do Zacisza. W butach siedmiomilowych”.

Rzekł.

Znikła sprzed oczu Warszawa.

W chwilę krótką przebył drogę, która niedawno tyle pożarła wysiłku.

Stoi przed oknem znajomego domu.

Patrzy.

Siedzi matka Zosia na fotelu, trzyma w ręce gazetę, nie czyta.

Patrzy w dal — ma siwe pasma włosów.

A na kolanach Zosia: węższy niespokojnie i uszami strzyże.

Poznała.

— Idź, suczko, pobiegaj — mówi mama.

Zeskoczyła Zosia z kolan, biegnie do drzwi. Drzwi matka otworzyła.

— Jestem — mówi Kajtuś wzruszony.

— Wiem — odpowiada Zosia.

— To ja, Kajtuś.

— Poznają.

Idą. Kajtuś ludzkim krokiem, a Zosia drobi psimi łapkami.

Minęli ogród, furtkę ogrodową, drogę przez pole do lasu.

Rozglądają się: nie ma nikogo wokoło. Zdjął Kajtuś czapkę.

— Antoś, jakże to się stało?

Spojrzał na Zosię wyteżonym wzrokiem, oczyścił leśnym powietrzem myśl i płuca, głęboko odetchnął trzykrotnie, ręce na piersiach skrzyżował.

Mówi powoli, wyraźnie, uroczyście.

Dwa razy powtórzył:

— Mocą tajemną i władzą czarodziejską zwalniam cię, wróżko zaklęta złą wolą, po wsze czasy stanowią, zwalniam cię z nakazu stawienia się na sąd. Ja sam i tylko ja odpowiadać będę wrogiej sile i władzy. Najwyższym swym prawem niespornym zapewniam ci wolność i miejsce trwałe przy matce twej. Żadne złe zaklęcie i żaden czar mściwy nie będzie mocen<sup>147</sup> zmienić mego nakazu, woli mej i żądania.

Rozległ się głuchy grzmot.

Kajtuś zmęczony oparł się o drzewo.

Zosia patrzy niespokojnie i czeka.

Westchnął Kajtuś głęboko — raz, drugi raz — i trzeci. Oczyścił myśl i płuca leśnym powietrzem.

Rzekł:

— Żądam i rozkazuję. Mocą swą i władzą stanowią. Słońce, morze, góry i powietrze — ogień i wodę wzywam ku pomocy. Powróć do ludzkiej postaci. Stań się człowiekiem. Wróć do ludzkiej postaci.

Przymknął oczy. Zbielały mu wargi. Opadły ręce.

— Wielkim jesteś wróżem-czarodziejem — szepce Zosia i uśmiecha się, i włosy star-gane poprawia.

Spełnił się obowiązek. Wyzwolił.

Spieszy się.

— Bądź zdrowa i szczęśliwa.

— Zostań. Boję się o ciebie, Antosiu.

Ale już nie ma Kajtusia.

Napisał dwa listy.

Pisał do rodziców:

<sup>147</sup>*mocen* (daw.) — zdolny; mający moc, zdolność czynienia czegoś. [przypis edytorski]

Ukochani, drodzy! Smutno Wam. Choć bardzo pragnę, nie wiem, czy powrócę. Bądźcie cierpliwi. Wiele wycierpiałem. Nie to szczęście przynosi, co łatwo przychodzi. Nie każdy równą i bezpieczną drogą dąży do swego celu. Przepraszam, choć nie moja w tym wina. Ręce Wasze całuje stęskniony Antoś.

Pisał do nauczycielki:

Proszę nie gniewać się na psa, który uciekł tak nagle, a któremu Pani wyświadczyła największą przysługę, jaką może wyświadczyć człowiek człowiekowi. Bądź, pani, nadal dobrą dla dzieci. One nie są winne. Nie wiecie, jak bardzo chcemy się starać i jak bardzo nam trudno. Nie zawsze jest człowiek panem swoich czynów. I nie każdy cichą drogą idzie do swego celu. Niespokojne mamy myśli i nie zawsze wierzymy w poprawę. Bądźcie cierpliwi.

Dziecko

Zaadresował koperty, nakleił marki i wrzucił do skrzynki pocztowej. Pomyślał.  
„Zwycięzę lub zginę”.

Trzy dni zostało do sądu. Śpieszyć się trzeba.  
Śpieszyć się trzeba, by poznać i wiedzieć; a odpocząć pragnie.  
Miał Kajtuś nad Wisłą cichy kącik.  
Miał z dawna, między krzakami. Tam chodził, gdy było mu smutno.  
Tam na brzegu czytać się uczył — i zaklęcia czarodziejskie próbował, i miłością do rzeki wiązał się z Ojczyzną.  
Nie tylko bieganię lubią dzieci. A im większy łobuz, tym bardziej tęskni do ciszy, choć sam nawet nie wie.  
Miał Kajtuś nad Wisłą kącik między krzakami, gdzie próbował poprawić się i nowe zacząć życie; gdzie wspominał czasy, gdy był bardzo mały.  
Bo ma dziecko dawne wspomnienia i pamiątki. Bo nie tylko dorośli i starzy mają dawne swe czasy.  
„Kiedy byłem małej, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie...”  
Idzie tam Kajtuś. Usiadł na piasku i patrzy na wodę i drzewa. Tak cicho, tak dobrze. Łaskawa cisza.  
Patrzy — oczy ma otwarte, myśl jego śpi; tak bardzo zmęczony. Bo naprawdę zbyt wiele i zbyt trudno było...  
I nagle usłyszał dalekie głosy.  
Widzi, że zbliżają się chłopcy.  
Poznał, że wycieczka szkolna.  
Idą. Zaraz zaczepią i zadawać będą pytania. A Kajtuś chce być sam i nie chce rozmawiać.  
Spojrzał na grupę drzew i przypomniał sobie leśniczego:  
„Dla handlarza drzewo — to towar, a nie żywe stworzenie”.  
Ano, rodzi się krzew z nasienia, żywi się i rośnie, głodny wody, pokarmu jak człowiek — choruje, starzeje się i umiera. Może raduje się i cierpi?  
„Chcę, żądam...”  
I zamienił się Kajtuś w drzewo. Zdobył wielkie wtajemniczenie życia we świecie...  
Wrósł korzeniami w ziemię. Twarda opasała go kora. Wydłużyły się i rozwidliły ramiona. Otulił zielony płaszcz liści. Wiatr kołysze i gładzi łagodnie gałęzie.  
Oddycha zielenią, pije chłodną z ziemi wodę. A wierzba, siostra, mówi szelestem, że miło żyć i cieszyć się światem.  
Nadeszli chłopcy.  
Rozbiegli się, nawołują.  
Stanął chłopak obok Kajtusia.  
— Laskę sobie ułamię.

Chwycił Kajtusia za gałąź, gnie, łamie.

— Boli!

Trzasnęła gałąź i zwisła bezwładnie. Chłopiec szarpie złamaną, rozdziera.

— Boli, bardzo boli!

Nie rozumie chłopak jęku łamanego drzewa, bo trudna do odczytania jest skarga rośliny.

A kolega mówi:

— Zostaw. Idziem dalej. Równiejszą sobie laskę wystrugasz.

Poszli. Ucichły głosy. Pozostała krzywda okaleczonego krzewu.

I boli, i wstyd Kajtusiowi. Czy i on tak samo nie robił? Nie pomyślał, że drzewo nie ma nóg, by uciec, nie ma rąk, by się bronić, ani zębów, rogów ni pazurów. Byle tchórz z nim poradzi.

Bezbronne. Bezbronne. Bezbronne.

Przypomniał sobie, jak raz cisnął kamieniem w psa. A Stefan powiedział:

— Myślisz, że pies to nie człowiek?

Stefan inaczej chciał powiedzieć: że pies czuje, jak człowiek, że psa i kota, i żabę też boli.

A Kajtuś co? Rozgadał na podwórku i w szkole. Wyśmiewali, dokuczali Stefanowi:

— Psi wujaszek! Psi wujcio!

Stefan płakał.

— Beksal!

Jak bezmyślny i brutalny może być człowiek.

Gdy się nie zastanowi.

Gdy czuje, że nie ma słuszności, a przyznać się nie chce.

Pies, Okrucieństwo

Są tacy, co wolą zawsze chodzić z kolegą. Kajtuś nie. Woli sam. Tak było i dawniej.

Idzie ulicą. Tu popatrzy, tam przystanie. Zawsze coś nowego zobaczy. Jedno rozumie, drugie ciekawe, trzecie go dziwi.

Idzie Kajtuś powoli, bez celu.

Widzi: policjant prowadzi człowieka. Twarz aresztanta błada i ponure spojrzenie.

Zamkną go w więzieniu.

Pamięta Kajtuś własną niewolę w twierdzy czarodzieja. Zna udrękę zamknięcia i długie, czarne godziny.

I dawniej lubił Kajtuś patrzeć na awantury, areszty. Lubił czytać — o bójkach i kradzieżach w gazecie. Lubił rozmowy o złodziejach i bandytach. I filmy awanturnicze.

Dawniej ciekawość — teraz współczucie.

Współczucie!

„Chcę i rozkazuję. Chcę zwiedzić więzienie”.

Rzekł.

Idzie w czapce niewidce przez mroczny korytarz, obchodzi ponure cele skazańców.

I młodzi, i starzy. Biedne dzieci tych ludzi zamkniętych na długie lata. Co one winne?

— Tata w kryminale!

Był w szkole kolega. Niedobry, niemiły. Ale czy dziw, gdy w każdej kłótni zaraz:

— Ty złodziejski synu! Będziesz w kajdanach, jak tatuś.

Zaprawdę, wiele wszędzie smutku i nieładu. Wśród dorosłych i dzieci.

Wiele smutku i wiele nieładu.

Zrozumiał i czuje.

Opuścił mury. Znów oddycha powietrzem swobody.

Jedna i druga ulica.

Zagrała trąbka pogotowia. Szybko toczy się samochód w kierunku szpitala.

Skoczył Kajtuś na stopień karetki pogotowia. Wiozą rannego. Zatrzymali się przed szpitalem. Wnieśli sanitariusze, obejrzał doktor. Należy dokonać operacji.

Lekarz, Wiedza

Zdejmują zakrwawione ubranie, kładą na wózek. Jest Kajtuś w sali operacyjnej. Stoi blisko.

Ukluli rannego igłą ze szprycy<sup>148</sup>. Zastrzyk lekarstwa. Nałożyli na twarz maskę i leją krople na sen. Każą liczyć:

— Raz... dwa... trzy... cztery.

— Już śpi. Zaczynamy.

Starannie umyli ręce lekarze. Obłożyli pierś rannego serwetami. Ciął chirurg skórę nożem. Gdzie ukazuje się krew, zaciska broczące miejsce pincetą. Młody lekarz pomaga, drugi podaje narzędzia. Nikt nic nie mówi, a rozumieją się. Każdy w porę rękę usuwa. Krają i szyją żywego człowieka, a on śpi.

Nie czary — wiedza.

Wszedł niewidzialny Kajtuś na salę szpitalną.

Dwa rzędy łóżek.

Ten jęknie, ten zakaszle, tamten zagada.

Nagle śmiech w rogu przy ścianie.

Chłopiec siedzi na łóżku, śmieje się i opowiada przygodę.

— ...Jak już mnie ten tramwaj przejechał, zacząłem uciekać. Bo policjanta zobaczyłem. Ze strachu nie bardzo bolało. Byłbym zwiął, ale mnie ludzie zatrzymali. Mówią: „Patrz, głupi”. A już z buta chlusta krew — i ciecepło w nogę, ale jeszcze nie boli. Dopiero zanieśli mnie do sklepu.

— Nie trzeba ci było skakać do tramwaju.

— No... Ja wiem. Jakby tata żył, to bym kurierków nie sprzedawał. A co robić, jak nas jest czworo, a mali drą się i chcą jeść? Matce dwa złote dawałem, a sobie tylko bułkę i wodę sodową. Bo w gardle sucho od krzyku.

— Zimna woda niedobra na gardło zagrzanę.

— Ja wiem. Już mieli mi nogę ucinać, bo doktor mówił, że but był brudny, więc się nie chciało goić. Ale się zgoiło, tylko dwa palce straciłem. Ale to głupstwo.

Błądził Kajtuś po korytarzach szpitalnych.

— Wiele na świecie smutku i nieładu.

Nagle:

— Chcę poznać świat. Chcę poznać cały świat. Chcę wiedzieć, co na ziemi, pod wodą i w krajach wiecznego lodu i zimy. Życie Murzynów, kowbojów i Chińczyków... Chcę poznać.

Rzekł.

Wicher niesie Kajtusia do dzikiej ziemi Afryki.

Rzekł.

Widzi palmy wysokie, dziwne zwierzęta i ptaki, człowieka czarnego. Ubogie namiooty, lepianki, nędzne rupiecie naczyń i sprzętów; cudaczne ozdoby w uszach i w ustach. Trudno w czarnym stworzeniu dopatrzeć się brata; trudno wierzyć, że biały człowiek, jak uczy historia, równie dziki był dawno, kiedyś, przed laty.

Niesie wicher Kajtusia do prastarej ziemi Chińczyków. Przypomina się — co pani mówiła w szkole.

Ten dziwny lud drukował książki, wyrabiał szkło i piękne jedwabne tkaniny, gdy człowiek Europy nic jeszcze nie umiał.

Dlaczego dali się prześcignąć? Dlaczego popadli w niewolę? Czemu tyle kalek i żebraków? Czy nie mają lekarzy? Dlaczego im nie pomogą rodacy?

— Nie powinna, nie da się Polska prześcignąć. Trzeba się uczyć i książki czytać, trzeba pracować i pomagać innym. Nawet Chińczykom i Murzynom.

Idzie Kajtuś ulicą chińskiego miasta, rozmyśla.

„Złym uczniem byłem. Niestarannie pisałem. Brudne miałem zeszyty. Tyle czasu marnowałem. Z kolegami nie żyłem w zgodzie, klóciłem się i biłem. Złym byłem Polakiem”.

<sup>148</sup>szprycy (pot.) — strzykawka. [przypis edytorski]



— Chcę zgłębić dno morza!

Rzekł.

Przebrany w klosz nurka, ma Kajtuś ciężary na nogach, pogrąża się w odmęty morskie.

Poprzez zieloną wody zaslonę widzi nowy świat, ukryty przed wzrokiem ludzkim.

Splątane ryby rozbiegają się. Na dnie morza oparty o skałę czarny okręt rozbity.

Przezroczyste welony meduzy, macki ośmiornicy, muszle ślimaków, gwiazdy morskie, raki, gąbki i korale.

— Ile życia na świecie, o którym nikt nie wie.

Myli się Kajtuś. Bada człowiek dno głębin i ich tajemnice, w licznych księgach spisuje. Człowiek badacz-bohater wszędzie dociera — myślą, słowem — czynem. Gwiazdy, przeszłość i przyszłość ogarnia.

— Chcę widzieć biegun ziemi.

Rzekł.

Niesie dywan czarodziejski.

Mija lasy i pola — potem już tylko karłowate krzaki i mech.

Renifery, dziwne ptaki pingwiny, białe niedźwiedzie, wieloryby i foki.

Wreszcie tylko już śnieg i góry lodowe, i Eskimosów siedziby.

Dziwni ludzie, kochają ojczyznę swych martwych pól.

Mruży Kajtuś oczy, blask razi — biała cisza, wicher, słońce, które nie grzeje. Wicher okrutny i głębokie szczeliny, przepaście lodowe.

Cisza.

Cyt!

Oto sanie człowieka: sanie rozbite.

Idzie Kajtuś. Zahartowany. Przez zaspy.

Drobne igły lodowe tną jak komary.

Rozgląda się i szuka po białym polu.

Cisza.

Ślad człowieka: kopiec samotny z kamieni. Między dwoma kamieniami spłowiła flaga. Sztandar i mogiła Nieustraszonego.

Przystanął. Obnażył głowę.

Cyt!

Słyszy ciche wyrazy:

— Czuwaj! Bądź karny! Bądź mężny.

Kajtuś odpowiada szeptem.

Rękę wzniosł.

Ślubuję.

DEDYKACJA

*To trudna książka.  
Tę trudną książkę poświęcam niespokojnym chłopcom,  
którym się trudno poprawić.  
Trzeba chcieć i silnie, i wytrwale.  
Trzeba wolę hartować.  
Trzeba być pozytecznym.*

*Dziwne jest życie.  
Życie jest jak dziwny sen.  
Kto ma silną wolę i silną chęć służby ludziom,  
temu życie pięknym będzie snem.  
Choćby droga do celu była poplątana, a myśli niespokojne.  
Może jeszcze kiedyś dokończenie napiszę.*

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korczak-kajtus-czarodziej>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, *Kajtuś Czarodziej*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1985.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Tony, Jan Domański, J. Pszeniczn, Daria, Dudojć, M.Karasinska, Joanna Rudniańska, Anna Zagala, Ludwik Trammer, Milupa, krst, Marcin Gryszkalis, Ewa i Karol Jalochowscy, Tomasz Żukowski, Paweł Leszczyński, pani kazia, Krystyna Kolwas, Angelika Reszczyk, Adam W., Jacek Markowicz, Linka, Ścibi, Mikołaj, Bożena Michalska, Monika, Anonim, Wodarek, Wojtek, Robert Anton Wilson, Katarzyna Kijanka, harc, Elżbieta Płaskowska, Darek Dzida, ms, Monia, Michał Damski, lud\_las, Dominik Kozaczko, anonim, Grzegorz Siergowicki, Analfabeta, Marek W, Dawid Reinhold, Ewa Bakiera, rs, Wikiradio, Judasz - ile mam, to dam.

Okładka na podstawie: MissMayoi, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0383-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.